



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(14) 2010

Rok IV

www.nestor-krasnystaw.pl

ISSN 1898-1801



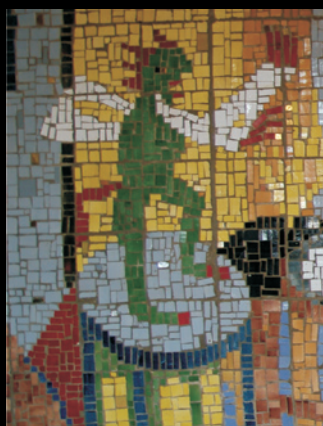
fot. Stanisław Kliszc



Zabytek z okładki

Mozaika ceramiczna wykonana przez Jana Popka, artystę żyjącego w latach 1942- 1980 znajduje się w Krasnostawskim Domu Kultury. Jest to największa mozaika tego artysty.

Jan Popek w 1961 roku ukończył PLSP w Zamościu. Studiował w latach 1961- 1967 w Warszawie. W 1972 roku został pracownikiem naukowym w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie, wykładał malarstwo i rysunek.



Spis treści		Spis treści	
Słowo redaktora 2	A. D. Misiura	Niebo nad Wembley 59	Mariusz Kargul
10-lecie Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie 2		Szesnaście lat z Kamieńską 61	A. D. Misiura
Szkolnictwo w gminach Izbica i Tarnogóra 3	Elżbieta Kmiec	Poezja 62	Maria Przybylska
Miejsce z opowieścią - Kozieniec 7	Lidia Jurkiewicz	Poezja 63	Piotr Linek
Cerkiew obrządku wschodniego w Łopienniku Ruskim 10	Elżbieta Przebirowska	Wiersze zza muru 64	A. D. Misiura
Tajemnice „Świętego Franciszka” 13	Zbigniew Atras	Poezja 65	Radosław Poniedziałek, Łukasz Zgrzebnicki
Kancelarie notarialne w Krasnymstawie w XIX-XX wieku. Zarys działalności 18	Agnieszka Szykuła-Żygawska	Księstwo. Adaptacje filmowe prozy Zbigniewa Masternaka 66	Karolina Szymkiewicz
Ostatni wiek istnienia - likwidacja diecezji chełmskiej przeniesienie siedziby biskupiej z Krasnegostawu do Lublina 19	Zbigniew Atras	Bolączki ponowoczesności, czyli świat według Vargi 69	Magdalena Górecka
Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich. Diecezja chełmska. Cz.I 26	Kazimierz Stolecki	Król 74	Kazimierz Bolesław Malinowski
Jak się Napoleon o Aleksandra w 1812 potykał 40	Mariusz Kargul	Ja jestem wy - czuję to bez przerwy 78	Kazimierz Malinowski
W pamięci nadzieja 45	Artur Borzęcki	Jubileusz MDKF „Iluzjon” 86	Ewa Magdziarz
Przeżyć Sobibór 46	Agnieszka Szykuła-Żygawska	Reżyser Jacek Bławut w „Iluzjonie” 88	Ewa Magdziarz
Zmarł Zbigniew Jerzyna 47	Henryk Radej	Mackiewicz po raz ósmy 89	Elżbieta Szadura-Urbańska
Człowiek z sercem poety... ze wspomnień o Wojciechu Żukrowskim w 10. rocznicę śmierci 50	Waldemar Michalski	Miałem sen 90	Leszek Janeczek
Poezja 52	Waldemar Michalski	Obrazki niby-święteczne 92	Henryk Radej
Kalendarz z kolędą 54	Henryk Radej	Doktorat dla Agnieszki 93	
Poezja 55	Mariusz Kargul	30 lat „Czarnego Salcesonu” 93	
Poezja 55	Katarzyna Iwańczyk-Fowler	Krasnostawscy literaci 93	
Z miłości do łufu 57	Mariusz Kargul	20. rocznica powstania „Gazety Krasnostawskiej” 94	
Poezja 58	Mirosław Iwańczyk	Krasnostawskich zaskórników ciąg dalszy - Galeria Retro 94	
		Grand Prix dla Teresy Stasiak, chluba dla Krasnegostawu 95	
		Próba Czechowa 95	



NR 4(14) 2010 NESTOR Czasopismo Artystyczne



Wydawca:

Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnostaw, tel. (82) 576 60 09,
Konfederacja NESTOR,
www.nestor-krasnostaw.pl, e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

Paweł Piłat

Druk:

Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
RSP „Zagroda”

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnostaw)
Artur Borzęcki (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Mariusz Kargul (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Słowo redaktora



Od bieżącego wydania mają Państwo możliwość nawiązania wizualnego kontaktu z autorami artykułów. Od dzisiaj można im spojrzeć w oczy, bo zawsze milej i uczciwiej jest, jeżeli widzimy kto do nas mówi. Kolejna niespodzianka to kolorowe zdjęcia w elektronicznej wersji Nestora i - jak zawsze - nowi autorzy, których serdecznie witamy.

Rok 2010 obfitował w wiele okrągłych rocznic. Kilka z nich przypominamy wewnątrz numeru, zaś w następnym - napiszemy o jubileuszu Państwowej Szkoły Muzycznej w Krasnymstawie, która miała swój udział w przygotowaniu wielu zdolnych uczniów. Wśród nich - obecnych słuchaczy zagranicznych wyższych studiów muzycznych takich jak Alicja Młynek, która kształci się we Włoszech, czy Bogna Kicińska zadziwiająca swoim głosem amerykańskich jazzmanów w Nowym Jorku.

Bywają czyny, o których ludzie nie chcieliby pamiętać. I to jest zrozumiałe. Ale bywają też ludzie, którzy za wszelką cenę chcieliby wymazać swoje czyny z pamięci innych. I to także jest niemożliwe. Niestety, taka zależność dotyczy tylko niechlubnej historii ostatnich lat. Za to redakcja Czasopisma Artystycznego Nestor na przekór coraz modniejszemu antypatriotycznemu nawoływaniom, zaprasza Czytelników do zapisywania ciekawych dziejów z życia swoich rodzin i otoczenia. Nie obawiajmy się spoglądać wstecz, utrwalmy to, o czym w najbliższym gronie wspominają lub wspominali starsi. Nie pozwólmy, aby te historie odeszły z nami na zawsze, bo one składają się na nasze dziedzictwo, a dzięki temu przetrwała polskość m.in. pod zaborami, czy też wśród rodaków za granicą. Nie zapominajmy! Redakcja zaprasza do pisania i współpracy, a wspomnienia zamierza publikować już od następnego numeru.

Andrzej David Misiura

PS

W 1988 roku wybitny poeta i eseista Zbigniew Jerzyna zasiadł na moje zaproszenie w jury VII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego ZIARNO w Siennicy Różanej. Nie spodziewałem się wówczas, że Zbyszek okaże się bardzo przyjacielski wobec młodszych kolegów i lokalnych inicjatyw. A on był taki zawsze. Zbigniewa Jerzynę wspominamy na str. 47-49.

10-lecie Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie

W ubiegłym miesiącu Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie uroczyście obchodziła swoje dziesięciolecie. Zaproszeni goście mieli okazję zapoznać się z historią placówki i jej działalnością podczas szczegółowej multimedialnej prezentacji przygotowanej przez st. kustosa Iwonę Gruszczyńską. Wśród laudatorów nie zabrakło także „Nestora”:



Pani Dyrektor
Elżbieta Patyk
i Miłośnice Książ

Na okoliczność 10-lecia Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie

Książnica, która obchodzi dzisiaj swoje dziesięciolecie, odradza się niczym Feniks w wiekowych murach. W komnatach, które niegdyś promieniały wiedzą i mądrością starodruków zakonnych dawnego Collegium Jezuickiego ponownie zagościły książki. Można byłoby więc policzyć tych lat jubileuszowych znacznie więcej, nam jednak do złożenia szacunku wystarczy czas liczony zaledwie od trzeciego tysiąclecia.

Redakcja Czasopisma Artystycznego „Nestor”, odczuwając przyjacielski stosunek do trzyletniej współpracy, odnosi się z estymą do całości kształtu twórczych i oświatowych dokonań Waszej placówki. Wyrażamy też wiele uznania, dostrzegając szczerą postawę w podtrzymywaniu i budowaniu lokalnej kultury.

Wraz z życzeniami i gratulacjami z okazji 10-lecia Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie, proszę przyjąć zapewnienie o naszej gotowości do dalszej współpracy i chęci korzystania z Waszej pomocy, doświadczenia i wiedzy.

Redakcja Czasopisma Artystycznego „Nestor”

Elżbieta Kmiec

Szkolnictwo w gminach Izbica i Tarnogóra



*[...] na polecenie starosty powiatowego zostały zabrane podręczniki do j. polskiego, historii i geografii od wszystkich dzieci [...]*¹

Wybuch II wojny światowej był w gminach Izbica i Tarnogóra początkiem blisko pięcioletniej okupacji niemieckiej. W szkolnictwie także odcisnęła ona tragiczne piętno. Mieszkańcy, szczególnie Kryniczek, Orłowa Drewnianego i przede wszystkim Izbicy, najbardziej dotkliwie odczuli terror i zbrodnie okupanta. Miasteczko zamieszkane w ponad 90% przez ludność żydowską, w latach 1940-1943 stało się miejscem nieopisanych dramatów mieszkańców Izbicy oraz Żydów przesiedlonych tu z wielu miejsc Polski i kilku krajów Europy. Finałem była zagłada w obozach śmierci lub na miejscowym kirkucie. Martyrologii izbickich Żydów poświęcono wiele miejsca w różnych opracowaniach dotyczących Holocaustu.

Nie zachowała się kronika szkoły w Izbicy z lat okupacji, nie natrafiono nigdzie na informację, czy była prowadzona. Jedynym, bardzo wymownym śladem wojennych losów żydowskich uczniów szkoły w Izbicy są księgi ocen, sprawowania się i postępów w nauce uczniów. Jak wynika z prowadzonej na końcu ksiąg statystyki, w drugiej połowie lat 30. liczba uczniów w szkole przekraczała 600, a większość z nich stanowiły dzieci żydowskie. Od 1940 roku księgi ocen objętościowo stały się trzy-cztery razy cieńsze, a arkusze ocen z nazwiskami od Sury Adlerówny i Matela Altmana do Hersza Presajzena i Lejzora Zobermana - po prostu zniknęły. Z lat 1939-1944 zachowały się kroniki szkolne z Orłowa Drewnianego, Ostrzycy, Tarnogóry i Tarzymiechów. Wpisy w kronikach z Orłowa Drewnianego i Tarzymiechów dokonywane były systematycznie, każdego roku, od początku do końca wojny. W kronikach z Ostrzycy i Tarnogóry cały okres wojenny opisano już po wyzwoleniu.

Według kroniki szkoły w Tarzymiechach, pierwszy rok szkolny czasu wojny upłynął następująco: *Rok szkolny rozpoczął się w anormalnych warunkach wywołanych wypadkami dziejowymi, dopiero w dniu 23 października 1939 r. W dniu*

1 września 1939 r. wybuchła wojna z Rzeszą Niemiecką. W toku działań wojennych, w pierwszych dniach wojny wojska nieprzyjacielskie zrzucały na tor kolejowy około 8 szt. bomb, z których dwie spadły na zabudowania Nizioła na kol. Tarzymiechy, zapaliły je, a w płonącym domu zginęły dwie osoby. [...] Na teren tutejszy z dniem 15.09. br wkroczyły wojska niemieckie zmotoryzowane. 27 września wkroczyły wojska sowieckie, które po tygodniowym pobycie wycofały się, a na ich miejsce weszły znowu wojska niemieckie. Rok szkolny rozpoczęto pod zarządem niemieckim, zachowując dotychczasowy program nauki, prócz historii, którą wyeliminowano [...]. Po feriach świątecznych, w dniu 11 stycznia 1940 r., na polecenie starosty powiatowego zostały zabrane podręczniki do j. polskiego, historii i geografii od wszystkich dzieci i przewiezione do starostwa w Krasnymstawie. [...] Nauka aż do 23 marca 1940 r. odbywała się w małej ilości dni i przy bardzo niskiej frekwencji z powodu b. silnych i trwałych mrozów (do -30°) oraz zawiei i śnieżnych. Właściwa nauka zaczęła się od 28 marca w bardzo ciężkich warunkach, szczególnie dla j. polskiego z powodu braku podręczników. Frekwencja dochodziła już w kwietniu do 65%.²

Kolejny rok szkolny został także obszernie opisany. Kierownik szkoły - Kazimierz Gałuszka - m.in. zanotował: *Przyczyny [małej] frekwencji leżą przede wszystkim w braku obuwia i ubrań dla dzieci, niektóre są wprost nagie. A o realizacji programu nauczania napisał: Brak podręczników dawał się odczuć, lecz już mniej, zwłaszcza z tej przyczyny, że do j. polskiego zaprenumerowano czasopismo - miesięcznik „Ster” w ilości 100 egz. dla całej szkoły już od września 1940 r. Z dniem 1 lutego 1941, na podstawie zarządzenia starosty zostały wszystkie szkoły powszechne w powiecie zamknięte z braku opatu aż do odwołania. Zajęcia przywrócono po kilku tygodniach.*

Okrojone programy nauczania i brak podręczników stanowiły dla nauczycieli wielkie wyzwanie, zwłaszcza w obliczu zagrożeń wskutek polityki eksterminacyjnej polskiej kultury i oświaty. Od początku r. szk. 1940/1941 władze okupacyjne zaczęły wydawać w masowym nakładzie czasopismo „Ster”, które miało zastąpić podręczniki do nauczania języka polskiego. Na treść pisma składały się opowiadania, wiersze i informacje o kulturze niemieckiej i sławnych Niemcach. Miesięcznik w umiejętny sposób miał za zadanie kształtować postawę posłuszeństwa i uległości wobec naro-

1. Kronika szkoły w Tarzymiechach z r. szk. 1939/1940.

2. Tamże.

du niemieckiego. „Ster” był lekturą obowiązkową i pełnił funkcję podręcznika do nauki języka polskiego. Miały go obowiązek prenumerować wszystkie szkoły. Nauczyciele obchodzili przepisy władz szkolnych, odpowiednio interpretując na lekcjach treść „Steru”.³

K. Gałuszka w tym samym roku szkolnym napisał też, że posiadany przez szkołę opał zwrócony został gminie na ogrzanie kancelarii gminnej. Nauczyciele mieli obowiązek pracować w tym czasie jako kanceliści w gminie. Braki zaopatrzeniowe w opał były w szkołach powszechnie, co potwierdza wpis w kronice szkolnej z Orłowa Drewnianego. Problemy z tego powodu występowały także w kolejnych latach i na dłużej lub krócej szkoły były zamykane, a jeśli nawet były czynne, to frekwencja była bardzo niska. Choć szkołom nie zapewniało opału, uczniowie w miarę możliwości sami dostarczali drewno do ogrzania budynków szkolnych. Jak wynika z innych wpisów, zajęcia były zawieszane głównie wskutek zarządzeń władz niemieckich.⁴

Szkoła w Tarnogórze, choć mieściła się w dwóch budynkach, musiała odstąpić je wojskom niemieckim, grupującym się przed atakiem na ZSRR. W kronice tej szkoły można przeczytać: *Pod koniec roku szkolnego przybyły do Tarnogóry oddziały wojsk niemieckich i zajęły na kwatery dla żołnierzy obydwa budynki szkolne. Sprzęt szkolny umieszczono w budynkach gospodarskich, lekcje zakończono.*⁵

Wojsko ciągle było nieproszonym gościem w pomieszczeniach szkolnych, więc zajęcia odbywały się w bardzo trudnych warunkach, w izbach wynajętych od mieszkańców Tarnogóry. Pewne złagodzenia przyniosły prośby do władz niemieckich, wskutek czego jeden budynek odzyskano. Rok szkolny 1941/1942 rozpoczęto we wszystkich salach lekcyjnych, gdyż wojsko odjechało na front wschodni. Pomimo tego warunki były bardzo trudne. Kierownik szkoły - Józefa Kowalczykowa zanotowała: *Najtrudniejsza była nauka w klasach młodszych, gdyż nie było na czym uczyć czytania. Frekwencja w okresie zimy była słaba, gdyż dzieci chorowały, starsze zaś często do szkoły nie chodzili, bojąc się łapanek - szczególnie te, które miały do szkoły daleko. Często zdarzało się, że dzieci były rewidowane po drodze, co niosą w torbach lub pod kurtką.*⁶

Podobnie było w Tarczynie. W I półroczu na ogólną liczbę 200 zapisanych sklasyfikowano 137 dzieci, nie sklasyfikowano 63 z powodu zupełnego i bardzo nieregularnego uczęszczania. Duży procent niesklasyfikowanych to przeważnie dzieci, które z braku ubuwia i odzieży do szkoły uczęszczać nie mogły.⁷ Należy dodać, że obowiązek szkolny przez władze okupacyjne został zniesiony. Nie działały także w szkołach komitety rodzicielskie.

GENERAL-GOUVERNEMENT

Siedmio-klasowa ogólniejsza polska Volksschule Nr. 1
 klasowa polska publiczna szkoła powszechna

in w *Izbica* Kreis *Krasnostaw*
 Nr. *25* powiat *Krasnostaw* Schuljahr *1941/2*
 Rok szkolny

SCHULZEUGNIS
 ŚWIADECTWO SZKOLNE

Chasłoniówna Adela

geboren den *31 stycznia* 19*30* in *Izbica*
 Krei *Krasnostaw* Konfession *rzym. kat.*
 besucht die *1. Klasse* und erhält für das *ganze* Halbjahr des Schuljahres *1941/2*
 Urzeugnis *1. Klasse* i otrzymała *połrocze* roku szkolnego

nachstehendes Zeugnis:
 następujące świadectwo:

Betragen <i>sehr gut</i>	sprawowanie <i>bardzo dobry</i>
Religion <i>sehr gut</i>	religia <i>bardzo dobry</i>
Polnische Sprache <i>gut</i>	język polski <i>dobry</i>
Sprache <i>gut</i>	język <i>dobry</i>
Naturkunde <i>nicht genügend</i>	nauka o przyrodzie <i>niedostateczny</i>
Rechnen u. Raumlehre <i>genügend</i>	arytmetyka z geometrią <i>dostateczny</i>
Zeichnen <i>sehr gut</i>	rysunki <i>bardzo dobry</i>
Werkunterricht <i>sehr gut</i>	zajęcia praktyczne <i>bardzo dobry</i>
Gesang <i>sehr gut</i>	śpiew <i>bardzo dobry</i>
Leibübungen <i>sehr gut</i>	ćwiczenia ciałesne <i>bardzo dobry</i>
Weibliche Handarbeiten <i>sehr gut</i>	roboty kobiece <i>bardzo dobry</i>

Versäumte Stunden *70* davon unentschuldig *1*
 Opuszczonych godzin *70* niemożliwych *1*

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler- die Schülerin in die *II. Klasse* versetzt.
 Na podstawie powyższego świadectwa *przebiega* uczennica *przechodzi do II klasy*.

Izbica den *25 lipca* *1942*

Chasłoniówna Klassenlehrer - opłaku klasę
Edwarda Pędzi Schulleiter - kierownik szkoły

Uwaga: *Uwaga: sehr gut, gut, genügend, nicht genügend.*
 Skala ocen: *bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.*

Stabsbuchhalter: Warthe - Nr. 100-43. Bsp. 1. 12.

Świadectwo szkolne

W Orłowie Drewnianym dwukrotnie prze-
 rywano naukę z powodu stacjonowania wojsk
 niemieckich w budynku szkoły. Pierwszy raz - na
 początku czerwca 1941 roku, a drugi raz - w 1943
 roku, po wycofaniu się Niemców, jak podaje kro-
 nika, spod Czerkas. W czasie drugiego pobytu
 w szkole wojsko zniszczyło książki z biblioteki
 szkolnej oraz zabrało szafkę z narzędziami do ro-
 bót ręcznych.⁸ Polityka niemiecka wobec polskiej
 szkoły polegała na znacznym ograniczeniu progra-
 mów nauczania i zmianie ich treści, zmniejszeniu

3. R. Wroczyński: Tamże, s.334-338.

4. Kronika szkoły w Orłowie Drewnianym z r. szk. 1940/1941
 i r. szk. 1943/1944 oraz kronika szkoły w Tarczynie
 z r. szk. 1942/1943.

5. Kronika szkoły w Tarnogórze z r. szk. 1939/1940.

6. Kronika szkoły w Tarnogórze z r. szk. 1940/1941 i 1941/1942.

7. Kronika szkoły w Tarczynie z r. szk. 1941/1942.

8. Kronika szkoły w Orłowie Drewnianym z r. szk. 1943/1944.

godzin nauki szkolnej oraz całkowitym wyeliminowaniu nauki historii. W kronikach można przeczytać o rekwizycji podręczników i książek z bibliotek szkolnych. Szkoły nieraz przez kilka miesięcy w roku szkolnym bywały zamknięte z różnych przyczyn.

Jednocześnie z obniżeniem poziomu nauczania, większy nacisk położono na akcje zbierania ziół i surowców wtórnych, uprawiania w szkolnych ogródkach doświadczalnych warzyw i roślin leczniczych. Uprawiano np. rycynusa, kolendrę, koper i rumianek. Nakładane były określone normy dostaw ziół na uczniów. *Z nadejściem wiosny dzieci przystąpiły do zbiorów ziół leczniczych różnego gatunku, mając kontyngent podwyższony na 5 kg od dziecka.*⁹

W kolejnym roku w tej szkole akcja zbierania ziół tak się rozwinęła, że zebrano ponad pół tony różnych roślin. Charakterystyczne także było w czasie okupacji organizowanie szkolnych kas oszczędności. Wzmianki o ich działalności napotkano w kronikach z Orłowa Drewnianego i Tarzymiechów.

Utрудnienie działalności szkół spowodowane było także represjami okupanta wobec nauczycieli, a szerzej - wobec polskiej inteligencji. Zwolnienia z pracy, aresztowania, wysyłanie do obozów koncentracyjnych, a nierzadko śmierć, były także udziałem nauczycieli z gminy Izbica. Kierownik szkoły w Orłowie Drewnianym - Jan Rokita został aresztowany 12 września 1941 roku, a następnie trafił do obozu koncentracyjnego w Gusen, z którego powrócił po 4 latach.¹⁰ Jan Śliwa - nauczyciel szkoły w Tarnogórze i w Izbicy zginął w Oświęcimiu w 1942 roku, Władysław Kostrzewa, aresztowany wraz z synem - Janem, zakończył życie na Zamku Lubelskim w 1942 roku, Róża Lubinerowa i Hadosa Reichenstein - zamordowane zostały w Izbicy w 1942 roku.¹¹ Na Zamku Lubelskim zginął w 1941 roku także dr Sulewski, przed wojną stojący na czele Dozoru Szkolnego w Izbicy. Aresztowano kierownika szkoły w Izbicy - Edwarda Staindla, który przeżył, w przeciwieństwie do swojego syna - Jana. Jan Staindl zatrzymany był w grupie młodzieży i inteligencji z Izbicy i okolicznych miejscowości późnym latem 1941 roku. Jan Eugeniusz Plewa z Izbicy, znajdujący się w tej grupie, opisał wstrząsające przeżycia aresz-

towanych - kolejno: w Izbicy, w Zamościu i na Zamku Lubelskim: *Kilka dni wcześniej potwornym katuszom poddani zostali więźniowie poprzednio aresztowani w Tarnogórze i Orłowie. Tadeusz Berdecki z Tarnogóry był kilkakrotnie brany na badania, lecz wołał poświęcić życie niż ujawnić nazwiska członków organizacji i zdradzić tajniki działalności podziemia. Pozostali: Śliwa, Jan Berdecki - brat Tadeusza, Piłat, Kalita, Błażejewicz, Michalak i Rokita, byli również kilkakrotnie na badaniach i - mimo potwornego katowania - wyszli z tłumem się życiem z podziemi gestapo. Wszyscy, z wyjątkiem Piłata, zostali również skazani na zagładę.*¹²

Kroniki szkolne utrwalały także szczególnie tragiczne wydarzenia, jakich doświadczała miejscowa ludność. Stojący w środku wsi pomnik w Orłowie Drewnianym przypomina o wydarzeniach z pierwszej połowy 1942 roku. *Dnia 28 lutego 1942 r. została otoczona wieś przez wojsko i żandarmerię niemiecką. Żandarmi zarządzili zbiórkę wszystkich ludności, wybrali 14 mężczyzn - 11 gospodarzy z tutejszej wsi i trzech przybyłych z Warszawy do swych rodzin. Tych czterech mężczyzn rozstrzelali za stodołą p. Józefa Suwały i tam zostali pochowani. Naukę ponownie rozpoczęto dnia 20 kwietnia br. 20 maja znów była otoczona wieś przez żandarmerię niemiecką i oddziały ukraińskie. Była również zbiórka ludności. Niemcy wybrali 7 mężczyzn i rozstrzelali za stodołą p. Józefa Suwały i tam zostali pochowani. W tym było 4 mężczyzn z Orłowa Murowanego, 1 z Orłowa Drewnianego i 2 z Izbicy. Resztę mężczyzn w liczbie 27 było zaaresztowanych, powiązanych paskami za ręce i wywiezionych na Majdanek.*¹³ W czerwcu, prócz jednego, wszyscy wrócili.

W kronice szkoły w Ostrzycy, lata okupacji niemieckiej opisane zostały dopiero w roku 1944. Jak zanotował Piotr Rysak - wieloletni nauczyciel i kierownik tej szkoły: *Aż do wypędzenia okupantów niemieckich z naszego terenu nie pisano kroniki szkolnej z obawy przed wrogiem okrutnym, który za każdą wyrażoną prawdę w stosunku do niego karał śmiercią.*¹⁴ Autor z przejęciem opisał aresztowanie i śmierć dotychczasowego kierownika szkoły - Władysława Kostrzewy, który został aresztowany 4 października 1941 roku wraz ze swym synem - Janem. Syn po wojnie powrócił z obozu w Oświęcimiu.

9. Kronika szkoły w Tarzymiechach z r. szk. 1942/1943.

10. Kronika szkoły w Orłowie Drewnianym z r. szk. 1941/1942 i 1944/1945.

11. Związek Nauczycielstwa Polskiego w powiecie krasnostawskim wczoraj i dziś w opracowaniu Bożeny Gawron i Ireny Kowalskiej, Krasnystaw 2005, s. 9.

12. Jan Eugeniusz Plewa: Tak było, we: Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego 1939-1944, Warszawa 1984, s. 175.

13. Kronika szkoły w Orłowie Drewnianym z r. szk. 1941/1942.

14. Kronika szkoły w Ostrzycy za okres: wrzesień 1939 - lipiec 1944 r.

Niemcy zwolnili z pracy w szkole dwoje nauczycieli i pozostał Piotr Rysak, który - jak pisze - pracował sam, spodziewając się w każdej chwili porwania i wywiezienia do obozu koncentracyjnego. W czasie lekcji starsi uczniowie stali na czatach, by w razie niebezpieczeństwa nauczyciel mógł się ukryć w przygotowanej kryjówce u gospodarzy na wsi. Tajne nauczanie odbywało się z narażeniem nauczycieli i uczniów, którzy w ukryciu, w ubraniu nosili zakazane książki. Opis czasu okupacji w kronice szkoły ostrzyckiej jest szczególnie z uwagi na wielki ładunek emocji, jakie kierowały piszącym - Piotrem Rysakiem. Notatki sporządzone niemal „na gorąco”, pod wpływem osobistych przeżyć i rozgrywającej się niedaleko Ostrzycy tragedii Żydów w Izbicy, składały się z mocnych określeń, pełnych zrozumiałego wzburzenia pod adresem najeźdźców i okupantów. Oczywiście jest, że piszący kroniki w latach okupacji, z obawy przed grożącymi represjami nie mogli wspominać o tajnym nauczaniu. Współcześni autorzy książek, głównie biograficznych, opisujący czas II wojny światowej na terenie gminy Izbica, wspominają o uczeniu się zakazanych przedmiotów.

Edward Zając pisze, że w Tarzymiechach tajne nauczanie realizował Władysław Nowocień, który dojeżdżał do szkoły z Zalesia. W worku z obrokiem dla konia przywoził niedozwolone przez okupanta książki. Na lekcjach przekazywał uczniom - jak podaje autor - zakazane wiadomości, np. jak wyglądało wojsko polskie z okresu Księstwa Warszawskiego.¹⁵

W Tarnogórze, pisze we wspomnieniach Alicja Malczewska-Mosek, wiedzę uczniów uzupełniano w ramach zajęć opiekuńczych. Podczas wakacji pani J. Kowalczykowa, kierowniczka szkoły, organizowała półkolonie dla dzieci z rodzin niepełnych i dotkniętych przez wojnę. *Słuchaliśmy tu pogadanek, w których przemycano nieco wiedzy historycznej, oglądaliśmy w książkowym atlasie kontynenty i oceany, bo w szkole map nie było i być nie mogło. Urządzaliśmy wycieczki do lasu, by poznawać gatunki drzew i krzewów, odbywaliśmy wędrowki do sąsiednich miejscowości. W szkole otrzymywaliśmy obiady i jakieś podwieczorki. Na koniec, każda z dziewcząt dostała błękitny materiał na sukienkę, nie wiadomo, jakim staraniem zdobyty.*¹⁶

O tajnym nauczaniu w Izbicy w r. szk. 1943/1944 Ryszard Adamczyk daje wzmiankę: *Gdy pogoda dopisywała, z p. Fideckim wychodziłmy na pobliskie wzgórze wsi Izbica. W czasie takiej „wycieczki” pan Fidecki prowadził po prostu tajne nauczanie geografii i historii w formie pogadanek.*¹⁷ Autor wspomina także, że na zakończenie kolejnego roku szkolnego nie wydano świadectw ukończenia szkoły, tylko promocyjne, ponieważ uczniowie nie dostarczyli wymaganej ilości ziół leczniczych.¹⁸

Zakończenie działań wojennych na terenie gminy znalazło odbicie w kronikach szkolnych. Kierownik szkoły w Tarzymiechach - Kazimierz Gałuszka zanotował: *[...] z dniem 25 lipca br. skończyła się okupacja niemiecka dla Tarzymiech, a na teren wsi o godz. 13 weszły wojska rosyjskie, stoczyły bój z Niemcami o rzekę Wieprz, a teren wsi stał się terenem walki. Niemcy wycofali się z rzekę Wieprz, okopawszy się we wsi Wirkowice bronili przeprawy przez rzekę. Na ziemi tarzymieckiej poległo 11 żołnierzy armii radzieckiej. [...] W salach szkolnych honorowe miejsce zajął orzeł polski, który przez 5 lat z narażeniem się okupantom [przechowywany] był w ukryciu, a sztandar szkolny swobodnie załopotał nad głowami zgromadzonej diatwy szkolnej.*¹⁹

Na przemian z radością przeplatała się troska o pomoce naukowe, o podręczniki, a także o zniszczone budynki szkolne. *Mimo ogólnej radości, że skończyła się okupacja, nie można było rozpocząć w terminie lekcji w szkole, gdyż Tarnogóra została w 20% spalona w czasie działań wojennych nad Wieprzem - budynek szkolny zniszczony tak, że wejść do niego nie można, gdyż były tylko ściany i dach. [...] Praca była ciężka, gdyż podręczniki były różne, ale frekwencja i pilność uczniów wyrównywały braki. Atmosfera pracy była radosna i spokojna - dzieci przynosiły książki do biblioteki aby było co czytać, pisano na czym można było, czytano z pism i gazet o tym, co dzieje się na świecie. Rok zakończono wraz z radosnym zakończeniem wojny - co było podwójnym świętem dla szkoły.*²⁰

Elżbieta Kmiec

15. Edward Zając: *Zarys dziejów wsi Tarzymiechy do 1944 r.*, Sanok 2005, s. 158.

16. Anna Malczewska-Mosek: *Zatrzymać czas w kadrze pamięci*, Gdynia 2009, s. 76.

17. Ryszard Adamczyk: *Izbicy dni powszednie. Wojna i okupacja. Pamiętnik pisany po latach*, Lublin 2007 s. 154; Adam Fidecki był (1947-1949) kierownikiem szkoły w Kryniczku.

18. Tamże, s. 192-193.

19. Kronika szkoły w Tarzymiechach z r. szk. 1944/1945.

20. Kronika szkoły w Tarnogórze z r. szk. 1944/1945.

Lidia Jurkiewicz

Miejsce z opowieścią - Kozieniec



A wokoło, przed laty, rozciągały się tu lasy. Zasobna to była okolica w ptactwo i zwierzynę. W leniwych wodach Siennicy tarły się ryby, mieszkaly raki i żółwie błotne. W tej zielonej dolinie, między dwoma wzgórzami (obecnie zagajnik I i II), wieś osiadła. Jej nazwę, jako Majdan Kozieniec na mapie Królestwa Polskiego z 1839 r. można odnaleźć. Zapewne na wykarczowanych terenach leśnych powstała, bowiem Maydanami nazywano osady robotników leśnych. Kozieniec nie należał do żadnego majątku, był wsią niezależną. Jej powstanie datuje się na XVIII wiek, a źródła podają, że mieszkali w niej osadnicy niemieccy: Bajgiert i Himbner.

Później w dolinie Kozieńca zamieszkiwali fornale majątku Boruń, a kiedy jego właściciel wybudował czworaki, mieszkańcy opuścili to miejsce. Gdzieś przed II wojną zmieniono koryto rzeki, a w dawnej dolinie stawy rybne powstały - opowiada o tym Stanisław Mazurek, mieszkaniec Kozieńca, który powołuje się na ustną relację swojej babci - Zanim uregulowano rzekę, płynęła ona powoli i tworzyło się rozlewisko, obok niego - piaszczysta plaża. Tu gromadziła się wieś, dzieci kąpały się, a dorośli urządzali festyny i zabawy. To miejsce było tu, gdzie teraz dom pana Waldemara Soczyńskiego.



Dożynki w Kozieńcu 1939 r.

Dziś Kozieniec tylko z jednej strony przylega do rzeki, graniczy z dwoma wsiami - Siennicą Różaną i Zagrodą. Kiedy kończą się pola Kozieńca a zaczynają pola Zagrody, dzieli ich droga, którą mieszkańcy nazywają Granica. Dalej naprzeciw alei kasztanowej (już w Zagrodzie) znajdziemy

fragment budowli, która przed laty w całej okazałości była komorą celną, z bramą, przez którą wjeżdżał wóz. Granica, która teraz oddziela te dwie wsie, dawniej, w 1912 r. została ustanowiona przez cara.

- Była to granica guberni chełmskiej - przytacza ten fakt Mirosław Kaczor, mieszkaniec Kozieńca - Car miał na celu oddzielenie guberni od Królestwa Polskiego i przyłączenie jej do Rosji. Uchwała o włączeniu jej do Rosji zapada 13 marca 1915 r. A latem tego roku władze rosyjskie wycofują się z Królestwa Polskiego i wkraczają Austriacy.

Spacerując po górzystym wzniesieniu Kozieńca (zagajnik I), napotykam liczne rowy. Są nieregularne i różnej głębokości. - To są okopy z I wojny światowej - mówią napotkani mieszkańcy. Kozieniec oraz tereny Lubelszczyzny, jak podają źródła historyczne, był pod okupacją austriacką w latach 1915-1918.

- Choć było lżej niż pod zaborem rosyjskim, to jednak ludność dotknęła okupacja - mówi Apolonia Wolska - zabierali konie, krowy, świny, a budynki inwentarskie rozbierali i umacniali fortyfikacje.

W 1921 r. naliczono tu 35 domów i 96 mieszkańców. Z jednego z nich pochodziła Apolonia Wolska urodzona w 1919 r., córka Ignacego i Wiktorii, z d. Mazurek. Pani Apolonia jest dziś najstarszą mieszkanką Kozieńca. Jej stryjeczny brat, Zbigniew Mazurek w kalendarzu rodzinnym tak opisuje losy rodziny Mazurków na tle historii wsi: *Okolo roku 1850 z Galicji do Siennicy Różanej dwóch zamożnych i wykształconych młodzieńców przybyło. Od właściciela tych ziem wieś Kozieniec, na wschodnim krańcu jego posiadłości leżącą zakupili. Wieś uboga (nawet kozy chowali), bardzo kulturowo i technicznie zaniedbana była. Nowi właściciele, a byli to Szymon, Walenty Mazurkowie natychmiast za nauczanie kozienieczan ciesielki, powroźnictwa, stolarki, tkactwa i trawta się zabrali. Nowe sposoby uprawy i nowych roślin jak len, konopie, rzepak, rośliny pastewne, słonecznik, soczewicę, a nawet soję wprowadzili i korzystania z nich nauczali. Racjonalną gospodarkę leśną w serwitutach wprowadzili oraz do zwiększenia się drobiu i bydła zachęcili. Bracia w swojej wsi się poženili: Szymon Annę Zajówną, a Walenty panią Palotównę za żony pojęli i tak rody Mazurków powstały.*

- Pani Apolonia, najbliższa pani rodzina żyła w czasach wojen i konfliktów politycznych. Jak ten fakt wpływał na życie pani rodziny?

- Trzeba było działać na dwóch frontach: tym bojowym i rodzinnym. Tato musiał być ojcem, mężem i żołnierzem. W domu mówiło się, że szybko wziął ślub, bo przeczuwał, że może iść do woj-ska. Był wtedy rok 1918. Szkoda mu było zostawić pięknej narzeczonej, i przeczucia się sprawdziły. W tym samym roku wstępuje do Legionów Piłsudskiego. Ranny, wraca z wojny po moim urodzeniu. Ma możliwość otrzymania gospodarstwa na odzyskanych ziemiach wschodnich. Odmawia. Osiedla się w rodzinnym Kozieńcu.

- Pierwsze lata w nowej Polsce to czas spokoju dla rodziny. Jak wtedy się żyło?

- Nasze gospodarstwo składało się z 5-6 mórg, to zaledwie niewiele ponad 2 ha. Ziemi nie były urodzajne, a trzeba było wyżywić rodzinę. Broncia, Julcia, Walercia, Łodzia, Stasio i ja, i nasi rodzice, to spora gromadka. Z samego żyta i ziemniaków nie wyżylibyśmy. Nasza rodzina uprawiała te rośliny, które tu na wschodzie nie były znane. Sadziliśmy soję, soczewicę, grykę, len, mak, lucernę. Na owe czasy uprawa ich była mało znana, ale dzięki temu mogliśmy zaspokoić potrzeby pokarmowe.

- Pani ojciec wprowadzał nową kulturę uprawy i pani również ma zamiłowanie do nowych gatunków. Obserwowałam nieraz wystawy dożynkowe płodów roślin. Były to nie lada okazy. To pani dzięła?

- Warzywniak to moja pasja. W nim eksperymentuję i sadzę warzywa mało znane: tykwy, dynie różnej maści, patisony i wiele innych.

- Wracając do życia przed wojną, jak wyglądał codzienny byt?

- W sklepie kupowaliśmy tylko cukier, sól i naftę. Całą resztę musieliśmy wytworzyć sami. Piekliśmy chleb. Olej tłoczono w olejarni na końcu Kozieńca, tam był również młyn. Po sąsiedzku, u Józefa Worocha była tkalnia. Tato był kolaczem tzn. zajmował się ubojem świń, więc od czasu do czasu próbowaliśmy mięsa. Była też jedna krowa, koń i świnię. Żyliśmy skromnie i ubogo, ale nigdy nie byliśmy głodni. Ubrać też się było w co. Szyliśmy ubrania z lnianego płótna. Wyszywałyśmy i haftowałyśmy. Rodzina przed wojną to małe przedsiębiorstwo, musiało być w niej zgranie i współpraca.

- To dążenie do wspólnego celu, zmaganie się z bytem zapewne scalało rodzinę, ale czy jeszcze coś liczyło się poza nią?

- O tak! Przecież dotyczyło się również życie wsi, życie społeczne. Wyrastało ono na gruncie ożywionego ruchu ludowego. W latach trzydzie-

stych w Kozieńcu działało prężne koło Związku Młodzieży Wiejskiej Wici, byłam w jego zarządzie. Pamiętam w 1939 r. czerwcową noc kupały, którą organizowali wiciowcy. Były wtedy skoki przez ognisko! A dziewczęta rzucały wianki na wodę. 15 września były dożynki, a w jednym z prywatnych domów wystawiono sztukę o tematyce historycznej. Przed wojną Kozieniec tętnił życiem społeczno-kulturalnym, a potem przyszła wojna...



Kozieniec pod zaborem austriackim

- Przed rodziną stanęło kolejne wezwanie. Jak temu podołała?

- Bezpośrednich działań na naszym terenie nie było, ale powstała konspiracja. Wtedy dom stał się ostoją życia narodowego. W domu powstawało podziemne państwo.

Związek Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa), Bataliony Chłopskie należały do zorganizowanych form oporu w całym kraju, również tu, w powiecie krasnostawskim.

- Antoni Mieczkowski historyk z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej podaje w źródłach, że BCH dokonały 21 napadów na więzienia i areszty, 34 udane akcje na areszty i więzienia, 20 akcji na obozy pracy i jenieckie. Uwolniono w sumie 4 tysiące osób. Byli również ranni i zabici.

- Zrodził się więc pomysł, aby kobiety niosły pomoc sanitarną poszkodowanym w wojnie. W 1941 r. powstaje Ludowy Związek Kobiet. Organizacja o własnej, odrębnej strukturze, która ściśle współpracuje z BCH. Ja byłam jej przewodniczącą gminną, również znalazłam się w kierownictwie powiatowym. Najpierw w swoim domu zorganizowałam pierwszy kurs sanitarny. Prowadził go doktor Lipiński. Nauczyłyśmy się robić zastrzyki i poznałyśmy zasady ratownictwa w nagłych wypadkach. Jeszcze zostałam przeszkolona w Szpitalu Maltańskim i Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Leki przywoził mi Paweł Hopko z Zagrody. Przechowywałam je w ukrytym kuferku. Kiedy szykowała się akcja, robiliśmy opatrunki.

- Dom wiejski na czas wojny stawał się szpitalem, a o was mówiono - sanitariuszki Zielonego Krzyża. Jakie inne zadania stawiało przed wami kierownictwo organizacji?

- Oprócz pionu sanitarnego, w Ludowym Związku Kobiet istniała sekcja gospodarcza. Organizowała ona pomoc wysiedlonym i ukrywającym się. Trzeba było tym ludziom dać schronienie i żywność.

W naszym domu udzieliliśmy pomocy 5-osobowej rodzinie wysiedlonej z Zamojszczyzny. Byli to Stanisław i Maria Sobczukowie wraz z dziećmi: Melą, Izą i Zdichem. Z Izą nasza rodzina do dziś utrzymuje kontakty. Potem byli Żydz. Krótko, kilka dni, spali w suszarni. I ciągle ktoś przewijał się przez nasz dom. Nazwisk nie pamiętam, bo lepiej ich było nie znać, przecież była konspiracja. Ale losy jednego z ukrywających się pamiętam dosyć dobrze. Później przeczytałam o nich we wspomnieniach Jerzego Drewnowskiego. A był rok 1940. Do naszego domu trafia dobrze zbudowany mężczyzna, wysoki, włosy ma czarne, kręcone. Jest poszukiwany listem gończym. Adres dostał od Watsona, właściciela majątku Boruń. Wrócił ze świerzbem. Wyglądał na wykształconego. Potem okazało się, że studia kończył w Anglii. Bardzo grzeczny, ułożony. Zdradzały do delikatne

Był przyjacielem pana Kazimierza. Razem działali w Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej. Pisał o nim, że Kazik był szefem kierowniczej piątki PLANU. Dalej w tej książce czytamy: *Kazik uciekł z więzienia przy alei Szucha. Był to bodaj jedyny wypadek ucieczki z tak pilnie strzeżonej kwatery głównej gestapo w Warszawie. Był zmasakrowany (...). Rano dowiedzieliśmy się, że w całym mieście rozlepiono listy gończe z fotografią.* Potem autor opowiada, że Kazik kontaktował się z rodzinami lwowskimi i przytacza wydarzenia, które miały miejsce we Lwowie. Otóż dochodziło tam do skutecznego wysadzania pociągów z żywnością, które szły z ZSRR do GG w ramach realizacji części gospodarczej umowy zawartej przez Mołotowa z Ribbentropem. Akcje sabotażowe były przeprowadzane przez kilka miesięcy - skutecznie. W końcu zorganizowano planową, wielką obławę na sabotażystów. Wśród nich znalazł się Kazimierz Kott, organizator akcji. Wczesną jesienią został on przewieziony do więzienia na Zamarstynowie w stanie bardzo ciężkim. To był ostatni ślad bohaterskiego życia Kazika, jaki udało się ustalić Jerzemu Drewnowskiemu.

- Wasz dom wiązał was z losami wielu ludzi i rodzin. Jak ten fakt wpłynął na waszą rodzinę?

- Uczyliśmy się otwartości na innych ludzi, a przede wszystkim staliśmy się otwarci dla siebie. Wtedy powstają więzy, które złączyły rodzinę i przyjaciół. Scementowały nas również wspólne wartości. Moja siostra Leokadia również działała w Ludowym Związku Kobiet. Była kolporterką konspiracyjnej prasy. Ja nie znałam bliżej tajników tej pracy. Warto ją samą o to zapytać.

- W rozmowie z panią Leokadią Kaczor dowiedziałam się, że w majątku Toruń, we dworze mieściła się podziemna drukarnia. Redaktorem ośrodka prasowego był Czesław Mazurek Maczek. Powstawał tam dwutygodnik *Hejnał*. Informacje pozyskiwano z nasłuchu radiowego. Pani Leokadia tak relacjonuje swoją działalność: *Wchodziliśmy po schodach na strych, nie wolno nam było o nic pytać. Brałyśmy watek i ręcznie odbijałyśmy kilka egzemplarzy i niosłyśmy do wyznaczonego miejsca. Zadanie należało wykonać szybko i zgodnie z instrukcją.* Przypominam również sobie, że w majątku tym ukrywał się również lekarz Paczyński. Panie z Zielonego Krzyża, także i moja siostra Broncia chodziły tam uczyć się robić zastrzyki. Jeszcze przez wiele lat po wojnie dawałyśmy zastrzyki okolicznym mieszkańcom.



*Mieszkańcy Kozieńca, 1918 r.
Pierwszy od prawej Ignacy Mazurek.*

dłonie - białe rączki. Trzeba było szybko zrobić z niego parobka. Rąbał drzewo, obierał ziemniaki. Włosy ufarbowaliśmy mu na blond. Był u nas trzy miesiące. Potem przysłał kartkę ze Lwowa. Pisał: *Pozdrawiam Bertę z przybudówkiem.* Berta to była klacz, która się przed wyjazdem mężczyzny ożrebiła. Byliśmy ciekawi dalszych jego losów. Wiedzieliśmy, że się nazywa Kazimierz Kott. Już po wojnie przypadkowo w moje ręce wpadła książka Jerzego Drewnowskiego pt. *Cynga*. Były to wspomnienia Jerzego Drewnowskiego z łagrów.

- Kiedy spaceruję po zielonej dolinie Kozieńca, widzę miejsca, co mają wryte ślady wydarzeń sprzed lat. Poprzecinany okopami zagajnik, *Granica*, która niczego dziś nie dzieli, szum spiętrzonych wody, która płynie do niebylego już młyna rysują obraz wsi, wsi ze swoją tylko historią. Ale to, co przetrwało, to domy. Te sprzed wojny i te wybu-

dowane obecnie. Z drewnianych bali, z kamienia czy pustaków. Trwają niezmiennie w dolinie rzeki. Poznając dzieje Kozieńca, uświadamiam sobie prawdę, którą odnajduję również w słowach Marii Konopnickiej: *Twierdzą nam będzie każdy próg*.

Lidia Jurkiewicz

Elżbieta Przebirowska

Cerkiew obrządku wschodniego w Łopienniku Ruskim



Cerkiew prawosławna pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny w Łopienniku Ruskim została ufundowana przez króla polskiego Aleksandra Jagiellończyka w jego drugim roku panowania czyli w 1502 r. Dokument donacyjny został spisany w Krakowie 28 lipca 1524 r. przez sekretarza królewskiego Macieja Dębińskiego. Aleksander ożenił się w 1495 r. z Heleną, córką cara rosyjskiego Iwana III Srogięgo i Zofii Paleolog. Prawdopodobnie pod wpływem żony, która nigdy nie przeszła na katolicyzm, co było jednym z warunków jej małżeństwa z polskim królem, ufundował w Królestwie Polskim kilkanaście kościołów obrządku wschodniego z nadaniami z dóbr królewskich. Jednym z nich była cerkiew łopiennicka.

Fundacja królewska obejmowała nadanie cerkwi łopiennickiej łanu Niżyczyca, pastwiska zwanego Rudki oraz łakę na Kopiaszczu wraz ze wszystkimi do nich przynależącymi przywilejami (tj.: budynkami, poddanymi, ich czynszami, daniami, wolnym mlewem we młynach, ryb łowieniem w stawach, wyrębem w lasach łopiennickich na opał i budynki, warzeniem piwa, paleniem gorzałki na użytek własny). Wyznaczono też dziesięcinę snopową od parafian, która miała wynosić z łana żyta cztery kopy. Nadanie zostało przyjęte przez biskupa chełmskiego Aleksandra Jotrę-Sosnowskiego. Pierwszym proboszczem parafii został ksiądz Jan Maleszka.

Po unii brzeskiej, która miała miejsce w 1596 r., parafia przeszła w ręce unitów. W kościele sprawowano nadal obrządek wschodni, ale hierarchia kościelna podlegała była papieżowi w Rzymie. Czasy były niespokojne, zwolenników i przeciwników unii jednakowo dużo. Parafia w Łopienniku Ruskim, prawdopodobnie tak jak cała die-

ceja chełmska przechodziła z rąk do rąk jeszcze przez kolejne sto lat, a decyzje w tej kwestii były uwarunkowane sytuacją polityczną w Rzeczypospolitej.

Podczas którejś z rozlicznych wojen przełomu XVII i XVIII w. kościół musiał być zniszczony, ponieważ w dokumentach pojawia się zapis, że świątynia była ponownie erygowana w 1710 r. i z tego roku pochodził kościół drewniany, który dotrwał do 1918 r. Ponieważ nastąpiło nowe erygowanie świątyni w 1748 r., w Warszawie zostały potwierdzone przez króla polskiego Augusta III Mocnego wszystkie przywileje dotyczące dóbr cerkwi w Łopienniku Ruskim.

Najwcześniejszy, dość pobieżny opis cerkwi pochodzi z jednej z pierwszych zachowanych opisów wizytacji kościelnych z 1736 r. Drewniana cerkiew była już wtedy częściowo zniszczona. W kościele znajdował się ołtarz wielki z „wszystkim porządkiem” i 3 ołtarze boczne. Na elewacji były dwa dzwonki i także dwa na dzwonnicy. Istnienie ołtarzy bocznych świadczyło o unickości kościoła, ponieważ takowe nie występują w cerkwiach prawosławnych.

Bardziej szczegółowy opis parafii wykonany przez ks. Faustynę Kaubę pochodzi z wizytacji z 16 lutego 1774 r. Wizytator pisze: „Cerkiew w ścianach dobra, w dachach reperacji potrzebująca, okna w drzwi poprawne, drzwi wejściowe dwie pary, na zawiasach żelaznych z zamkami zewnętrznymi”. Przy cerkwi nad babińcem znajdowała się dzwonnica, na której były trzy dzwony. Na kopule sygnaturka, a w elewacji trzy dzwonki. Cmentarz otoczony był parkanem, który wymagał reperacji.

Paroch mieszkał w izbie białej z alkierzem. W skład gospodarstwa wchodziła oprócz tego piekarnia z sieniami, spichlerz i chlewiki. Na przecięciu cmentarza znajdowało się gumno stodołniane, podszopie i spichlerz z drzewa. Na ogrodzie, nieopodal gościńca prowadzącego do Stężycy był należący do parafii budynek drewniany. Składał się z izby białej z przykramerkiem i sieniami. Mieszkał

w nim dożył paroch-emeryt. Majątek cerkwi obejmował oprócz opisanych budynków łąn i pół-łąnek zwany Popowszczyzna, pastwiska Rudki na zalewkach i łąkę na Kopiaszczu. W tym czasie w parafii Łopiennik Ruski wraz z Dobryniowem dorosłych wiernych, czyli zdolnych do spowiedzi było 126 osób.



Podobna grekokatolicka cerkiew pod wezwaniem św. Michała Archanioła w Ruskim Potoku na Słowacji, rok 1740.

Kolejna wizytacja z 21 stycznia 1793 r. sprawowana przez dziekana lubelskiego Eliasza Izdebskiego przynosi nam kolejny opis kościoła. Kościół był drewniany, ściany i dach w nie najlepszym stanie. W elewacji było sześć zepsutych okien. Dwoje drzwi, jedno prowadzące z cmentarza do kruchty, drugie z kruchty do cerkwi. Te drugie miały zamek. Dzwonnica nad babińcem była złączona z cerkwią. Dzwonów dwa, w kopule jeden, dzwonek na elewacji pięć. Parkan wokoło cmentarza dość zniszczony. We wnętrzu cerkwi Deisum nie było, ale istniał obchód wokół ołtarza głównego. Na nim znajdowało się cyborium stare, zamczyste, dobrze opatrzone. Plebania posiadała dwa alkierze i dwie garderóbki. Folwark był nowy z szopami i oborą. Budynek z dwoma izbami na froncie, z bramą i dwoma komórkami. były też cztery izby dla ludzi, którzy pracowali w folwarku. W tym czasie w cerkwi pracował proboszcz Antoni Kuryłowicz, wikariusz

i diakon. W gospodarstwie dóbr cerkiewnych było czterech parobków, dziewczka służebna i gospodyni. W parafii nie było żadnego bractwa. Nie było też bakałarza, ani uczących się. Akuszerki udzielały chrztów w razie konieczności. Parafianie spowiadali się i komunizowali dwa razy do roku. W 1793 r. obrządek zmieniło 16 osób (tzn. przeszło do Kościoła katolickiego). Wiele zmian obrządku odbywało się z okazji ślubów. Małżeństwa ludzi wyznających różny obrządek były częste, co świadczy o dużej symbiozie mieszkańców parafii unickiej i łacińskiej. Zwyczajowo to mąż przyjmował obrządek poślubianej żony. Zapowiedzi były ogłaszane w obu kościołach. Dzieci przyjmowały wyznanie matki. Nie było ważni na tle religijnym.

W 1818 r. umiera ks. Kuryłowicz i po dwuletniej administracji sprawowanej przez bazyliani Aleksandra Koncewicz probostwo obejmuje ks. Leon Smoleniec. Ostro zabiera się do porządkowania spraw parafialnych. Kończy sprawy sądowe o dziesięcinę z Kościołem łacińskim i dworem. Porządkuje wszelkie dokumenty dotyczące kościoła w Łopienniku Ruskim. W 1843 r. remontuje cerkiew, ponieważ stara jest za mała do ilości wiernych i mocno zniszczona.

W 1851 r. zostaje zatwierdzony plan budowy nowej cerkwi. Budowa nie ruszyła ponieważ nie zdołano zebrać na nią odpowiedniej sumy pieniędzy. W 1855 r. odbyło się zebranie ustalające, z jakich części dóbr powinna zostać zapłacona składka na jej budowę. Do budowy jednak nie doszło. Już około 1862 r. Leon Smoleniec, ówczesny proboszcz myśli o wyznaczeniu nowego cmentarza po wcześniejszym dwukrotnym powiększeniu starego wokół cerkwi (w 1852 r.). Śmierć przerwała jego starania. Kontynuował je Konstanty Szulakiewicz i w 1879 r. doprowadził do powstania nowego cmentarza w polach nieopodal wsi.

W 1875 r. car zlikwidował unię. Cerkiew w Łopienniku Ruskim przejął Kościół prawosławny, do którego wcielono przymusowo wyznawców Cerkwi unickiej. Reakcja unitów na tę zmianę była zdecydowanie negatywna. O zawieraniu małżeństw mieszanych nie mogło być już mowy. Wielu mieszkańców zaczęło żyć bez sakramentów, nie zawierano małżeństw i nie chrzczono dzieci.

Sytuacja taka trwała przez 30 lat.

Po wstrząsach politycznych w Cesarstwie Rosyjskim w 1905 r. i przegranej wojnie z Japonią wróciła wolność religijna. Od 30 kwietnia 1905 r. na zachodnich terenach zaboru rosyjskiego, szczególnie na ziemi chełmskiej większość unitów przyjęła obrządek łaciński, część tylko pozostała

przy prawosławiu. Wtedy to ok. 1000 byłych unitów Łopiennika i Dobryniowa przeszło z Cerkwi prawosławnej do Kościoła rzymskokatolickiego w Łopienniku Lackim. Czuli się bardziej związani z rzymską tradycją niż z obrządkiem wschodnim. Będący wtedy proboszczem katolickim ks. Feliks Szeleźniak miał pełnie ręce pracy. Przez cały rok udzielał czasami kilkudziesięciu ślubów miesięcznie, zdarzało się, że na jednej mszy - rodzicom i ich dzieciom. Religia grekokatolicka już nie wróciła do Łopiennika. Skasowanie unii kościelnej ukazem carskim w 1875 r. zakończyło wielowiekowe istnienie tej religii. Przy Kościele prawosławnym zostali tylko starsi parafianie mocno przywiązani do obrządku wschodniego i nowi osiedleńcy ze wschodu.



Po pierwszej wojnie światowej, w 1918 r. Polska odzyskała upragnioną niepodległość. Władze odrodzonego państwa u progu jego istnienia postrzegały Kościół prawosławny jako pozostałość struktur Cesarstwa Rosyjskiego, którą należy zlikwidować lub ograniczyć. Majątek pocerkiewny przejęto w zarząd państwowy. Wyznawcy prawosławia zaczęli mieć utrudniony dostęp do swojego kościoła. O unitach w Łopienniku Ruskim już nikt nawet nie pamiętał. Większość jego wyznawców już nie żyła lub zmieniła wiarę na katolicką. Trwająca na tym terenie przez 300 lat symbioza uległa całkowitej zagładzie.

W 1918 r. ludność miejscowa rozebrała cerkiew, a wyposażenie spaliła.

Istnieje relacja we „Wsi Krasnostawskiej” nr 3 z 1930 r. napisana przez Piotra Sawę, byłego ucznia Szkoły Rolniczej w Krasnymstawie. Fragment jego artykułu ośmielam się zacytować: „Przeżywali też mieszkańcy Łopiennika prześladowania religijne za wiarę. Przeżyli czasy przymusowego pędzenia do cerkwi, chrzczenia dzieci i grzebania zwłok na cmentarzu prawosławnym. [...] Po skoń-

czonej wojnie, zjechali się z dalszych stron mieszkańcy, co zostali wypędzeni przez najeźdźców. We wsi znowu powstał ruch. [...] Na środku wsi pozostał widomy znak hańby niewoli - cerkiew. Toteż długo gospodarze nie znieśli jej widoku i pewnego dnia kilku śmiałków rozpoczęło rozbiórkę cerkwi. Obrazy doszczętnie spalono. Nie uchroniono też jakiegos wartościowego obrazu sprzed 600-laty. Na cmentarzu cerkiewnym pozostały tylko wyniosłe świerki, które i dziś jeszcze potrafią wyszumieć, co kiedyś smuciło i radowało duszę mieszkańców”.



*Miejsce, w którym stała cerkiew. Okalające zarośla to dawny cmentarz przycerkiewny (1850 r.?), później przeniesiony na pobliskie pola.
fot. Andrzej Szadura*

Na cmentarzach unicko-prawosławnych nie ma już tych świerków. Wszystkie drzewa wycięto. Większość nagrobków kamiennych zdestawowano. Ukradziono piękne, żeliwne krzyże i wywieziono na złom. Cmentarz, szczególnie ten w miejscu byłej cerkwi, stał się wysypiskiem śmieci. Zniknął kościół, w którym przez 350 lat modlili się przodkowie większości mieszkańców gminy Łopiennik. Na naszych oczach znikają cmentarze, na których spoczywają kości naszych dziadów.

Elżbieta Przebirowska

Literatura:

1. Sawa Piotr - Z historii Łopiennika. „Ziemia Krasnostawska” nr 3/1930.
2. Borecki Paweł - Prześladowania religijne prawosławnych w II RP.
3. Pylak Bolesław abp - Roztropny budowniczy Kościoła Bożego. „Angelus Bronowicki” nr 5/2007.
4. Likowski Edward ks. - Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX w. uważane głównie ze względu na przyczyny jego upadku. Poznań 1880.
5. Dokumentacja aktowa z zespołu: Chełmski Konsystorz Grekokatolicki nr zespołu 95 sygn. 101-135, Archiwum Państwowe w Lublinie.

Zbigniew Atras

Tajemnice „Świętego Franciszka”



Najpiękniejszym obiektem sakralnym Krasnegostawu i całej ziemi krasnostawskiej jest barokowy kościół farny pw. św. Franciszka Ksawerego, który od ponad 310 lat pełni rolę centralnego ośrodka wiary w mieście i całym regionie. Kościół, wraz z kolegium, budynkiem dawnego seminarium duchownego (stara plebania), wikariatem i przylegającym do bryły świątyni pałacem biskupim, stanowi grupę budowli zwaną zespołem jezuickim. Wymienione obiekty wzniesli jezuici na przełomie XVII i XVIII wieku. Kościół zbudowano według projektu Jana Delamars w latach 1695-1741 z fundacji Krystyny z Lubomirskich Potockiej, a po jej śmierci – rodziny, zobowiązanej do dokończenia dzieła testamentem głównej fundatorki. Od początków swego istnienia bryła kościoła wpasowała się harmonijnie w obraz miasta, stanowiąc centralny punkt w jego panoramie, choć konkurowały z nim wówczas mury katedry i królewskiego zamku. W 1773 roku nastąpiła kasata zakonu jezuitów na mocy dokumentów wydanych przez papieża Klemensa XIV. Jezuicką świątynię przejęła kuria diecezji chełmskiej i uczyniła z niej kościół katedralny, którym był do roku 1826, czyli do czasu przeniesienia siedziby biskupiej do Lublina. Kościół św. Franciszka został wówczas kościołem farnym, czyli głównym w mieście, parafialnym oraz będącym siedzibą dziekana, i tak jest do dnia dzisiejszego.

W obecnej panoramie miasta nie znajdziemy już murów starej katedry i piastowskiego zamku królewskiego, jednak bryła jezuickiego kościoła farnego św. Franciszka nadal stanowi jej najpiękniejszy element i to pomimo braku wielkiej kopuły, która uległa zawaleniu w wyniku katastrofy budowlanej, jaka nastąpiła w 1849 roku. Historyczny przekaz tak opisuje całe zdarzenie: „Na dniu 21 maja 1849 mieszkańcy miasta o trzy kwadranse na 12 przed północą przebudzeni zostali łoskotem zapadającej się Bazyliki na kościele tutejszym. Na tejże rotundzie na samym wierzchu bani miedzianej w półksiężycu stała figura Najświętszej Panny Niepokalanej Poczęcia, z drzewa, mająca koronę z siedmioma gwiazdami. A na dniu 6 Maja t. r. taż korona z gwiazdami oderwana została i tylko na jednej szrubie gwiazdy nad głową Najświętszą obracały się tak jakby o niebezpieczeństwie nadchodzącym mieszkańców tutejszego miasta



Polichromia z widokiem kościoła

ostrzegali”. W latach 1849-50 przeprowadzono remont kościoła farnego, jednak wielkiej kopuły już nie odbudowano, zapewne ze względu na szczupłość środków, jakimi wówczas dysponowano. Patrząc dziś na kościół św. Franciszka, trudno wyobrazić sobie, jak naprawdę wyglądał pierwotnie. Jego obie wieże jeszcze dziś górują znacznie nad całym miastem, a przecież nieistniejąca kopuła z tzw. latarnią i figurą Maryi była od nich dużo wyższa i potężniejsza. Powszechnie znanym widokiem kościoła z XVIII wieku jest jego obraz umieszczony na sztandarze cechowym znajdującym się w krasnostawskim muzeum. Jednak jest to malunek niezachowujący proporcji ani skali, a więc nieprawdziwy. Drugim istniejącym widokiem kopuły i wież kościoła św. Franciszka jest rysunek krasnostawskiego zamku autorstwa Zygmunta Vogla, na którym widać bardzo dokładnie odwzorowaną, ale tylko górną część świątyni. Czy dowiemy się kiedyś jak wyglądał kościół z wielką kopułą i Matką Bożą na szczycie? A może pierwotny obraz kościoła św. Franciszka podzieli los starej katedry i zamku, których widoków nikt do tej pory nie odnalazł? Całe szczęście, tak się nie stanie. W czasie remontu zakrystii kościoła, odnowiono znajdujące się tam polichromie. Na jednej z nich znajduje się widok kościoła z wielką kopułą. Obraz po renowacji ukazał widok świątyni w jej dawnej krasie. Tym sposobem jedna z tajemnic przestała nią być. Wspomniana polichromia, ze względu na zniszczenia struktury malowidła, nie dała się całkowicie odtworzyć. Tylko jej centralna część dobrze się zachowała. Prawa i lewa strona obrazu to praktycznie białe plamy, a szkoda, bo wszystko przemawia

za tym, że malowidło przedstawiało niegdyś także widok starej, krasnostawskiej katedry, a może i stojącej na przykatedralnym cmentarzu kaplicy św. Anny, z której korzystali jezuici w pierwszym okresie swego pobytu w Krasnymstawie. Wszystkim, którzy chcieliby zobaczyć dawny wygląd kościoła św. Franciszka z wielką kopułą polecam odwiedzić odnowioną zakrystię.

Patrząc od frontu na wieże kościoła farnego św. Franciszka, widzimy okręgi w górnej części elewacji, tuż pod otworem okiennym wyższej kondygnacji. Czy są to tylko elementy dekoracyjne, a może spełniały inną rolę? Kolejna zagadka. Opisy budowy kościoła wspominają, że na południo-

wej wieży jezuici umieścili zegar. Czy w ten sposób chcieli stworzyć konkurencję dla zegara na miejskim ratuszu? Chyba nie, gdyż średniowieczny ratusz spłonął w 1811 roku, czyli 30 lat wcześniej niż wybudowano kościelne wieże. Tak więc bracia zakonni, umieszczając zegar na kościelnej wieży, przywrócili miastu utracony symbol jego rangi i atrybut królewskiego grodu. Jak wyglądała tarcza kościelnego zegara, czy był to prosty element, czy też pełen przepychu i prawdziwe dzieło sztuki z połączonymi wskazówkami - nie wiadomo. Czy posiadał tylko jedną tarczę zegarową od strony rynku i katedry, czy może drugą zwróconą na dziedziniec kolegium - też nie wiemy. Jedyne, co jest pewne to fakt, że zegar zdołał południową wieżę jezuickiej świątyni. Na zdjęciu kościoła wykonanym w latach 20-30. ubiegłego wieku wydaje się, że zegar jest widoczny, a wskazówki pokazują chyba godzinę czternastą dwadzieścia pięć. Niestety, jakość fotografii jest bardzo słaba i uniemożliwia duże powiększenie. Dziś zegara już tam nie ma. Prawdopodobnie został zniszczony w czasie silnego ostrzału artyleryjskiego w 1939 roku. Fotografie kościoła z tych lat ukazują ostrzelaną wieżę, a zniszczone przez pociski miejsce po zegarze zajmuje chyba tuba głośnika, bo raczej nie wygląda to na resztki tarczy zegarowej. Dziś wewnątrz kościelnej wieży pozostał tylko fragment podstawy mechanizmu dawnego zegara, będący jedynym dowodem i pamiątką jego istnienia.

Powróćmy jeszcze do 1849 roku, czyli do dnia, w którym runęła kopuła kościoła. Spadające z wysokości mury załamały posadzkę i zagruzowały całkowicie znajdujące się pod nią krypty grobowe. W czasie przeprowadzonego remontu, gruzów nie wydobyto, a krypty zamurowano nowym stropem. Istniejące wejścia znajdujące się przy obu bocznych ołtarzach zamurowano kilkanaście lat temu. Ostatnie zachowane, przy ołtarzu głównym, prowadzi do kilkumetrowej niszy zamkniętej dalej przez zwaly gruzu, spod których widoczne są dwie ocalałe trumny. Brak wentylacji w zagruzowanych kryptach sprawił, że wytworzył się tam jakiś rodzaj pleśni, powodującej trudności w oddychaniu, dlatego wejście do nich jest niedostępne ze względów bezpieczeństwa. Nie wiemy pod jaką dużą częścią kościoła znajdowały się krypty i czy może jakaś ich część ocalała. Jak wyglądały i gdzie ich szukać? Kolejne pytania i następna zagadka. Tymczasem okazuje się, że sąsiadujący z kościołem farnym pałacyk biskupi ma połączenie ze świątynią, a dokładnie - z kościelnymi kryptami. Schodząc do piwnic pałacyku przez przejście w kształcie łuku,



Prawdopodobnie zegar na lewej wieży



Ostrzelana wieża i „to coś”



Zamurowany korytarz

wchodzimy do części kościoła znajdującej się pod zakrystią. Wzdłuż zewnętrznej ściany kościoła, od strony obecnej ulicy Piłsudskiego, prowadzi kilkunastometrowy, wąski korytarz. Cały kościół, włącznie z podziemiami, zbudowany jest z cegły. Tymczasem korytarz przykryty ceglany stropem łukowym, murowany jest ścianą z kamienia. Odmienność wykorzystanego materiału świadczy o tym, że korytarz prowadził dalej, być może aż do wieży kościoła, a zamurowano go zapewne po zawaleniu się kopuły i zagruzowaniu dalszej części krypt. Pośrodku korytarza znajduje się wejście do ocalałej krypty. Jej wymiary są zbliżone do wymiarów zakrystii, a wysokość sięga około 4,5 metra. Kryptę przykrywa ceglany strop krzyżowy. Na ścianach od strony kościoła widoczne są zamurowane łuki, będące niegdyś zapewne przejściami do sąsiednich, obecnie zagruzowanych krypt kościelnych. W opisywanej ocalałej krypcie brak śladów pochówków. Być może nie była jeszcze w tym celu wykorzystana, jednak jej wygląd pozwala snuć przypuszczenia, że podobnie wyglądały pozostałe krypty kościoła św. Franciszka. Nie wiadomo, czy opisywana krypta jest jedyną ocalałą. Jeżeli jednak przyjmujemy, że przy planowaniu świątyni kierowano się zasadami symetrii, to podobna krypta powinna znajdować się pod kaplicą Pana Jezusa i jest nadzieja, że mogła także ocaleć, a wejścia do niej należy szukać w kolegium jezuickim.

Kościół farny św. Franciszka skrywa oczywiście wiele innych tajemnic i zagadek. Niektóre z nich są już znane, a odkrycie wielu jest jeszcze przed nami. O istnieniu pomieszczenia zwane go skarbcem, a znajdującego się nad zakrystią,

wszyscy zapewne wiedzą. Wejście do skarbcza prowadzi z zakrystii, schodami mieszczącymi się w grubości muru kościoła. Takie samo wejście prowadzące do nieistniejącego już dziś kapitułarza i łoży kolatorskiej znajduje się w kaplicy Pana Jezusa. Kaplica kryje jeszcze jedną zagadkę, a mianowicie - jakie jest pochodzenie znajdującego się w niej ołtarza. Każdy zauważy, że ołtarz nie pasuje stylowo do pozostałych i wygląda na o wiele starszy od innych. Zapewne pochodzi z któregoś z nieistniejących

już dziś kościołów krasnostawskich. Może był ozdobą starej katedry, kościoła Świętego Ducha na Grobli, cmentarnego kościoła Przemienienia Pańskiego znajdującego się niegdyś na, lub w pobliżu dzisiejszego dworca PKS, a może - z kościoła Świętego Krzyża oo. bonifratrów, o którym praktycznie nic nie wiadomo. Chyba nie pocho-



Pałac biskupi - zejście do krypt



Ściana z wejściem do krypty

dzi z augustiańskiego kościoła Świętej Trójcy, ale ostatecznej pewności nie ma. Jest to jednak największa pamiątka po dawnych świątyniach miasta. Ołtarz główny kościoła św. Franciszka i oba duże ołtarze boczne posiadają po dwa obrazy okresowo zamieniane. W lewym ołtarzu bocznym znajdują się obrazy: Najświętszej Panny Marii Pośredniczki Łask oraz Ustanowienie Szkaplerza i Różańca. Z tego ołtarza pochodzi chyba też restaurowany obecnie obraz Święty Józef i Jezus. W prawym ołtarzu są obrazy: św. Stanisława Kostki oraz św. Floriana, z widokiem Krasnegostawu w dolnej części. Jakże obrazy znajdują się w ołtarzu głównym? Oczywiście św. Franciszka Ksawerego. Jest ich dwa i oba przedstawiają podobną scenę z życia świętego, mianowicie chrzest pogańskich władców. Choć obrazy są podobne, to jednak różnią się od siebie i jeżeli się im nie przyjrzymy dokładnie, nie zauważymy zmiany. Obraz obecnie wystawiony pochodzi z 1. poł. XVIII wieku, w stylu późnobarokowym, namalowany według szkoły włoskiej lub francuskiej. Drugi z obrazów, współczesny, pędzla Józe-

fa Buchbindera, wymaga gruntownej renowacji i nie jest obecnie wystawiany. Zagadkowy obraz znajduje się także w pierwszej bocznej kaplicy po lewej stronie od wejścia. Jest to obraz św. Agaty. Za czasów jezuitów była to kaplica poświęcona św. Marii Magdalenie. Obraz św. Agaty pojawił się tu później. Tak naprawdę to są to tylko jego fragmenty (twarz, ręce i stopy) wycięte z obrazu świętej i ubrane w srebrną, XVIII-wieczną sukienkę. Skąd po-

chodzi ten obraz? Zapewne ze starej katedry, gdzie w kaplicy Jezusa Miłosiernego (jednej z czterech kaplic kościoła) znajdował się boczny ołtarz św. Agaty – patronki Krasnegostawu. A może zdobił on jedną z bram wjazdowych do miasta? Nie wiadomo. Opisując wyżej wymienione obrazy, nie sposób nie wspomnieć o bogatej polichro-



Wygląd ocalalej krypty

mii pokrywającej strop i ściany kościoła, pędzla franciszkanina Adama Swacha, namalowanej około 1723 roku. Przedstawia ona obrazy z życia św. Franciszka Ksawerego, lecz zagadką jest na nich duża liczba postaci Indian amerykańskich wy-

pełniających sceny malowideł. Takiej ilości Indian nie znajdziemy w żadnym innym polskim kościele. Skąd się wzięli? Przecież Franciszek Ksawery nie prowadził misji w Ameryce, tylko w Azji. Wy tłumaczeniem jest to, że o ile Adam Swach był dobrym malarzem, to niestety - słabym znawcą ówczesnego świata. Chyba po prostu pomylił opisy Indian amerykańskich z mieszkańcami Indii, czyli Hindusami, i dzięki temu mamy w naszym kościele farnym prawdziwy rezerwat indiański. Polichromia kościoła św. Franciszka jest bardzo bogata i ciekawa w swej tematyce. Największym jej znawcą i ekspertem jest dziekan i proboszcz parafii ks. Henryk Kapica, który potrafi o niej opowiadać całymi godzinami.

Powróćmy jeszcze do wyremontowanej zakrystii kościoła. Nad drzwiami wejściowymi znajduje się jeszcze jedno zagadkowe malowidło, gdzie na pierwszym planie widoczny jest długi most i wznosząca się za nim kwadratowa wieża kościoła. Cóż to za kościół? Jeżeli malowidło przedstawia dawny Krasnystaw, to jedyną świątynią przy moście był kościół na Grobli. Przekazy mówią, że był to kościół drewniany, wzniesiony w stylu gotyckim. O wieży, ani o jej braku dokumenty nie wspominają. Czyżby więc tak wyglądał dawny kościół Świętego Ducha na Grobli? Największą zagadką kościoła farnego, z jaką się spotkałem jest informacja, że pierwotnie stojące na wieżach figury św. Ignacego Loyoli i św. Franciszka Ksawerego były odlane z miedzi i pozłacane. Być może tak było, przecież cały dach pokryty był blachą miedzianą. Po zawaleniu się kopuły, blachę miedzianą, ze względu na koszty zastąpiono tą dzisiejszą. Gdzie więc się podziały oryginalne miedziane figury, oraz kto i kiedy zastąpił je drewnianymi, pokrytymi zwykłą blachą?

Krasnostawska fara, czyli kościół św. Franciszka Ksawerego, ma bardzo bogatą historię, w czasie której był zakonną świątynią jezuicką, katedrą diecezji chełmskiej i ostatecznie kościołem parafialnym. Przez wieki ustalało się wiele zabytków świadczących o jego randze i roli, jaką odegrał w krzewieniu wiary. Dziś wiele z tych eksponatów trafiło do katedry w Lublinie, muzeum w Krasnymstawie, oraz różnych bibliotek i archiwów w kraju i za granicą. Można powiedzieć, że w samym kościele pozostało tylko to, co trudno było zabrać.

Na zakończenie powróćmy jeszcze do pałacyku biskupiego zbudowanego przez jezuitów w 1. poł. XVIII wieku, a w latach 1780-1826 użytkowanego jako rezydencja biskupów chełmskich. W piwnicach tej budowli, a dokładnie - w jej za-

chodniej części, znajduje się korytarz, którego ściany na wysokość około 1 metra zbudowane są z kamienia. Identyczną budowę i podobną strukturę kamiennego materiału ma korytarz w kolegium jezuickim zbudowany na dawnych, obronnych murach miejskich. Świadczy to o tym, że zarówno kolegium, jak i zachodnia ściana pałacyku biskupiego zostały wzniesione na rozebranych w tym miejscu murach miasta. Korytarz z obu stron został zamurowany kamiennymi, o wiele młodszyimi ścianami, tak że jego dalszy ciąg jest niedostępny. Najciekawsza jest część korytarza wiodąca w kierunku dzisiejszej ulicy Piłsudskiego, gdzie niegdyś znajdowała się brama miejska, zwana krakowską. To właśnie w jej kierunku prowadzi zamurowany dziś korytarz. Dokumenty historyczne mówią, że w 1591 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał Stanisław Gomoliński, który w pierwszej kolejności przystąpił do budowy pałacu biskupiego w Krasnymstawie. Niektórzy uważają, że chodzi tu o istniejący, pojezuicki pałacyk biskupi, lecz nie może to być prawdą. Fakty wskazują, że obecny pałacyk został zbudowany na rozebranych murach miejskich. W końcu XVI wieku mury odgrywały znaczącą rolę w systemie obronnym miasta, dlatego nie mogły być rozebrane. Jeszcze w początkach XVIII wieku rada miasta nie chciała się zgodzić na rozebranie murów w miejscu, gdzie dziś stoi południowo-zachodnia część kolegium jezuickiego. Wybudowanie w Krasnymstawie pałacu biskupiego w końcu XVI wieku jest faktem i nie był to obecny pałacyk. Gdzie więc znajdował się zagadkowy pałac, którego śladów próżno szukać w dokumentach i planach miasta?

Tyle niewiadomych, ciekawych i tajemniczych zdarzeń, brakujących dokumentów, zagadkowych miejsc. Tyle nieodkrytych faktów i zabytków, że aż się prosi o założenie klubu odkrywców czy poszukiwaczy krasnostawskich tajemnic. Dwa lata temu grupka zapaleńców rozpoczęła taką działalność przy kościele Rozesłania Apostołów w Chełmie. Dziś organizują już w tym kościele małe muzeum parafialne, a odkryte przez nich dokumenty (list papieża do chełmskiego biskupa unickiego) i eksponaty (proporzec Ligi Morskiej i Kolonialnej) mają naprawdę dużą wartość historyczną, ale przede wszystkim zostały uratowane przed zniszczeniem i zapomnieniem. Może i u nas warto spróbować i już w przyszłym roku odkryć pierwsze skarby. Dla zainteresowanych - kontakt jak zawsze w „Nestorze” - przez redakcję.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Kancelarie notarialne
w Krasnymstawie w XIX-XX wieku.
Zarys działalności

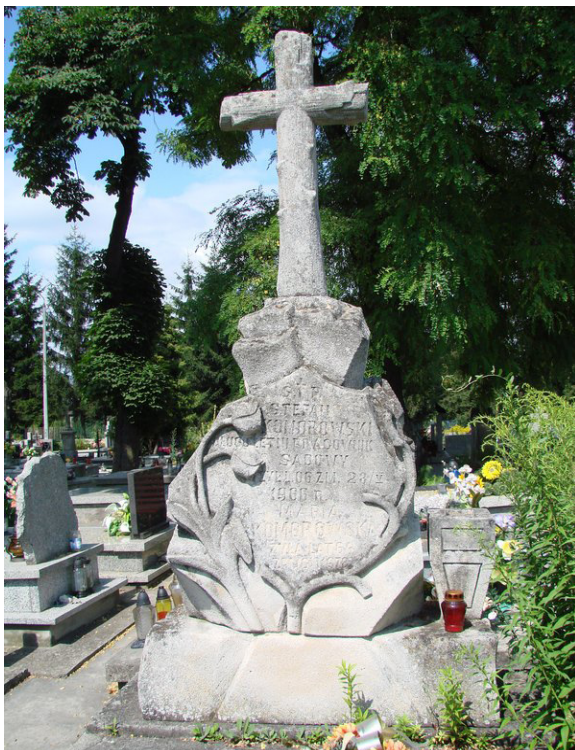


W zbiorach Archiwum Państwowego w Zamościu znajdują się obszerne akta notariuszy krasnostawskich. Dokumenty obejmują ponadstuletni okres działania kancelarii notarialnych w tym mieście. Są to księgi z kancelarii prowadzonych przez następujących notariuszy: Saturnina Bagińskiego (lata 1940-1945), Edwarda Bulińskiego (lata 1876-1891), Tadeusza Jarnuszkiewicza (1909-1928, w tym inwentarz wspólny ze Stefanem Kłosińskim), Jana Kiciaka (1946-1947), Stefana Kłosińskiego (1911-1917, w tym inwentarz wspólny z Tadeuszem Jarnuszkiewiczem), Brunona Kołaczyńskiego (1949-1951), Eugeniusza Komorowskiego (1929-1952), Jana Kudelskiego (1947-1951), Jakuba Majewskiego (1889-1909), Wiktora Moszczyńskiego, Czesława Rożenka (1943-1945), Włodzimierza Skibińskiego (1941-1943), Eugeniusza Szalkowicza (1938-1940), Michała Wiszniewskiego (1952-1953), Dyonizego Wysockiego (1949-1950) oraz Edwarda Bulińskiego (1876-1888). W zamojskim archiwum przechowywane są też akta notariatów z siedzibą w Krasnymstawie, jeszcze nieuporządkowane.

Działające na terenie Rzeczypospolitej notariaty tworzone były na mocy ustawy notarialnej z 4 lipca 1808 roku. Do zadań notariuszy należało sporządzanie dokumentów w formie aktu notarialnego, przejmowanie dokumentów na przechowanie, wydawanie odpisów i dokonywanie poświadczeń. Podstawową część zawartości ksiąg notarialnych stanowiły umowy i dokumenty własnościowe: kupna-sprzedaży, najmu, dzierżawy, zamiany gruntów, intercyzy przedślubne, akty darowizny, testamenty, zapisy i plenipotencje. Notariusze prowadzili również pomoce kancelaryjne - wspomniane już repertoria i skorowidze. Zwracają wśród nich uwagę przede wszystkim inwentarze majątkowe.

Są to dokumenty o największej wartości naukowej spośród wymienionych. Zawierają wiele informacji na temat szeroko pojmowanej kultury materialnej, stosunków własnościowych na danym obszarze, informują o majątku i pracy zawodowej. Analizują je badacze wielu dziedzin historii, literatury, sztuki czy nawet muzyki. Sporządzano je

najczęściej przy okazji zapisów testamentowych, licytacji i sprzedaży.¹ Równie ciekawe są takсации budowli. W dokumentach tego typu dokładnie i wnikliwie są opisywane domy, ich wyposażenie wraz z oszacowaniem wartości. Kolejna forma zapisów to akty kupna-sprzedaży oraz umowy, kontrakty i układy, wśród których największą liczbę stanowią umowy o kupno gruntów i folwarków. Dzięki dokumentom notarialnym możemy ustalić dokładne daty urodzin, zgonów i koligacji rodzinnych różnych osób. Pewną wartość dla nauk humanistycznych posiadają takie akty notarialne jak zobowiązania finansowe, plenipotencje czy weksle. Stosunkowo często spotykanym rodzajem zapisów notarialnych są testamenty, które również



Nagrobek Stefana Komorowskiego (1900-1966),
pracownika sądowego w Krasnymstawie,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2010 r.

1. Por. A. Szykuła, Dwory ziemiańskie i garderoba ziemianek Zamojszczyzny na podstawie inwentarzy notarialnych z lat 1835-1876, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej”, nr 1, 2008, s. 19-29;

Z dawnych inwentarzy. Akta notariuszy jako źródło do badań nad kulturą materialną Zamojszczyzny, „Archiwariusz Zamojski”, 2007, s. 37-53;

Akcesoria lekarskie i cyryliczne, „Archiwariusz Zamojski”, nr 7, 2008, s. 101-107;

Akta notariuszy jako źródło do badań nad kulturą materialną Zamojszczyzny, „Archiwariusz Zamojski”, 2007, s. 37-53.

zawierają inwentarze majątkowe. Mogły być spisywane przez notariuszy, bądź składane im jako akty ostatniej woli. Zapisy wykonywane przez rejentów posiadały schemat inwentarza, natomiast treść postanowienia zapisana przez testatora najczęściej była pisana w sposób luźny. Akta ostatniej woli właścicieli majątku posiadały postanowienia wobec osób obdarowywanych, instytucji świeckich czy kościelnych. Inwentarze znajdowały się również w intercyzach przedślubnych. Dokumenty te zapewniały przyszłym małżonkom gwarancję egzekwowania zapisanego majątku włączanego do wspólnego mieszkania. Inwentarz posiadał numer porządkowy z zaznaczonym obok rokiem, w którym był spisany.

Pierwszy akt notarialny w Krasnymstawie został sporządzony w kancelarii notariusza Edwar-da Bulińskiego, dnia 6 stycznia 1876 roku.²

Wśród aktów kancelarii notarialnych w Krasnymstawie przeważają dokumenty kupna-sprzedaży lub wynajmów. Również ten rodzaj źródeł może być pomocny w badaniu kultury materialnej na tych terenach. Dla przykładu, pewną wartość dla takich badań posiada załącznik do aktu nr 194/32, sporządzony w kancelarii notarialnej Tadeusza Jarnuszkiewicza, w 1924 roku. Z dokumentów możemy dowiedzieć się o początkach działalności w Krasnymstawie Banku Ziemi Polskiej, z siedzibą główną w Lublinie. W kwietniu do kancelarii Tadeusza Jarnuszkiewicza przyszedli Jan Klarner i Piotr Cichocki, którzy pełnili funkcje kolejno wicedyrektora i prokurenta Banku Ziemi Polskiej oddziału w Lublinie.³ W obecności mieszkających w Lublinie świadków, Józefa Szostaka i Oktawiana Szostakowskiego, na nowo powstałą placówkę w Krasnymstawie powołano wówczas mieszkającego w Krasnymstawie Piotra Berdeckiego, prokurentem została, również mieszkająca w Krasnymstawie, Zofia Orłowska. Pracownicy mieli również zająć się znalezieniem lokum dla Banku.⁴

Wszystkie rodzaje akt notarialnych umożliwiają wyczerpujące badania naukowe nad różnymi dziedzinami życia gospodarczego i społecznego w ciągu okresu, w którym działał notariat.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Zbigniew Atras

Ostatni wiek istnienia -
likwidacja diecezji chełmskiej
i przeniesienie siedziby biskupiej
z Krasnegostawu do Lublina



Istniejącą już 325 lat diecezję chełmską w wiek XVIII wprowadził jej nowy ordynariusz **Michał Wyżycki** (1619-1705), który 11 IV 1699 roku został mianowany przez króla Augusta II Mocnego biskupem chełmskim. Nowy biskup był członkiem zakonu kanoników regularnych i opatem czerwińskim tegoż zgromadzenia, a przez pewien czas pełnił funkcję sekretarza koronnego na dworze królewskim. W kraju zasłynął jako największy miłośnik wina, a w diecezji - jako budowniczy rezydencji biskupiej w Skierbieszowie, która przetrwała do 1915 roku. Biskup Michał Wyżycki zmarł w 1705 roku, po sześciu latach posługi w diecezji i został pochowany w kościele Franciszkanów w Zamościu. Biskupem pomocniczym w tym czasie był Jan Dłużewski (1658-1720) administrujący diecezją od 1695 roku, a który w 1700 roku został mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim, czego jednak nie zatwierdziła Stolica Apostolska. Sytuacja gospodarcza diecezji chełmskiej była ustabilizowana. Na koniec XVII wieku dochody biskupstwa szacowano na 6 700 florenów polskich. Kapituła katedralna powiększyła się w ciągu poprzednich lat z 2 do 7 prałatur (w nawiasie - rok powstania) - prepozyt i dziekan (1429), archidiacon (1639), kustosz (1642), scholastyk (1663), kanclerz i kantor (1680) oraz z 10 do 12 kanonii. Dla uzyskania prałatury, archidiaconii, scholasterii i kancelarii obowiązywał wymóg posiadania doktoratu teologii lub prawa kanonicznego.

Stolica diecezji chełmskiej, czyli miasto Krasnystaw, na przełomie wieków stało się dużym placem budowy za sprawą sprowadzonych przez biskupa Stanisława Świąćckiego w 1685 roku braci zakonu jezuitów. Znani ze skuteczności i skali działania jezuita, już w roku swojego przybycia założyli pierwszą w mieście aptekę. W 1688 roku otworzyli w Krasnymstawie szkołę o niższych klasach, a w 1691 roku działała już humaniora czyli szkoła średnia ucząca poetyki, retoryki oraz prowadząca kursy teologii. Wiosną 1693 roku jezuita przystąpili do wznoszenia gmachu kolegium, zaś w 1697 rozpoczęli budowę kościoła św. Franciszka Ksawerego. W 1699 roku mury kościoła zostały przykryte dachem, a w maju tegoż roku w kryptach

2. Archiwum Państwowe w Zamościu, (dalej APZ), Akta Notariusza Edwarda Bulińskiego, sygn. 1, 1876 r., akt nr 1.

3. APZ, Akta Tadeusza Jarnuszkiewicza, 1924 r., akt nr 194/32.

4. Tamże.



Herb diecezji chełmskiej

wznoszonej świątyni spoczęła jej fundatorka i dobrodziejka zakonu jezuitów, Krystyna z Lubomirskich Potocka, wojewodzina krakowska.

Latem 1704 roku wojska szwedzkie pod dowództwem generała Stenbocka, w sile kilku tysięcy żołnierzy, pustoszyły teren diecezji i zdobyły Krasnystaw. Miasto i zamek zostały spalone, a kolegium i kościoły - ograbione, lecz od ognia ocalały. Po Szwedach ziemie diecezji najechali Kozacy prowadzeni przez hetmana Mirowicza. Dopiero kolejny, 1706 rok był spokojniejszy. Krasnystaw wraz z całą diecezją chełmską witał uroczystie nowego biskupa, którym 14 XII 1705 roku został **Kazimierz Łubieński** (1642-1719), wcześniejszy opat czerwiński, a dotychczas pomocniczy biskup krakowski. Studia teologiczne odbył w Krakowie, a następnie w Collegio Romano, gdzie otrzymał tytuł magistra. Biskup Łubieński w pierwszych latach swoich rządów wyremontował zniszczoną w czasie toczących się wojen, katedrę krasnostawską. W całym kościele wykonano nową posadzkę i zakupiono organy. Na cześć dwunastu apostołów - patronów katedry, biskup ufundował 12 pozłacanych, srebrnych kielichów mszalnych, wiele szat liturgicznych i bogato haftowanych ornatów. Biskup Łubieński słynął z dobroczynności i opieki nad ubogimi. Codziennie własnym kosztem karmił 30 ubogich, a 12 studentów pochodzących z drobnej szlachty utrzymywał na Akademii Krakowskiej. Dla powiększenia dochodów kanoników diecezjalnych, za zgodą Stolicy Apostolskiej nadał kapitule katedralnej zamożne probostwo hrubieszowskie. W 1710 roku Kazimierz Łubieński powołany został na biskupstwo krakowskie. Lata jego posługi w diecezji chełmskiej nazwały wojny i zniszczenia oraz podejmowane ciągle próby od-

budowy niweczone przez kolejne najazdy. W 1707 roku diecezję niszczyły wojska saskie, szwedzkie i moskiewskie, a ich skutkiem były spalone gmachy kolegium, odbudowane dopiero w 1709 roku. Pomimo stałych zagrożeń i toczących się wojen, zniszczone w diecezji kościoły stale odbudowywano, a wznoszone przez jezuitów gmachy kolegium i kościoła św. Franciszka postępowały.

Kolejnym biskupem chełmskim został na krótko **Teodor Wolff** (1662-1712), jezuita, biskup pomocniczy inflancki z prawem następstwa po ordynariuszu tej diecezji i dotychczasowy administrator diecezji gnieźnieńskiej. Do godności biskupa chełmskiego został wyniesiony 10 XI 1710 roku, lecz tak naprawdę to diecezji nie zdążył objąć. Zmarł w 1712 roku w trakcie przygotowań do uroczystego ingresu i został pochowany w Warszawie. Okres częstych zmian na tronie biskupów chełmskich przerwał dopiero **Krzysztof Szembek** (1670-1740), dotychczasowy kanonik krakowski i przemyski oraz proboszcz miechowski. Po ukończonych studiach, z tytułem doktora teologii, został pisarzem koronnym i posłem na sejm. Jego brat Stanisław Szembek był prymasem Polski i kanclerzem. Nominację na biskupstwo chełmskie Krzysztof Szembek otrzymał 22 V 1713 roku na wniosek króla Augusta II Mocnego i za aprobatą papieża Klemensa XI. Po objęciu diecezji, nie bacząc na niespokojne i niebezpieczne czasy, podjął trud szczegółowej wizytacji. Zachowane przekazy podają, że odwiedził osobiście wszystkie kościoły diecezjalne. Efektem tych podróży był spis praw i przywilejów poszczególnych probostw. Według wizytacji, diecezja liczyła wówczas 81 parafii i kolegiatę w Zamościu, jedno seminarium (przy Akademii Zamojskiej), dwa kolegia jezuickie (Krasnystaw i Łaszców) i dwa pijarskie (Chełm i Waręż), a także sieć kilkudziesięciu szkół parafialnych. Klasztorów męskich w diecezji było 19, a żeńskich - trzy. 18 VII 1717 roku biskup Szembek zwołał w krasnostawskiej katedrze V Synod Diecezjalny, który zajął się głównie umocnieniem roli parafii. W obradach uczestniczyło również duchowieństwo unickie wraz ze swym biskupem Józefem Łowickim, który w ostatnim dniu synodu odprawił uroczystą liturgię w obrządku wschodnim. Synod określił stan majątkowy diecezji, nakazał odbywanie zjazdów dekanalnych i usunął wiele nieprawidłowości w zakresie kultu. Ustalono także wykaz ówczesnych dekanatów i parafii, według kolejności (w nawiasie - rok budowy kościoła lub pierwszej historycznej wzmianki): **1 dekanat krasnostawski** - parafie: Krasnystaw (1366), Skierbieszów

(1436), Uchanie (1484), Wojsławice (1440), Bończa (1468), Siennica (1468), Surhów (XVI w.), Gorzków (1404), Łopiennik (1426); **2 dekanat zamojski** - parafie: Zamość (1584), Szczepieszyn (1398), Wielająca (1424), Tarnogóra (1544), Stary Zamość (1531), Sitaniec (1485), Łabunie (1435), Majdan - obecnie Józefów Ordynacki (1717); **3 dekanat chełmski** - parafie: Chełm (1417), Kumów (1434), Pawłów (1421), Olchowiec (1457), Wereszczyn (1634), Sosnowica (1678), Olchówek (1507), Sawin (XV w.), Czuczycze (1513), Świerże (1443), Uhrusk (1551); **4 dekanat lubomelski** - parafie: Lubomi (1412), Opalin, Ratno (XVI w.), Przewały (1464), Kamień Koszyrski, Maciejów (XVI w.), Korytnica (1605), Dubienka (1588); **5 dekanat hrubieszowski** - parafie: Hrubieszów (1416), Trzeszczany (1468), Moniatycze, Horodło (1287), Kryłów XV w.); **6 dekanat grabowiecki** - parafie: Grabowiec (1394), Dub (1544), Wożuczyn (1409), Tyszowce (1424), Nabroż (1411), Łaszczów, Gródek (1409), Dzierżążnia (1537), Rachanie (1435); **7 dekanat sokalski** - parafie: Sokal, Tartaków, Stojanów, Witków, Dobrotwór, Ostrów, Waręż, Stanin; **8 dekanat bełski** - parafie: Bełz (1394), Chodywańce (1425), Mosty, Uhrynów, Goszczów (1472), Rzepin (1403), Żerniki; **9 dekanat potylicki** - parafie: Potyllice, Magierów, Rawa, Uhnów, Płaszczówka (1700), Tomaszów (1627), Narol (1595), Florianów, Lipsko (1403), Płazów - Lubela (1615); **10 dekanat turobiński** - parafie: Turobin (1430), Czernięcin (1326), Biłgoraj (1603), Mokrelipie (1403), Chłaniów (1419), Płonka (1429), Żółkiew - obecnie Żółkiewka (XV w.).

Każdego dnia biskup Szembek udzielał się duszpastersko, głosił kazania, spowiadał, katechizował, a nawet jeździł do chorych. W czasie swej posługi odnowił krasnostawską katedrę, nadzorując osobiście jej restaurację („Katedrę swoją opatrzył ołtarzem wielkim, amboną na kościele, stallami dla kanoników, ławkami i posadzką marmurową. Do zakrystii sprawił aparata różne, i krzyż srebrny do procesji. Wprowadził na święto Narodzenia Matki Boskiej, czterdziestogodzinne nabożeństwo.”) oraz ofiarował do katedry relikwie Drzewa Krzyża Świętego. 8 IX 1717 roku biskup chełmski Krzysztof Szembek przywiózł na Jasną Górę i „ceremonii wobec tłumów ludu dokonał”, aktu ukoronowania obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej koronami podarowanymi przez papieża Klemensa XI. Była to pierwsza koronacja obrazu maryjnego w Polsce. Wielka troska biskupa o dobro diecezji chełmskiej przejawiała się również w podejmowaniu stałych prac restauratorskich

i odbudowie zniszczonych przez wojny kościołów parafialnych, zakonnych i kaplic w biskupstwie. 19 II 1719 roku biskup Szembek osobiście erygował drugie (po zamojskim - wówczas nie działającym) seminarium diecezjalne, lokowane w Krasnymstawie. Jego fundatorem był ks. Czulski, który jeszcze jako kanonik chełmski, przeznaczył 18 000 florenów polskich na utworzenie krasnostawskiego seminarium, budowę dwupiętrowego domu dla kleryków i utrzymanie 12 alumnów. Początkowo seminarium prowadzone było przez jezuitów, a w późniejszym okresie - przez profesorów Akademii Zamojskiej, misjonarzy św. Wincentego a Paulo i księży diecezjalnych. Biskup Szembek brał także czynny udział w życiu politycznym kraju, uczestnicząc między innymi w pracach komisji zajmującej się wcieleniem Inflantów do Polski. 15 V 1719 roku, po sześciu latach posługi w diecezji chełmskiej, Krzysztof Szembek został przeniesiony na biskupstwo przemyskie.



Biskup Aleksander Fredro

Kolejnym biskupem został **Aleksander Fredro** (1674-1734), który nominację na diecezję chełmską otrzymał 29 III 1719 roku. Gruntownie wykształcony, pełnił dotychczas funkcje sekretarza wielkiego koronnego i prezydenta Trybunału Koronnego. Wzorem swego poprzednika, biskupie rządy rozpoczął od wizytacji diecezji. Największą uwagę poświęcał ludziom najbardziej potrzebującym, wspierając ich na co dzień licznymi ofiarami pochodzącymi z własnego majątku, stąd też wziął się biskupi przydomek - „ojca ubogich”.

Był mecenasem sztuki i człowiekiem o upodobaniach artystycznych. Wiele wagi przywiązywał do renowacji kościołów diecezji. Za jego sprawą krasnostawskiej katedrze zmieniono pokrycie dachu i wybudowano wieżę. W 1720 roku zmarł biskup pomocniczy diecezji Jan Dłużewski. Na jego miejsce został powołany dotychczasowy kanonik chełmski Walenty Czulski, budowniczy i fundator krasnostawskiego seminarium duchownego, który stanowisko biskupa pomocniczego pełnił do 1723 roku. W tymże samym 1720 roku krasnostawska szkoła jezuicka została podniesiona do rangi kolegium, czyli szkoły wyższej, co stanowiło wielki awans dla królewskiego, biskupiego i powiatowego grodu. Pierwszym rektorem krasnostawskiego kolegium został superior jezuicki Wojciech Skarzyński. Po pięciu latach posługi w diecezji biskup Aleksander Fredro 27 IX 1724 roku otrzymał nominację na biskupstwo przemyskie. Tego samego roku na biskupa pomocniczego diecezji został powołany **Michał Delamars** (1668-1725), który zmarł już w marcu następnego roku. Kolejnym nominatorem na biskupstwo chełmskie został **Stanisław Hozjusz** (1674-??) pełniący wcześniej obowiązki biskupa inflanckiego i kamienieckiego. Z nieznanых powodów Stolica Apostolska powołała go jednak na biskupstwo płockie, jeszcze przed objęciem diecezji chełmskiej.

Następnym ordynariuszem diecezji został powołany 29 I 1725 roku **Jan Szaniawski** (??-1733), dotychczasowy biskup pomocniczy lwowski. Nowy biskup uporządkował sprawy majątkowe i gospodarcze diecezji. Jako miłośnik literatury, posiadał bogatą bibliotekę, którą przekazał reformatom zamojskim. W 1725 roku nominację na biskupa pomocniczego diecezji chełmskiej otrzymał **Józef Olszański** (1685-1738), lecz jego konsekracja odbyła się dopiero 1 I 1728 roku. W 1729 roku biskup Szaniawski został mianowany biskupem wileńskim, ale ze względu na protesty tamtejszej kapituły, że nie jest Litwinem, diecezji nie objął. Zmarł w 1733 roku i został pochowany w kościele Reformatorów w Zamościu. Kolejnym biskupem diecezji chełmskiej został **Józef Szembek** (1696-1758), który nominację na biskupstwo otrzymał 19 XI 1736 roku z rąk króla Augusta III. Był krewnym prymasa Stanisława Szembeka i biskupa chełmskiego Krzysztofa Szembeka. W diecezji dała się poznać jego troska o ludzi ubogich. W tej sprawie zwołał VI (ostatni) synod diecezjalny, który zajął się tematem opieki Kościoła nad wdowami, sierotami i biednymi, podnosząc omawiane problemy do rangi najpilniejszych za-

dań. W czasie jego rządów, a po śmierci Józefa Olszańskiego, biskupem pomocniczym diecezji został w 1738 roku **Józef Łaszcz** (1704-1748), a następnie w 1748 roku **Jan Krasieński** (1695-1763). W 1738 roku wybudowano kolejny kościół w Czernięcinie, na miejscu poprzedniego, a w 1744 roku rozebrano zniszczone kościoły w Siennicy Różanej i Pawłowie, a na ich miejsce wzniesiono nowe. W 1746 roku wybudowano z fundacji braci Władysława i Adama Zalewskich stojący do dziś kościół w Chłaniowie, a w 1751 biskup Szembek konsekrował wzniesiony w 1740 roku z fundacji Barbary Dłużewskiej, na miejscu poprzedniej świątyni, stojący do dziś kościół w Sawinie. W 1753 roku biskup Józef Szembek, po siedemnastu latach posługi został przeniesiony na biskupstwo płockie. Dnia 9 IV 1753 roku nominację na biskupstwo chełmskie otrzymał dotychczasowy kanonik gnieźnieński **Walenty Wężyk** (1705-1766). Studiował wcześniej na Akademii Krakowskiej i Uniwersytecie Sapienza we Włoszech, gdzie otrzymał stopień doktora teologii. Wzorem wielu ze swych poprzedników, rządy w diecezji rozpoczął od szczegółowej wizytacji, która ukazała w pełni ubóstwo ówczesnych parafii i duchowieństwa chełmskiego. Zniszczone przez ciągle wojny świątynie, z braku funduszy chyliły się często ku upadkowi. Biskup Wężyk podjął działania odbudowy i remontów kościołów w diecezji, odnawiając także katedrę w Krasnymstawie. Na istniejącym cmentarzu za murami miasta, przy trakcie lubelskim wzniesiono drewniany kościół cmentarny Przemienienia Pańskiego. W 1758 roku, za sprawą kapituły kolegiackiej i rektora Akademii Zamojskiej wznowiono działalność seminarium duchownego w Zamościu. Z fundacji ks. Bartłomieja Skrybaczowskiego uzyskano środki na utrzymanie 3 alumnów. Alumni studiowali na wydziale teologii Akademii Zamojskiej, której seminarium stało się prawdziwą ozdobą aż do roku 1784, czyli do czasu zaborów i likwidacji uczelni przez rząd austriacki.

W 1760 roku biskupem pomocniczym został Dominik Kielczewski (1702-1776), który swą posługę w diecezji pełnił do końca swoich dni. W 1765 roku biskup Walenty Wężyk został przeniesiony na biskupstwo przemyskie, gdzie zmarł w następnym roku.

Rządy w diecezji chełmskiej, na mocy nominacji z dnia 22 IV 1765 roku, objął biskup **Feliks Turski** (1726-1800), który studiował w kolegium jezuickim w Piotrkowie, na Akademii Krakowskiej i w Rzymie, gdzie uzyskał stopień doktora obo-



Biskup Feliks Turski

ga praw. Był człowiekiem zacnym i powszechnie szanowanym. Pełnił obowiązki przewodniczącego Trybunału Koronnego. Na temat pracy biskupa w diecezji wiadomo niewiele. W czasie jego posługi biskupiej dla istniejącego w Krasnymstawie, przy Bramie Lubelskiej szpitala św. Łazarza wzniesiono murowany budynek nieznanej fundacji. W 1768 roku dotychczasowy kościół przyszpitalny w Dorohusku, fundowany w 1752 roku przez Barbarę i Michała Suchodolskich podniesiono do rangi parafii. W 1771 roku Feliks Turski przeszedł na biskupstwo łuckie, a następnie - na krakowskie. W okresie późniejszym odbierał od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego przysięgę na wierność Konstytucji 3 maja, a w 1794 roku przekazał pieniądze i srebra ze skarbca katedry wawelskiej Tadeuszowi Kościuszce na potrzeby powstania. Kolejnym biskupem chełmskim został **Antoni Okęcki** (1729-1793), dotychczasowy sekretarz biskupa poznańskiego. Nominację otrzymał 4 III 1771 roku. Okres jego posługi charakteryzowała troska biskupa o wzrost pobożności wśród wiernych. W tym celu wprowadzał z wielką dokładnością wszystkie zalecenia Stolicy Apostolskiej regulujące kalendarz liturgiczny, który dotychczas bywał często niewłaściwie stosowany. W 1772 roku nastąpił pierwszy rozbiór Polski. W chwili rozbioru diecezja chełmska liczyła 88 parafii w 10 dekanatach, 129 kościołów, 1 kolegiatę, 22 zakony

męskie (320 zakonników), 3 zakony żeńskie (40 zakonnic), 2 seminaria (12 alumnów w Krasnymstawie i 3 w Zamościu), 150 księży diecezjalnych i około 82 tys. wiernych. I rozbiór Polski podzielił diecezję chełmską. Większość, bo aż 7 dekanatów liczących 50 parafii oraz kolegiata zamojska znalazły się w zaborze austriackim i zostały wcielone do diecezji przemyskiej, która cała przypadła Austrii. Okrojona diecezja chełmska pozostała w Rzeczypospolitej. Z 3 pozostałych przy niej dekanatów (chełmski, krasnostawski i lubomelski) zrobiono cztery. W 1773 roku na mocy dokumentów wydanych przez papieża Klemensa XIV nastąpiła ka-



Biskup Antoni Okęcki

sata zakonu jezuitów. Pojezuicki kościół św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie przejęła kuria diecezjalna i uczyniła z niego kościół katedralny. Biskup Antoni Okęcki diecezję chełmską rządził przez pięć lat, bowiem w 1775 roku został koadiutorem biskupa poznańskiego i odtąd praktycznie przebywał tylko w Poznaniu. Kierowanie okrojonej diecezją pozostawił w rękach nowego biskupa koadiutora Jana Aleksandrowicza i nowo mianowanego biskupa pomocniczego, którym w tym samym roku został **Melchior Kochanowski** (1720-1788). W 1780 roku biskup Antoni Okęcki objął diecezję poznańską, a po nim, na mocy nominacji z 20 III 1780 roku, rządy w diecezji chełmskiej przypadły **Janowi Aleksandrowiczowi** (1727-1782), który,

niestety, półtora roku później zmarł i został pochowany w nowej, krasnostawskiej katedrze, czyli w kościele św. Franciszka. Zdążył jednak konsekrować nowy, murowany kościół w Żółkiewce wzniesiony w latach 1770-81 z fundacji Tomasza Stamierowskiego, na miejscu poprzedniego, drewnianego.

Krasnystaw w latach 80. XVIII wieku zaliczany był do miast większych i ludniejszych. Posiadał 382 domy mieszkalne (254 w mieście, 46 na rynku, a pozostałe 82 na przedmieściach), zamek królewski, 6 kościołów (3 murowane) w tym katedrę biskupią, szkołę wyższą - kolegium jezuickie, 2 cerkwie (1 murowana, lecz zniszczona i nieczynna), 2 szpitale (w tym 1 murowany), 4 browary, cegielnię, murowany ratusz oraz mury miejskie z bramami i basztami. Krasnystaw pod względem liczby ludności ustępował tylko Lublinowi, wśród wszystkich miast międzyrzecza Wisły i Bugu. 10 XII 1781 roku nominację na miniaturowe, bo uszczuplone w wyniku I rozbioru biskupstwo chełmskie otrzymał Maciej Garnysz (1740-1790) doktor obojga praw rzymskiego uniwersytetu Sapienza, dotychczasowy sufragan pomorski. Od początku swej posługi w diecezji podjął wszelkie starania w zakresie odbudowy znaczenia biskupstwa poprzez przyłączenie archidiekanatu lubelskiego. Starania w tym temacie były powrotem do planów istniejących już w początkowym okresie istnienia diecezji chełmskiej, lecz wówczas zostały zniweczone przez protest kardynała Oleśnickiego. W 1782 roku miasto otrzymało przywilej prowadzenia apteki, która do czasu kasaty zakonu znajdowała się w rękach jezuitów. W 1790 roku Sejm Wielki przyłączył cały archidiekanat lubelski (województwo lubelskie z ziemią łukowską i powiatem stężyckim) do diecezji chełmskiej, a raczej utworzył nową diecezję chełmsko-lubelską. Papież Pius VI, dekretem z dnia 8 VIII 1790 roku, potwierdził zmiany terytorialne, lecz nie zgodził się na zmianę nazwy. Jednak ze względu na znaczne przesunięcia terytorialne i okres przejściowy pomiędzy likwidacją diecezji chełmskiej, a powstaniem diecezji lubelskiej, przyjmuje się, że Maciej Garnysz był ostatnim biskupem chełmskim i zarazem pierwszym biskupem chełmsko-lubelskim. Była to w tym czasie diecezja chełmska z katedrą w Krasnymstawie i głównym ośrodkiem w Lublinie. Obecny obszar diecezji znacznie się powiększył i liczył 153 parafie w 12 dekanatach, 1 kolegiatę w Lublinie, 2 seminaria duchowne (Krasnystaw i Lublin), 30 klasztorów męskich (410 zakonników), 4 klasztory żeńskie (113 zakonnic),

78 szpitali i 60 szkół parafialnych. Liczba wiernych wzrosła aż do 400 tys. ponieważ teren byłego archidiekanatu lubelskiego zamieszkiwała niemal wyłącznie ludność wyznania katolickiego.



Biskup Wojciech Skarszewski

Biskup Garnysz zmarł w 1790 roku. Jego następcą został biskup **Wojciech Skarszewski** (1743-1827), który nominację na diecezję chełmską otrzymał 29 XI 1790 roku. Dnia 29 II 1792 roku król Stanisław August Poniatowski, na wniosek biskupa Skarszewskiego, mianował **Wawrzyńca Żłoba Czerczyckiego** (?-1805), dotychczasowego profesora Akademii Zamojskiej, sufragana chełmskim. Jednak ze względu na niestabilną sytuację (rozbior), Stolica Apostolska nominacji nie zatwierdziła. W 1793 roku wybudowano na miejscu poprzedniego, nowy, stojący do dziś kościół w Płonce, a w latach 1797-99 z fundacji Kazimierza Krasieńskiego, starosty krasnostawskiego, wzniesiono w Borowicy modrzewiowy kościół filialny, nad którym pieczę sprawowali krasnostawscy augustianie. W 1803 roku krasnostawscy bonifratrzy zlikwidowali siedzibę swego zakonu w mieście i przenieśli się do klasztoru w Zamościu. W tym samym roku cesarz Franciszek II zaakceptował projekt regulacji granic diecezjalnych, a 23 IX 1805 roku papież Pius VII, specjalną bullą propozycję zatwierdził. Na jej mocy diecezja chełmska przestała istnieć, a utworzona została nowa diecezja lubelska. Ze względu na trwające wojny napole-

ońskie wykonanie postanowień bulli przesunęło się w czasie do roku 1807. W 1810 roku starą, zniszczoną i opuszczoną katedrę krasnostawską rozebrano ze względu na spękane, grożące zawaleniem mury świątyni, a w 1811 roku niemal całe miasto strawił wielki pożar, którego przyczyną było prawdopodobnie uderzenie pioruna. Spaleniu uległo ponad sto domów, stary ratusz i wiele innych budowli. Pomimo przyznanych ulg podatkowych, miasto na dziesiątki lat pogrzyżyło się w stagnacji. W celu uzyskania materiału na odbudowę, rozebrano stare mury miejskie, bramy i baszty oraz pozostałości królewskiego zamku. Jednak odbudowa postępowała bardzo wolno. W 1823 roku wybudowano nowy most na Wieprzu i zaczęto pobierać dość wysokie myto, co spowodowało, że Krasnystaw zaczęli omijać kupcy i handlowa rola miasta uległa marginalizacji. Po likwidacji diecezji, dotychczasowy biskup chełmski Wojciech Skarszewski został biskupem lubelskim, którą to funkcję sprawował do 1824 roku, czyli do czasu nominacji na arcybiskupstwo warszawskie i funkcję prymasa Królestwa Polskiego. Wojciech Skarszewski był postacią bardzo kontrowersyjną ze względu na swoje prorosyjskie przekonania. Był przeciwnikiem reform Sejmu Czteroletniego, czyli Konstytucji 3 maja, targowiczaninem i uczestnikiem haniebnego sejmiku rozbiorowego. W czasie powstania został przez sąd skazany na śmierć za zdradę ojczyzny, ale ułaskawił go Tadeusz Kościuszko, zamieniając wyrok na dożywotnie więzienie, które opuścił przed wkroczeniem wojsk rosyjskich do Warszawy. Nominacja na arcybiskupstwo warszawskie i prymasa Królestwa była nagrodą za prorosyjską postawę. W czasie jego posługi prowadzono prace związane z przeniesieniem katedry, kapituły i innych urzędów diecezji z Krasnegostawu do Lublina. Remontowano pojezuicki kościół w Lublinie, przeznaczony na katedrę lubelską. Prace przeciągały się dość długo, tak że jeszcze przez 21 lat rolę katedry nowej diecezji lubelskiej pełnił kościół św. Franciszka w Krasnymstawie, i dopiero w 1826 roku katedra została przeniesiona do Lublina. Razem z siedzibą biskupią odjechały z Krasnegostawu wozy pełne najcenniejszych sprzętów i wyposażenia z krasnostawskiego kościoła katedralnego - dokumenty, obrazy, biblioteka, tron biskupi, wielki krzyż z ołtarza starej katedry i wiele, wiele innych wartościowych zabytków, ale o tym innym razem.

Po 432 latach diecezja chełmska przestała istnieć, a przecież jej rola w umacnianiu katolicyzmu i polskości na ziemi chełmskiej oraz bełskiej jest ogromna i trudna do przecenienia.

Diecezja lubelska nawiązuje głównie do sacrum diecezji krakowskiej, a dopiero na drugim miejscu do tradycji diecezji chełmskiej, zrównując ją prawie z chełmskimi diecezjami: unicką i prawosławną. Założona ze względów politycznych w środowisku niemalże całkowicie prawosławnym, diecezja chełmska utrzymała się i zdobyła wiernych, tak że w momencie podziału po I rozbiórze, prawie połowę jej ludności stanowili katolicy. Po 317 latach urzędowania biskupów chełmskich i 19 latach pobytu biskupów lubelskich w Krasnymstawie, stolicę diecezji przeniesiono do Lublina. Na krasnostawskim tronie katedralnym zasiadało w tym czasie 43 biskupów ordynariuszy i 12 biskupów sufraganów. Przeniesienie katedry nastąpiło w najgorszym dla całego narodu polskiego czasie - utraty niepodległości i prześladowań zaborców. Dla miasta była to całkowita utrata dotychczasowej pozycji oraz rangi i wielki cios, po którym nigdy się już nie wzniosło na poprzednie wyżyny. Stolica biskupia, siedziba wyższej uczelni, drugie ludnościowo miasto po Lublinie, położenie na głównym szlaku handlowym i wpływy na dworze królewskim - wszystko przeminięło i pociągnęło za sobą stopniowy upadek - zamek królewski, dawne kościoły, mury miejskie, bramy, baszty i wielki staw. Dziś po tych latach wielkości pozostały tylko dwa zabytki: kościół z klasztorem poaugustiański oraz zespół budowli pojezuickich, ale nawet o to nie potrafimy zadbać należycie. W mieście nie znajdziemy tablic opisujących jego piękną historię i ludzi, którzy tu żyli. Wiadomości o Krasnymstawie nawet wśród ludzi po fachu, czyli historyków są powierzchowne, o czym miałem okazję już nie raz się przekonać. A szkoda, bo jest o co dbać i czym się chwalić, a nawet uczynić z tego podstawę przyszłego rozwoju i prosperity. 2 III 2009 roku papież Benedykt XVI zaliczył dawną stolicę biskupią w Chełmie do stolic tytularnych, a to oznacza, że któryś z nowo wyświęconych polskich biskupów niebędących ordynariuszami otrzyma tytuł biskupa chełmskiego, ale z Krasnymstawem już raczej to nie będzie go łączyć.

Zbigniew Atras

Literatura:

1. Krasnystaw. Rys historyczny, Kazimierz Stolecki, Puławy 2008.
2. Diecezja chełmska rzymskokatolicka 1359-1807, Anna Pawłowska, Rocznik Chełmski, tom 3, 1997.
3. Biskupi chełmscy i chełmsko-lubelscy, Adam Konderak, Zwierciadło Chełmskie, 1990.

Kazimierz Stołecki

Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich.

Diecezja chełmska. Cz.I



Pierwsze zamysły utworzenia diecezji chełmskiej sięgają wieku XIII, kiedy to Leszek Biały zatwierdził ustanowienie biskupstwa chełmskiego. Także w tym kierunku działał Bolesław Wstydliwy (1246). Jednakże dopiero ponad wiek później, z inicjatywy króla Kazimierza Wielkiego, diecezję chełmską formalnie powołał do życia papież Grzegorz XI bullą *Debitum pastoralis officii* (13.02.1375): *Około roku Pańskiego 1375 lub 1376, przy współdziałaniu polskiego i węgierskiego króla Ludwika, papież Grzegorz XI ustanowił trzy biskupstwa na Rusi: przemyskie, chełmskie i włodzimierskie (czyli Iodomeryjskie), tudzież arcybiskupstwo halickie*. Król Władysław Jagiełło, wskrzesił erygowaną, lecz jeszcze niefunkcjonującą diecezję, przywilejem fundacyjnym 14.08.1417. Kapituła katedralna została ufundowana w roku 1429. Składała się z dwu prałatur patronatu królewskiego (prepozytury i dziekanii) oraz 10 kanonii.

Biskupstwo chełmskie było jednym z mniejszych terytorialnie i jednym z uboższych. Stało więc stosunkowo nisko w hierarchii biskupstw (pomiędzy kamienieckim a plockim lub przemyskim). W wiekach XVII i XVIII przynosiło najmniej dochód. W końcu XVIII w. proporcje rocznych dochodów biskupstwa chełmskiego do najbogatszego biskupstwa krakowskiego miały się jak 1:56. To oddaje również skalę ich możliwej działalności.

Na prośbę biskupa **Macieja ze Starej Łomży**, król Kazimierz Jagiellończyk, dla większej dogodności miejsca, katedrę chełmską przeniósł do Krasnegostawu (26.06.1490). Przeniesienie siedziby diecezji nie spowodowało zmiany jej dotychczasowej nazwy. W aktach kapitułnych katedra w Krasnymstawie była nazywana kościołem katedralnym diecezji chełmskiej lub kościołem chełmskiej katedry w Krasnymstawie. Kapituła zatrzymała miano kapituły chełmskiej. Przez ponad trzysta lat Krasnystaw był stolicą diecezji chełmskiej, a później diecezji chełmsko-lubelskiej. Kasper Niesiecki zapisał: *Naprzód w Chełmie katedra tutajśa gościła, ztamtąd ją do Hrubieszowa wyniósł Paweł z Grabowy, biskup chełmski (1473), a gdy i to miejsce, niezdawało się być z powagą jej, Maciej z Łomży infulał tuteczny do Krasnegostawu pomknął, tak jednak, że imię biskupów chełmskich*

przy sukcesorach jego, jak zawsze było, tak i aż po dziś dzień zostało.

Zachował się następujący opis diecezji chełmskiej w wiekach XVII-XVIII: *Parafie są w liczbie około 70 (1597); 24 sprofanowali heretycy, ale biskupi powoli odzyskują niektóre kościoły. Liczba parafii, wahająca się około 70 utrzymała się przez pierwszą połowę XVII wieku. Kościoły, z wyjątkiem kolegiaty zamojskiej, przeważnie ubogie i drewniane, srogo nawiedziła inkursja kozacka, jak wykazuje protokół wizytacji (1649): z 54 wizytowanych kościołów niemal wszystkie nawiedzone przez Kozaków, 10 doszczętnie zniesionych. Wizytacja mówi o 18 księżach zabitych, prócz zakonników. Biskup Stanisław Pstrokoński w 1653 mówi o 36 księżach zabitych przez nieprzyjaciela i o 40 innych, którzy zginęli od zarazy. W 1665 relacja podaje 78 parafii, w 1684 nawet 155, z których każda ma proboszcza. W II połowie XVIII wieku w diecezji było 7 prałatur i 12 kanonii. Na przełomie XVII i XVIII wieku dobra biskupie obejmowały trzy miasteczka i osiem wsi.*

Zachował się opis diecezji z okresu starania się o nią Mikołaja Wyżyckiego (1698-1705): *Paweł z Chotcza Chotecki, archidiakon chełmski, zeznał: samo miasto Chełm jest małe, nie ma w nim więcej niż dwadzieścia domów (murowanych?), sami grekokatolicy, rzymskich katolików jest zaledwie sześćdziesiąt osób. W Chełmie są tylko dwa kościoły: jeden rzymskokatolicki i jeden grekokatolicki. Katedra jest w Krasnymstawie, ale i w tym mieście jest nie więcej niż pięćset mieszkańców, a wśród nich katolików około dwustu. W mieście jest też dom biskupi. Uposażenie biskupa stanowią cztery folwarki. Ostatnimi czasy, dochody zostały mocno uszczuplone przez zbuntowane wojska króla, które same z tych dóbr egzekwują należną im zapłatę. W diecezji chełmskiej jest 50 parafii rzymskokatolickich. diecezja nie ma seminarium, natomiast nowo zbudowany dom dla wikariuszy i mansonarzy i ten dom nazywają seminarium. Dom biskupi jest poważnie zniszczony, a wysokość dochodów ordynariusza wynosi 6-7 tysięcy złotych. Uzyskuje się je głównie ze sprzedaży płodów rolnych z czterech folwarków.*

W pierwszym rozbiórze Polski (1772), diecezje: lwowska, przemyska oraz części diecezji: kamienieckiej, chełmskiej, bełskiej i łuckiej zostały zajęte przez Austrię. Kapituła chełmska za zgodą biskupa Macieja Garnysza, zwróciła się do arcybiskupa gnieźnieńskiego o przyjęcie diecezji chełmskiej do metropolii gnieźnieńskiej (15.07.1782). Prymas Polski, Michał Poniatowski w relacji do

Rzymu napisanej w 1789 roku, zaliczył do gnieźnieńskiej metropolii m.in. diecezję chełmską i kijowską. Rzym nie zgodził się jednak na taką zmianę. Na wniosek biskupa chełmskiego Macieja Garnysza, Sejm Czteroletni wydzielił z diecezji krakowskiej archidiakoniat lubelski (z Lublinem, Łukowem i Stężycą) oraz część archidiakonatu zawichojskiego i dekanatu radomskiego, czyli kieleckiego, leżącą na wschód od Wisły i wcielił je do diecezji chełmskiej (11.06.1790). Papież Pius VI, dekretem Kongregacji Konsystorialnej zmianę tę zatwierdził (20.07.1790), ale nie zgodził się na przeniesienie stolicy biskupiej, ani na zmianę nazwy diecezji. Zaczęto używać nazwy diecezja chełmsko-lubelska, a biskup nazywał siebie chełmskim i lubelskim.

Po trzecim rozbiore Polski, kiedy Lublin znalazł się w granicach austriackiej Galicji, cesarz Franciszek II zatwierdził projekt utworzenia diecezji lubelskiej (10.05.1803). Zniesienia diecezji chełmskiej z równoczesnym powołaniem do życia diecezji lubelskiej dokonał Pius VII bullą wydaną 09.10.1805, a wprowadzoną w życie 20.10.1807. Lubelski kościół pojezuicki, przeznaczony na nową katedrę lubelską, był zniszczony i wymagał długoletniego remontu, funkcję katedry lubelskiej nadal pełnił pojezuicki kościół św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie - dotychczasowa katedra diecezji chełmskiej. W roku 1826, kiedy katedrę ostatecznie przeniesiono, kościół ów został kościołem parafialnym. Odtąd Lublin stał się stolicą diecezji. *Dopiero w 1826 biskup Józef Marcelin Dziecielski przeniósł kapitułę i nabożeństwo katedralne z Krasnegostawu do Lublina, miesząc je tymczasowo przy nieistniejącym już dziś kościele farnym św. Michała Archaniola, a potem w 1832 na stałe przy kościele pojezuickim św. Jana Chrzyciela, przeznaczonym na katedrę diecezji lubelskiej. Biskup Dziecielski, podobnie jak jego poprzednik - pierwszy biskup lubelski Wojciech Skarszewski, mieszkał w Kumowie pod Chełmem. Trzeci z rzędu biskup diecezji lubelskiej, Wincenty Pieńkowski (1853-63), stałe zamieszkał w Lublinie, który faktycznie stał się stolicą biskupów lubelskich.*

Biskupi byli ludźmi wybitnymi, znakomicie wykształconymi i należeli do społecznej elity. Z urzędu zasiadali w senacie, biorąc udział w głównym nurcie politycznego życia kraju. Piastowali również stanowiska wysokich świeckich urzędników nadwornych i centralnych. Byli to: senatorowie, mężowie stanu, dyplomaci, pisarze, poeci, kronikarze, prymasi, interreksi i gorliwi duszpastorze. Biskupi byli ludźmi z krwi i kości. Mieli wielkie talenty i silne charaktery, ale czasem także zwy-

czajne, ludzkie słabości, a niekiedy nawet - zdecydowanie wady.

Droga do episkopatu zwykle wiodła poprzez pracę w kancelarii królewskiej, piastowanie funkcji państwowych i zasługi położone w dyplomacji. Awans na tej drodze był wynikiem silnej, pozytywnej selekcji. Biskupstwo chełmskie, jako jedno z mniejszych, zwykle stanowiło wczesny etap na drodze awansu. Ukoronowaniem kariery duchownej było arcybiskupstwo gnieźnieńskie i tytuł prymasa. Tytuł **prymasa Polski** przypadł w udziale siedmiu poprzednio biskupom chełmskim. Byli to: **Mikołaj Dzierżgowski**, **Jan Przerębski**, **Jakub Uchański**, **Maciej Łubieński**, **Tomasz Leżeński** (pozaostat nominatem, zmarł i nie zdążył objąć funkcji), **Jan Dłużewski** (mianowany przez króla Stanisława Leszczyńskiego, lecz nie był zatwierdzony przez papieża) oraz **Wojciech Skarszewski**. Zdarzało się, że biskupi chełmscy piastowali również najważniejsze urzędy państwowe, takie jak: starosta, wojewoda, referendarz wielki duchowny, sekretarz wielki duchowny, przewodniczący Trybunału Koronnego, kanclerz wielki koronny, interreks. Wielu chełmskich biskupów, było także biskupami tytularnymi - otrzymali tytuły diecezji, które z różnych racji przestały istnieć. Warto dodać, że papież Benedykt XVI, w roku 2009, po 200 latach zaliczył dawną diecezję chełmską do diecezji tytularnych.

Biskupi chełmscy obejmowali urząd w wieku średnio 48 lat. Dziesięciu biskupów miało poniżej lat 40: Krzysztof Szembek (33), Józef Łaszcz (34), Stanisław Dąbski (35), Feliks Turski (36), Remigiusz Koniecpolski (37), Stefan ze Lwowa (38), Jan Przerębski (38), Jan Dłużewski (38), Józef Szembek (39), Abraham Śladowski (39). Sześciu biskupów było w wieku powyżej lat 60: Jan Kazimierski (60), Jan Różycki (60), Paweł Piasecki (62), Walenty Czulski (66), Mikołaj Wolski (71) i Tomasz z Sienna (79). Biskupi sprawowali urząd w diecezji średnio przez lat 9. Dziesięciu biskupów urzędowało około roku: Mikołaj Dzierżgowski, Andrzej Zebrzydowski, Jan Przerębski, Mikołaj Wolski, Jan Młodziejowski, Wawrzyniec Goślicki, Jan Aleksandrowicz, Michał Delamars, Jan Zaborowski, zaś siedmiu - ponad lat 20: Jakub Buczański (20), Jerzy Zamoyski (20), Abraham Śladowski (23), Jan Dłużewski (24), Stefan ze Lwowa (29), Mikołaj Świrski (34), Jan Biskupiec (35).

W wiekach XVI-XVIII, 20 biskupów chełmskich zmarło w swej diecezji, 5 sprawowało urząd, pozostając wyłącznie biskupami chełmskimi (Mikołaj Kościelecki, Adam Pilchowski, Jerzy

Zamoyski, Remigiusz Koniecpolski i Stanisław Pstrokoński). Maciej ze Starej Łomży nadal administrował biskupstwem kamienieckim. Mikołaj Kościelecki rzadko przebywał w swej stolicy biskupiej, mieszkając w klasztorze Bernardynów w Skępem, którego był współfundatorem. Remigiusz Koniecpolski, będąc opatem cystersów w Jędrzejowie, diecezją rządził za pośrednictwem delegata. Do innej, ważniejszej diecezji, przeszło 14 biskupów. Dla połowy hierarchów, diecezja chełmska była pierwszą, jaką zarządzali, w dziewięciu przypadkach - drugą, a Jan Dziaduski zarządzał diecezją, będąc uprzednio biskupem włocławskim (kujawskim), kamienieckim, by przejść do diecezji przemyskiej.

Krasnostawskie katedry

Pierwszą krasnostawską katedrą (1490-1776(81)) został parafialny kościół św. Kajetana. Około roku 1460, król Kazimierz Jagiellończyk, na miejscu drewnianego kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, erygowanego prawdopodobnie jeszcze w końcu XIV wieku przez króla Władysława Jagiełłę, wybudował parafialny kościół św. Kajetana. Po przeniesieniu z Chełma, katedra zatrzymała dotychczasowy tytuł Rozesłania św. Apostołów (św. Rozesłańców). *Bowiem na pamiątkę wygranej bitwy pod Grunwaldem, założył Władysław Jagiełło biskupstwo chełmskie; a gdy biło się w dzień Rozesłańców, dał jej dwunastu apostołów patronami.*

Chełmscy biskupi dbali o swój katedralny kościół. W roku 1519 katedrę naprawiano. Biskup Samuel Maciejowski (1539-41) podarował katedrze mitrę, którą biskup Szembek poddał przeróbce i umieścił na niej swój herb. Biskup Maciej Łubieński (1621-26) *kościół katedralny Krasnostawski, przez różne wojny zdezelowany, prawie z fundamentów wyniósł, kaplicami pobocznymi, i wieżą na froncie ozdobił, sklepieniem zawarł, filarami utwierdził. W Krasnostawie katedrę począł w roku 1622 z gruzów dźwigać, a dokonał tej pracy roku 1628, jako świadczy wyryty w tej świątyni łaciński napis: „Poznajesz, Wędrowcze, tę bazylikę? Niegdyś już ogniem była zniszczona i od nowa ciężką pracą wzniesiona została; runęłaby, gdyby nie Maciej Łubieński, biskup chełmski, prawie od fundamentów wznosił był ją, ze ścianami i kolumnami postawioną, a także niedokończonym sklepieniem, kaplicami pod cegłą, a na froncie z wieżą dobudowaną, cegłami pokrytą, a [wszystko] to dla większej chwały Bożej i na cześć wszystkich świę-*

tych. W roku 1628” (tłum.: Alicja Stołecka). Biskup Remigiusz Koniecpolski (1627-40) sprawił katedrze chełmskiej wielki srebrny krzyż i dwanaście srebrnych lichtarzy. Biskup Kazimierz Łubieński (1705-10) odbudował katedrę ograbioną i zniszczoną w czasie wojen. *Zastawszy swoją katedrę krasnostawską złupioną, przez inkursję wojsk różnych, zajął się jej podniesieniem. Na cześć Dwunastu Apostołów, pod których tytułem jest zbudowana, oddał do niej dwanaście kielichów, aparat kościelny bogaty, sprawił organ, i wyłożył cały kościół posadzką piękną.* Biskup Teodor Wolff (1710-12) ofiarował krasnostawskiej katedrze bogato inkrustowany srebrny krzyż (ważący 5,6 kg). Z inicjatywy biskupa Aleksandra Fredry (1719-24) w katedrze krasnostawskiej przeprowadzono liczne prace remontowe. Zmieniono pokrycie dachu i wybudowano wieżę. Biskup Krzysztof Szembek (1736-53) przeznaczył znaczne sumy na utrzymanie katedry chełmskiej. *Katedrę swoją opatrzył ołtarzem wielkim, amboną na kościele, stalami dla kanoników, ławkami i posadzką marmurową. Do zakrystyi sprawił aparata różne, i krzyż srebrny do procesyi. W kościele były XVIII wieczne organy o dwu manualach. W katedrze krasnostawskiej znajdować się miały: Krzyż processjonalny, cały srebrny, sprawiony za rządów Krzysztofa Szembeka biskupa chełmskiego (1714). Kielich szczerzotyły sprawiony przez Antoniego Okęckiego biskupa chełmskiego (1780). Drugi kielich szczerzotyły mający puchar i piedestał gęsto rubinami wysadzany. W piedestale na pięknej emalii z czterech stron są obrazy P. Jezusa, P. Maryi, Ś-go Ignacego Loyoli i Ś-go Franciszka Ksawerego. Podług podania, ten szczodry dar pochodzi od Anny z Ostrogskich Chodkiewiczowej, wdowy po hetmanie wielkim lit. około r. 1630. Sama robota kielicha kosztowała 300 dukatów ówczesnych. Była do niego odpowiednia patyna, lecz ta jeszcze w Krasnymstawie w sam dzień Bożego Ciała skradzioną została. Zasługuje także na wspomnienie znajdująca się w tymże kościele wielka mosiężna chrzcielnica z dwoma napisami głózkami słowiańskimi, pierwszy zawiera modlitwę do Najświętszej Panny Maryi (Ś-ta Maryo Matko Boża módl się za nami) drugi zaś trudny dziś do odczytania.*

Pomimo wielu starań, budowla popadała w ruinę. W roku 1782 zapisano: *Kościółów mury, dawniej Katedralny, do minarium obrócony. Dawniejsza fara, dla starości już upadkiem grożąca, przeniesiona do kościoła pojezuickiego (1816). Nieczynną katedrę rozebrano w latach 1810-26, gdyż groziła zawaleniem. Podczas współczesnych*

prac archeologicznych odnaleziono fragmenty murów starej katedry: dachówki emaliowane na kolor głębokiej zieleni oraz fragmenty ozdobnej cegły i kamiennej posadzki także koloru zielonego. Ze szczątkowych dokumentów na temat wyglądu dawnej katedry, można odnieść wrażenie, że był to kościół z jedną wieżą, utrzymany w zielonej tonacji.

Drugą krasnostawską katedrą (1776(81)-1826) był kościół św. Franciszka Ksawerego, wzniesiony w latach 1697-1741. Ten barokowy kościół ufundowany został przez Krystynę z Lubomirskich Potocką i jej następców dla zakonu jezuitów. Budowę bryły kościoła ukończono w roku 1715; w latach 1730-41 dobudowano dwie boczne wieże, *tem szczególnie, że zamiast krzyżów u ich szczytu, stały posągi Św. Ignacego Loyoli i Św. Franciszka Ksawerego, nakryte kaplicą miedzianą*. Kościół konsekrował sufragan chełmski, biskup Józef Łaszcz (05.10.1741). Kościół wyposażano do roku 1760.

Po kasacie zakonu jezuitów (1773), gmachy pojezuickie przejęła Komisja Rozdawnicza,

a następnie - Komisja Edukacji Narodowej, która dla *wygody biskupa i katedry chełmskiej ustępuje na wieczne i nieodzowne czasy kościół murowany w Krasnymstawie, ze wszystkimi sprzętami, srebrami*. Kościół przekazany został biskupowi chełmskiemu w roku 1780, a formalnie objęty w posiadanie w roku 1781, jako katedralny kościół diecezji chełmskiej. Kościół katedralny zamieniono na parafialny w roku 1826. W dzisiejszej katedrze lubelskiej szczyt ołtarza zajmuje wielkich rozmiarów krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem, przeniesiony z katedry w Krasnymstawie.

Kościółowi św. Franciszka Ksawerego nadano szereg odpustów. Odpust na **św. Agatę (patronkę miasta)** nadany przez Grzegorza XVI (02.07.1841). Odpust Czterdziestogodzinny (20.06.1748) i na Najświętszą Matkę Bożą Różańcową i Szkaplerzną (22.01.1750), nadane przez Benedykta XIV. Odpust św. Franciszka Ksawerego dedykacji kościoła w trzecią niedzielę września. Wszystkie te odpusty nadane zostały *in perpetuum* - na zawsze.

Biogramy biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich

Biskupi chełmscy

Lp.	Imię	Nazwisko	Herb	Data życia		Urząd	
1.	Tomasz	Z SIENNA		ok. 1280	ok. 1365	1359.05.20	1365
2.	Stefan	ZE LWOWA		ok. 1350	1416.10.01	1388	1406
3.	Jan	BISKUPIEC	Cholewa	1377	1452.04.22	<1417.05.01	1452.04.22
4.	Jan	KRASKA TARANOWSKI	Belina	ok. 1400	1462.04.17	1452.08.18	1462.04.17
5.	Paweł	Z GRABOWA	Ogon	1410	1479.02.18	1463.06.14	1479.02.18
6.	Jan	KAZIMIERSKI	Rawicz	ok. 1420	1485.11.18	1480.03.06	1484.05.10
7.	Jan	Z TARGOWISKA	Tarnawa		1492.06.09	1484.05.14	1486.05.26
8.	Maciej	ZE STAREJ ŁOMŻY	Rawicz	ok. 1450	<1505.09.12	1490.05.14	<1505.09.12
9.	Mikołaj	KOŚCIELECKI	Ogończyk	ok. 1450	1518.05.04	1505.11.14	1518.05.04
10.	Jakub	BUCZACKI	Abdank	1470	1541.12.06	1518.11.05	1538.07.29
11.	Sebastian	BRANICKI	Korczak	1484	1544.05.06	1538.07.29	1540.10.17
12.	Samuel	MACIEJOWSKI	Ciołek	1499.01.15	1550.10.26	1539.10.17	1541.08.22
13.	Mikołaj	DZIERŻGOWSKI	Jastrzębiec	1490	1559.01.18	1542.05.31	1543.03.30
14.	Jan	DZIADUSKI	Jelita	1496	1559.07.25	1543.03.30	1545.06.08
15.	Andrzej	ZE BRZYDOWSKI	Radwan	1496	1560.05.23	1545.06.08	1546.02.19
16.	Jan	DROHOJOWSKI	Korczak	ok. 1505	1557.06.25	1546.02.19	1551.02.25
17.	Jakub	UCHAŃSKI	Radwan	1502	1581.04.05	1551.11.18	1561.06.02
18.	Jan	PRZERĘBSKI	Nowina	1510	1562.01.11	1557	1559
19.	Mikołaj	WOLSKI	Półkozic	1490	1562.08.31	1561.06.02	1562.08.31
20.	Wojciech	STAROŻREBSKI SOBIEJUSKI	Dolega	1517	1580.01	1562.11.06	1577.12.11

Lp.	Imię	Nazwisko	Herb	Data życia		Urząd	
21.	Jan	MŁODZIEJOWSKI	Ślepowron		1576	1575	1576 (N)
22.	Jan	ZABOROWSKI	Rawicz		1577	1577.05.15	1577 (N)
23.	Adam	PILCHOWSKI	Rogala		1585	1578.06.16	1585
24.	Stanisław	OSSOWSKI	Gryf		1580.08.27	1580	(N)
25.	Wawrzyniec	GOŚLICKI	Grzymała	1537(27)?	1607.10.31	1590.01.22	1591.05.10
26.	Stanisław	GOMOLIŃSKI	Jelita	1547	1602.12.12	1591.07.31	1600.08.30
27.	Jerzy	ZAMOYSKI	Jelita	ok. 1560	1621.01.04	1601.02.19	1621.01.04
28.	Maciej	ŁUBIEŃSKI	Pomian	1572.02.02	1652.08.28	1621.05.17	1626.04.14
29.	Remigiusz	KONIECPOLSKI	Pobóg	1590	1640.10.26	1627.05.17	1640.10.26
30.	Paweł	PIASECKI	Janina	1579.10.17	1649.08.01	1641.11.27	1644.11.28
31.	Stanisław	PSTROKOŃSKI	Poraj	1590	1657.06.17	1644.12.22	1657.06.17
32.	Tomasz	LEŻEŃSKI	Nałęcz	1603	1675	1658.04.01	1667.09.05
33.	Jan	RÓŻYCKI	Doliwa	1603	1669.06.04	1667.11.04	1669.06.04
34.	Krzysztof Jan	ŻEGOCCI	Jastrzębiec	1618	1673.08.11	1670.01.30	1673.08.11
35.	Stanisław	DĄMBSKI	Godzięba	1638	1700.12.15	1673.12.18	1676.10.19
36.	Stanisław	ŚWIĘCICKI	Jastrzębiec	1630	1696.10	1677.02.08	1696.10
37.	Mikołaj Ignacy	WYŻYCKI	Gierald	1649.03	1705.01.05	1699.04.11	1705.01.05
38.	Kazimierz	ŁUBIEŃSKI	Pomian	1652	1719.05.11	1705.12.14	1710.05.07
39.	Teodor	WOLFF	Wolff	1662.09.20	1712.05.09	1710.11.10	1712.05.09
40.	Krzysztof Jan	SZEMBEK	Szempek	1680.05.16	1740.03.16	1713.05.22	1719.05.15
41.	Aleksander	FREDRO	Bończa	1673.12	1734.04.26	1719.03.29	1724.09.27
42.	Jan Feliks	SZANIAWSKI	Junosza	1673?	1733.12.17	1725.01.29	1733.12.17
43.	Józef	SZEMBEK	Szempek	1697.05	1759.04.01	1736.11.19	1753.01.29
44.	Walenty	WEŻYK	Wąż	1705.02.24	1766.10.26	1753.04.09	1765.04.22
45.	Feliks Paweł	TURSKI	Rogala	1729.01.14	1800.03.31	1765.04.22	1771.03.04
46.	Antoni Onufry	OKĘCKI	Radwan	1729.06.13	1793.06.15	1771.09.14	1780.03.20
47.	Jan Alojzy	ALEKSANDROWICZ	Aleksandrowicz	1727.06.16	1781.09.12	1780.03.20	1781.09.12

Biskupi chełmsko-lubelscy

Lp.	Imię	Nazwisko	Herb	Data życia		Funkcja	
1.	Maciej Grzegorz	GARNYSZ	Poraj	1740.03.13	1790.10.06	1781.12.10	1790.10.06
2.	Wojciech Józef	SKARSZEWSKI	Leszczyc	1743.11.13	1827.06.12	1790.11.29	1805.09.23

Biskupi sufragani

Lp.	Imię	Nazwisko	Herb	Data życia		Funkcja	
1.	Abraham Jan Jacek	ŚLADKOWSKI	Nowina	1581	1643	1620	1643
2.	Mikołaj Roman	ŚWIRSKI	Szaława	1592	1678	1644	1678
3.	Jan Konstanty	WOŻUCZYŃSKI	Godziemba	1627	1687.01.28	1679	1687.01.28
4.	Jan	DŁUŻEWSKI	Pobóg	1658.01	1720	1696.06	1720
5.	Walenty Konstanty	CZULSKI	Leliwa	1655	1724	1721.02.12	1724
6.	Michał	DE LA MARS, DELAMARS	Róża	1668.08.09	1725.03	1724	1725
7.	Józef	OLSAŃSKI	Jastrzębiec	1685	1738.05.16	1726	1738
8.	Józef Antoni	ŁASZCZ	Prawdzie	1704.07.21	1748.01.31	1738	1744
9.	Jan Chryzostom	KRAŚIŃSKI	Ślepowron	1695.01.26	1757.03.25	1748	1757

Lp.	Imię	Nazwisko	Herb	Data życia		Funkcja	
10.	Dominik Józef	KIEŁCZEWSKI	Pomian	1702.12.17	1776.02.28	1760	1775
11.	Melchior Jan	KOCHNOWSKI	Ślepowron	1720.01.13	1788.04.30	1775	1788
12.	Wawrzyniec Józef	ŻŁOBA CZERCZYCKI	Leliwa	1735	1805.11.13	1792	1804 (N)

(N) - nominat

Wiarygodny poczet biskupów, trudny jest do odtworzenia, a zamieszczona tu lista jest niedoskonała. Źródła nie podają jednoznacznych informacji. Dotyczy to i osób, i dat. Niektórzy biskupi wymieniani w innych źródłach są negowani przez Encyklopedię kościelną jako ci, którzy nie przyjęli stanowiska, nie zostali zatwierdzeni, albo przedwcześnie zmarli. Zdarzało się, że jeszcze przed ingresem do chełmskiej katedry, biskup nominat byławo przenoszony do innej diecezji lub zmarł. Ponadto biskupi chełmscy bywają myleni z biskupami chełmińskimi (*chelmensis* - *culmensis*). Do przedstawionego tu pocztu, włączono także tych biskupów nominatów, których wolą było zostanie biskupem chełmskim, a którym przeszkodziły okoliczności lub czas.

Dotychczas nie powstała porządna monografia diecezji chełmskiej, możliwe, że także z powodu wyżej opisanych trudności. A jednak szkoda, że nie podjęto tego trudu. Godzi się oddać sprawiedliwość, okazać szacunek i zachować w pamięci ludzi, którzy tworzyli polską historię. Tych, których starania przyczyniły się do znaczącej roli, jaką Krasnystaw odegrał w naszej historii.

Tomasz z Sienna, (Himpergwey De Seyno). Syn Ninogniewa. Franciszkanin, pierwszy mianowany biskup diecezji chełmskiej. Prowizję na biskupstwo chełmskie otrzymał od papieża Innocentego IV w Awinionie (20.05.1359). Już wcześniej wymieniony był jako *electus Chelmen-sis* uwolniony od zapłacenia *communis servitii* (26.07.1358). Akt nominacji miał zwykłą formę nominacji biskupów, a listy dodatkowe wysłano pod adresem arcybiskupa gnieźnieńskiego, jako przełożonego metropolity, do wiernych diecezji chełmskiej i do króla Kazimierza. Starania o objęcie diecezji nie powiodły się, o czym Tomasz powiadomił Stolicę Apostolską i otrzymał zwolnienie z opłaty. Erygowanie diecezji przedłużało się ze względu na spory pomiędzy Polską, Węgry i Litwą o terytoria, na których diecezja miała powstać.

Po uzyskaniu godności biskupiej, Tomasz przebywał w Awinionie, gdzie otrzymał tytuł papieskiego kapelana. Po powrocie do kraju, nadal rządów w diecezji nie objął, lecz przyjął urząd sufragana krakowskiego biskupa Bodzanty.

W akcie konsekracji kaplicy św. Doroty przy kościele św. Katarzyny w Krakowie, datowanym 03.08.1366 z konwentu krakowskich franciszkanów, nazywa siebie biskupem chełmskim i sufraganiem Bodzanty. Biskup Tomasz dożył wieku 85 lat.

Stefan ze Lwowa. Pochodził z nieszlacheckiej rodziny mieszczańskiej, zamieszkałej podobno we Lwowie. Zaliczany bywa do narodowości ormiańskiej. Przynależność do zakonu kaznodziejskiego poświadczają zgodnie dziejopisarze dominikanów, a także Stefan na swojej pieczęci. Powołanie na biskupstwo chełmskie otrzymał około roku 1380. Z powodu nieuporządkowanej i nieopatrzonej diecezji, działał za jej granicami. Był pierwszym znanym generalnym wikariuszem w diecezji poznańskiej. Po krótkiej działalności w tej diecezji, około 1383, Stefan przeniósł się razem z biskupem poznańskim Janem do diecezji wrocławskiej, gdzie za rządów Jana, ale również za następnich: Henryka, Mikołaja Kurowskiego, do śmierci sprawował urząd biskupa pomocniczego oraz generalnego wikariusza z *sumiennością zakonniką*.

Stefan był znakomitym mówcą: *Darem szczególniejszym wymowy rozsiewał ziarno zbawienia. Władysław Jagiełło wielce go poważał.* Znajdował się pośród rycerzy chełmskich w bitwie pod Grunwaldem. Zachowały się liczne dokumenty, świadectwa działalności biskupa. Stefan konsekrował dziesięć ołtarzy w bazylice archikatedralnej w Oliwie (12.04.1386): *Roku Pańskiego 1386 zostało konsekrowanych dziesięć ołtarzy przez Brata Stefana z zakonu kaznodziejskiego (dominikanina), biskupa chełmskiego i sufragana wielbego biskupa wrocławskiego Jana, w przeddzień idów kwietniowych (12 IV). 15.10.1388 Żarnowiec. Brat Stefan, biskup chełmski i generalny wikary biskupa wrocławskiego Jana, udziela ks. Chilmanowi z zakonu norbertanów komendy na kapelanę w Sianowie. 12.06.1389 Koronowo, Brat Stefan, biskup chełmski i generalny wikary biskupa wrocławskiego Jana poświadcza, że Janowi Gotsgabe świeceń diakonatu udzielił. 31.03.1391 Toruń. Brat Stefan, biskup chełmski i generalny wikary w sprawach duchownych Henryka biskupa wrocławskiego, udziela tym, którzy ofiarą na odbudowa-*

nie spalonego klasztoru benedyktynek toruńskich złożą, 40 dni odpustu. 08.08.1392 Włocławek, Stefan, biskup chełmski i sufragan włocławski, świadczy na dokumencie biskupa włocławskiego Henryka. 02.05.1395 Pelplin. Brat Stefan, biskup chełmski i wikary generalny biskupa włocławskiego Henryka, udziela 40 dni odpustu dla adorujących relikwie oraz dwie kamienne figury Matki Boskiej, pomieszczone na ołtarzu kościoła Maryi Magdaleny w Gdańsku. Stefan erygował kościół parafialny w Lipiu (1403), dziś Mokrelipie.

Jan z Opatowca (De Opatowiec) Biskupiec, zwany: **Biskupek (Episcopellus)**. Jedni sądzą, że nazywano go tak z powodu niskiego wzrostu i szczupłej budowy ciała, inni odnoszą to do szczupłych funduszów jego katedry. *Urodził się nie z rodziny szlacheckiej, lecz z krakowskiej mieszczańskiej Biskupów (Bischofów). Do zakonu [dominikanów] wstąpił w Opatowcu (nieдалеко Krakowa) i tem się tłumaczy dodawane do imienia jego określenie de Opatowiec, co dotychczas pomowano fałszywie, jako oznaczenie pochodzenia jego stamtąd.* Spowiednik i bliski doradca Władysława Jagiełły, darzony przez króla wielkim zaufaniem. Prowincjał dominikanów (1411). Działalność na stanowisku prowincjała upamiętnia fundacja dwóch konwentów w ziemi chełmskiej - w Horodle i w Hrubieszowie. Biskup chełmski (1417-52). W latach 1417-34 towarzyszył władcy w ważnych wydarzeniach państwowych. Uczestniczył w misjach dyplomatycznych. O kampanii łuckiej, Długosz wiadomości czerpał prawdopodobnie z zapisków naocznego świadka, biskupa chełmskiego Jana Biskupca, znajdującego się wówczas w otoczeniu królewskim. Za życia Władysława Jagiełły (1434) wiele uwagi poświęcał działalności na dworze, uczestnicząc w pracach Rady Królewskiej i wypełniając szereg zadań na zlecenie króla. Jan był przy koronacji Władysława Warneńczyka (1434). Za zasługi otrzymał szlachectwo i herb Cholewa.

Jako biskup chełmski, Jan wszedł w ostry spór z krakowskim biskupem Zbigniewem Oleśnickim na sejmie w Sieradzu (25.01.1425), gdzie rozpatrywano, zgodne z wolą papieża i wolą króla, odłączenie ziemi lubelskiej od rozległej diecezji krakowskiej i przyłączenie jej do diecezji chełmskiej. Jan załagodził spór i zrezygnował z ziemi lubelskiej. *Jan z Opatowic, spowiednik królewski, zakonu kaznodziejskiego, biskup chełmski, przemówił Władysława króla na swoją stronę, aby oderwał ziemię lubelską od dyecezyi krakowskiej, a przyłączył do chełmskiej, kędyby on założył sto-*

licę sobie, a rzecz utarta już była w Rzymie, za sprawą Mikołaja Lasockiego kanonika krakowskiego, będącego pod ten czas w Rzymie u Marcina V. Sam także Jan biskup chełmski, zrażony oporem Zbigniewa biskupa Krakowskiego i całego królestwa, odstąpił od swego zamiaru a z nim sporów, waśni i wytoczonej przeciw sobie sprawy.

W trakcie rządów skupił uwagę na problemach diecezji. Zorganizował cztery synody diecezjalne w latach 1434-40, 1440-41, 1445 i 1449. Ustawy synodów, *jako całość stanowią dzieło pomnikowe, jakim poszczycić się nie może żadna inna z polskich diecezji. W dokumentach nazywał siebie bratem Janem z zakonu kaznodziejskiego, profesorem świętej teologii, z Bożej łaski biskupem chełmskim.* Jan uposażył kaplicę św. Anny w Krasnymstawie (01.08.1419). Erygował kilka kościołów parafialnych, np. w Chłaniowie (1419), Gródku (1420/1438?), Łabuniach (1435). Jan wyrobił u króla nadanie dla katedry chełmskiej dóbr Łyszcza i Siedlisk; ufundował klasztor dominikanom w Kościanie, Łowiczu, Środzie Wielkopolskiej, Horodle i Hrubieszowie. Dbał o wznoszenie nowych świątyń, których liczba w czasie jego rządów zwiększyła się z 20 do 40.

Król Władysław Jagiełło szacownie wyraził się o Janie tymi słowami: *Kościół swój chełmski, nowy, dzięki fundacji naszej założony, przykładem życia i oddaniem cnoty wznosząc, nie ociąża się on lud niewierny dookoła osiedlony, ku życiu wiecznemu nauczać i słowem świętej nauki, jakoby roślinę świeżo posadzoną, najwymowniejszego źródła rosą nawadniać.*

Jan, biskup chełmski, szlachcic herbu Cholewa, mistrz teologii, zakonu kaznodziejskiego, w Sobotę, po oktawie Wielkiej nocy, to jest dnia dwudziestego drugiego miesiąca Kwietnia 1452 umarł, i w kościele chełmskim pochowany został. Po jego śmierci, za wstawieniem się króla Kazimierza, papież Mikołaj V osadził na stolicy chełmskiej Jana Kraskę, szlachcica herbu Bylina.

Dopiero za czasów działalności Jana, faktycznie zaczęła funkcjonować diecezja chełmska. Dwaj uprzednio wymienieni biskupi nazywani bywają chełmskimi biskupami tytularnymi.

Jan Kraska Taranowski z Łubnicy. *Dom Taranowskich* w przemyskiej ziemi sławny. Prawdopodobnie syn Jana, cześnika kaliskiego i starosty konińskiego i Katarzyny Piotrówny. Wstąpił do zakonu kaznodziejskiego (dominikanów). Po raz pierwszy pojawił się w dokumencie królewskim w 1423 roku. Archidiakon uniejowski, kanonik opatowski, gnieźnieński i krakowski, proboszcz

katedralny lwowski, altarzysta (ołtarznik) altarii [ofiarowania?] NMP. Pisarz króla Władysława III, spowiednik króla. Obecny w orszaku królewskim w Budzie (1442). Biskup chełmski (1452-62). Wydał dokument lokacyjny Skierbieszowa (1453).

Był to mąż umysłu łagodnego, miłujący życie spokojne i umiarkowane; w ciele gruby i otyły. Siedział na stolicy chełmskiej lat 10. Jego staraniem, Król Kazimierz Jagiellończyk, kościół farny chełmski do katedry inkorporował, Sawin dobra nadał; miasteczko Skierbieszów do stołu biskupów chełmskich przybyło, gdzie on fundował kościół pod tytułem św. Dominika fundatora zakonu karmelitańskiego. Mieszczanom tamecznym wiele przywilejów nadał, mąż łaskawy, skromny i uczony, miłujący życie spokojne i umiarkowane. Kraska go nazwano dla wielkiej tułowatości ciała i czerwoności twarzy.

Jan Długosz zapisał: Roku 1462 Jan, nazwiskiem Kraska, biskup chełmski, herbu Bylina, po odprawionem nabożeństwie w Sobotę przed Wielkanocą w mieście Krasnymstawie, a w Hrubieszowie w samą Wielkanocę, która wtedy przypadała dnia jedenastego miesiąca Kwietnia, przez dwa dni następne zdrów i wesół, dnia czwartego zachorował, i opatrzony ŚŚ. Sakramentami, uczyniwszy rozporządzenie ostatniej woli, w Sobotę przed oktavą Wielkiejnocy, to jest dnia 17 IV, w Kumowie, wsi należącej do swego biskupstwa, w ciężką zapadł niemoc, która gdy się ciągle wzmagała, kazał się wynieść na tylne pokoje swego dworu, i tam zasnawszy umarł. Pochowano go w kościele chełmskim.

Paweł z Grabowa (Grabowy), Grabowski, Grabowiecki. Syn Mikołaja. Pochodził z rodziny Grabowskich o przydomku Goetzendorf własnego herbu Zbiświcz, jednej z rodzin polskich osiadłych w powiecie człuchowskim na Pomorzu jeszcze za czasów krzyżackich. Po ukończeniu studiów w Akademii Krakowskiej, wstąpił na służbę królewską. Archidiakon lubelski, pisarz skarbowy królewski, kanonik poznański, krakowski, podskarbi nadworny (21.09.1454). Król Kazimierz Jagiellończyk mianował Pawła biskupem chełmskim (1463-79), nominację zatwierdził papież (14.06.1463).

Dokument dowodzi, że Paweł z Grabowa, biskup chełmski należał do rodu Powatów. Długosz, który go musiał znać osobiście, po kilka razy pisał o nim, że był z tego rodu. W 1479 r. Paweł, biskup chełmski, Maciej i Franciszek Grabowscy, dzieci Grabowa i lenni posiadacze wsi Goeczen, vel Goczowieś, okazali w grodzie Starogardzkim oryginalne przywileje krzyżackie z roku 1374 i ze-

znali pod przysięgą, że ta od przodków posiadana Goczowieś ma 15 włók magdeburskich.

Paweł poświęcał się najprzód rzemiosłu wojennemu. Jako rycerz, towarzysząc królowi Władysławowi, uczestniczył w bitwie pod Warną (1444). Tam dostał się do niewoli tureckiej, z której z kilku towarzyszami - Grzegorzem z Sanoka i Janem Rzeszowskim udało się szczęśliwie ująć nocą wprost z pobojuwiska. Z Polaków pojmanych w Turczach, za dziwną sprawą miłego Boga chytrze uszli poganom. Wskutek uczynionego z tej okazji ślubu poświęcenia się służbie Bożej, wszyscy trzej wstąpili do stanu duchownego i doszli z czasem do biskupich godności. Grzegorz z Sanoka umarł arcybiskupem lwowskim, Jan Rzeszowski - biskupem krakowskim, a Paweł Grabowski, który przez długi czas był sekretarzem Króla Kazimierza Jagiellończyka do spraw pruskich, został biskupem chełmskim. Pod wielu aktami, wówczas spisany, znajdujemy podpis biskupa Pawła Grabowskiego. Pieczęć Pawła z Grabowa z herbem Ogon (Ogończyk), znajduje się przy dokumencie traktatu toruńskiego (19.10.1466).

Paweł, mąż zacny i pełen ludzkości, prawie wszystkich Polaków uważał za swoją rodzinę i krewnych. Objął rządy w diecezji, której stolica, Chełm, jak twierdził Długosz, jest w zupełnym upadku i należałoby ją przenieść do Hrubieszowa, miasta o większej liczbie ludności i lepiej urządzonego. Znał się zabieg Pawła o przeniesienie siedziby biskupiej z Chełma do Hrubieszowa, na co uzyskał w Lublinie przywilej króla Kazimierza Jagiellończyka (28.04.1473). Zamiaru tego jednak nie zrealizował. Na gruntach wsi Łyszcz założył miasto, od swego imienia nadając mu nazwę Pawłów (1470).

Jan Kazimierski (Kazimirski). Jan i Mikołaj, których gniazdem rodowym był Ostrów (dziś Ostrowiec Świętokrzyski), dziedziczyli Bochoćnicę, Świdnik, Zaszczytów, Wilków i Rogów, w powiecie lubelskim, w drugiej połowie XV wieku. Byli potomkami Grota z Ostrowa, podkomorzego lubelskiego, starosty kazimierskiego, zwanego często od tego starostwa, Grotem Kazimierskim.

Jan, syn Warsza Ostrowskiego i Elżbiety z Rąbłowa, był bratem krasnostawskiego starosty Mikołaja Ostrowskiego. Jan mylnie przez historyków i heraldyków zaliczany do Biberszteinów, gdyż pieczęć jego z Rawiczem, jest przywieszona przy dokumencie z 1480 r. Proboszcz katedralny chełmski, oficjał lubelski (1480), biskup chełmski (1480-84), biskup przemyski (1484-85). W 1466 r. Jan darował dożywotnio swemu bratu Groto-

wi z Ostrowa 1/3 część grodu kazimierskiego. W 1468 Grot, tenutariusz odstąpił bratu Janowi, 1/2 przewozu na Wiśle, mostowego oraz czynszów z miasta i tenuty kazimierskiej. Król Kazimierz Jagiellończyk postanowił, aby Jan biskup chełmski i jego brat Mikołaj dożywotnio trzymali zamek i tenutę kazimierską (1481). Król zapisał braciom dożywotnią pensję 120 grzywien z żup solnych z tytułu sum zapisanych im na tenucie kazimierskiej (1483). Kroniki wspominają o erygowaniu przez Jana parafii i konsekrowaniu kościoła Wniebowzięcia NMP w Uchaniach (27.05.1484).

Biskup Jan zmarł prawdopodobnie w Brzozowej pod Przemyślem.

Jan z Targowiska (Targowiski, Targowicki). *Rodzina w Sedomierskiem i Lubelskiem województwach.* Jan, kancelista królewski, dyplomata i kronikarz (Autor kroniki *Rocznik* (1386-1491)). Był studentem Akademii Krakowskiej w 1458, bakałarzem w 1462. Akta kapitulne przemyskie notują Jana, jako kanonika (1481). Później był rektorem kościoła parafialnego w Drohobyczu. Biskup chełmski (1484-86), biskup przemyski (1486-92). W r. 1485 nazywał siebie *electus Chelmensis*. Wchodził w skład rady królewskiej. Uczestniczył w ceremonii hołdu lennego hospodara mołdawskiego Stefana III Wielkiego przed królem Kazimierzem Jagiellończykiem (w Kołomyi 15.09.1485). *Uroczystości hołdu tego, przytomnemi byli: Jan Vatropa Arcybiskup Lwowski, ten trzymał Ewangelię pod czas przysięgi, Maciej ze Starej Łomży Biskup Kamieniecki, Jan Targowicki obrany Biskup chełmski.* Po śmierci papieża Sykstusa IV, król Kazimierz wysłał Jana do Rzymu dla złożenia gratulacji nowemu papieżowi Innocentemu VIII (1486). W Rzymie, zapewne na życzenie króla, Jan został wyświęcony na biskupa przemyskiego i wygłosił przed papieżem mowę obediencyjną (26.05.1486), w której podkreślił zasługi Kazimierza Jagiellończyka w walce z Turkami i Tatarami. Rezultatem misji było wydanie bulli krucjatowej (5 VII), w której król polski mógł zachować 3/4 dochodów z odpustów na cele walki z niewiernymi.

Jan z Targowiska, mąż i ludzkością, i świętobliwością życia, i dbałością o honor Boski znakomity. Jako biskup przemyski, zezwolił Ładomirowi Wołochowi założyć w lasach wieś Trzcianka na prawie włoskim (1487). Biskup Jan, napisał o św. Kazimierzu, którego zapewne znał osobiście: Księżę zdumiewającej cnoty i mądrości, tudzież nauki nadzwyczajnej i tymi przymiotami pociągnął ku sobie serca wielu narodów do miłości. Biskup Jan zmarł w Przemyślu i tam został pogrzebany.

Maciej ze Starej Łomży, Łomski, Łomzski, Łomżyński. *Rodzina ze wsi Starej Łomży, swego dziedzictwa, a właściwą ich nazwą była Lankuna. Maciej, syn Trojana i Anny nieznanej z nazwiska, z łomżyńskich mieszczan pochodzenia szlacheckiego. Sekretarz królewski, należał do najbardziej zaufanych współpracowników Kazimierza Jagiellończyka i jego następców.*

Maciej był notariuszem w Przemyślu (1465), plebanem w Bóbrce i Busku, pisarzem ziemskim halickim (1468). Biskup kamieniecki (1483-90) (w Kamieńcu wybudował 5 kościołów) i chełmski (1490-1505). Maciej uczestniczył w uroczystości złożenia hołdu królowi Polski przez Stefana hospodara Mołdawii (w Kołomyi, 1485). Posłował z misją dyplomatyczną do Kaffy (Teodozji) (1475), jako pierwszy przekazał królowi Kazimierzowi wiadomość o detronizacji chana Mengli Gireja (22.06.1475). W imieniu króla badał sprawę sporu między Akademią Krakowską i biskupem krakowskim Janem Rzeszowskim. W imieniu króla Aleksandra Jagiellończyka odebrał hołd od księcia zatorskiego Jana (Janusza) V (12.08.1505). W nagrodę otrzymywał zapisy na dobrach ziemskich. Maciej posiadał majątności w powiatach: trembowelskim, halickim i krasnostawskim oraz w ziemi wiskiej na Mazowszu (w Gdańsku nabył dom). Otrzymywał także stałą pensję z żup drohobyckich i przemyskich. Przeniósł Sawin z prawa polskiego i ruskiego na niemieckie.

W roku 1490 na prośbę Macieja, król Kazimierz przeniósł siedzibę biskupów do Krasnegostawu. *Kraków. 26.06.1490. W sobotę po Janie Chrzycielu. Król (Kazimierz Jagiellończyk), na prośbę Macieja, biskupa kamienieckiego i elektę chełmskiego, kościół katedralny z Chełma do Krasnegostawu przenosi i kościołowi parafialnemu nadaje patronat Wszystkich Świętych.* Akt ten został potwierdzony przez króla Jana Olbrachta (09.01.1494), zapewne po uzyskaniu zgody Stolicy Apostolskiej.

Jan Długosz napisał: król polski Kazimierz, zgodnie z obyczajem i przysługującym mu prawem monarszym, nadał biskupstwo kamienieckie pisarzowi swemu Maciejowi z Łomży, plebanowi w Busku i kanonikowi lwowskiemu, mężowi szlachetnego urodzenia herbu Rawicz, rozsądnemu, obrotnemu i wymownemu, średniego wzrostu, o czarnych włosach, zrodzonemu z ojca (?) i matki Anny, po którym mógł oczekiwać, że z jego pomocą łatwiej będzie zatroszczyć się o budowę murów i ufortyfikowanie zamku oraz miasta Kamieńca. W sierpniu 1485 r. Maciej bawił we Lwowie w cza-

sie bytności królewskiej i udał się wraz z królem do Światyna, a w r. 1486 spotykamy go przy królu w Wilnie. W latach następnych po rok 1489 stał nieraz przed sądem grodzkim i konsystorskim we Lwowie, głównie z powodu spraw dotyczących swych parafii w Busku i Kołomyi, którą to ostatnią zapewne już, jako biskup dla pomnożenia dochodów otrzymał. W swej diecezji zaznaczył działalność udzieleniem odpustów spalonemu kościołowi Dominikanów w Smotryczu (23.10.1487). Niedługo jednak pozostał na stolicy kamienieckiej, gdyż już w początku 1488 r. zyskał nominację królewską na biskupstwo chełmskie. W charakterze elekta chełmskiego przebywał w październiku 1488 r. na dworze królewskim w Korczynie, następnie w czerwcu 1490 na sejmie w Krakowie.

Biskup Maciej zmarł w wieku lat 55.

Mikołaj Kościelecki ze Skępego. Z jednej z najdawniejszych rodzin, która należała do pierwszorzędnych w naszym kraju dostojenstwami i majątkiem przez ciąg trzech wieków: XIV-XVI, zgasała na początku XVII. W XIII wieku Kościelecki należeli do najbogatszych rodzin prowincji. Wydawszy spośród siebie dwóch biskupów, dwudziestu kilku wojewodów i kasztelanów, już w początku XVII stulecia zeszli z szerszej widowni, ustępując bratniej gałęzi Działyńskich pierwszorzędną w Rzeczypospolitej rolę i zwykłym losem najświetniejszych nawet rodów, rozplynęli się w tłumie.

Mikołaj był synem Mikołaja, wojewody brzeskiego, i Doroty z Pniew. Absolwent Akademii Krakowskiej. Kanonik (1469) i dziekan gnieźnieński (1494), prepozyt włocławski (1478), kanonik krakowski (1489). Starosta inowrocławski (1475), starosta dobrzyński (1494). Sekretarz królewski, uważany za zdolnego dyplomata. Był posłem do wielkiego mistrza (1487), uczestnikiem zjazdów Stanów Pruskich. Z kanclerzem Janem Łaskim brał udział w poselstwie na Litwę z zaproszeniem dygnitarzy litewskich na sejm radomski, na którym opracowano kodyfikację prawa i system uchwalania konstytucji (1505). Kanonik krakowski (1489). Podczas wakansu na stanowisku biskupa włocławskiego, czyli kujawskiego, pełnił funkcję administratora tej diecezji (1503/4). Biskup chełmski (1505-18). Papież Juliusz II prekonizował go, a ze względu na szczupłe dochody biskupstwa, pozwolił zatrzymać dziekanie gnieźnieńską i probostwo kujawskie. Będąc prałatem, wystawił w katedrze kujawskiej ołtarz na cześć swego patrona, św. Mikołaja. Od króla Aleksandra otrzymał połowę Białej Rawskiej, drugą połowę kupił i całość przyłączył do dochodów swego biskupstwa (1510). Ufundował

w Białej kościół parafialny. Wziął udział w koronacji królowej Barbary w Krakowie (1512). Po wstąpieniu na tron Zygmunta I, wycofał się z działalności politycznej. Kazimierz Jagiellończyk, a zwłaszcza Aleksander, uważali go za zdolnego dyplomata, szczególnie zorientowanego w sprawach pruskich i pomorskich, natomiast Jan Olbracht, zdaje się, go nie lubił, a Zygmunt I, choć spełniał jego prośby, nie promował go na wyższe stanowiska w senacie.

Prałat tak układnością obyczajów, jako i umiejętnością prawa kościelnego i ojczyściego znakomity, będąc już proboszczem kujawskim, instalował się na kanonie krakowską (1489.02.24), następnie na dziekanie gnieźnieńską (24.11.1494). Fundował kościół parafialny w Białej, w diecezji poznańskiej. Był właścicielem Skępego, dokąd sprowadził bernardynów z Koła i fundował kościół i klasztor (1497-98). Za zgodą biskupa płockiego, konsekrował klasztor Bernardynów w Skępem (1511). W Skępem zaś, w diecezji płockiej, na tym miejscu, gdzie się objawiła N. Marya P., najprzód kościół i klasztor z drzewa sprowadzonym tam przez siebie oo. bernardynów w roku 1497 wybudował, a później, będąc już biskupem, oboje wybudował i w wszelkie potrzeby zaopatrzył. W roku 1512 był przytomny na koronacji królowej Barbary Zápolya, małżonki Zygmunta I w Krakowie.

Biskup Mikołaj w późnym wieku rzadko zaglądał do stolicy biskupstwa chełmskiego, mieszkając przeważnie w klasztorze Bernardynów w Skępem i tam zmarł. Jego grób nie zachował się.

Jakub Buczaccki z Buczacza. Ród Buczacckich osiedlił się na Rusi za rządów Kazimierza Wielkiego, *król nadał im ziemie w tej prowincji i z warunkiem strzeżenia jej granic od najazdu Wołoszy i Tatarów. Nadanie Buczacckich było bardzo znaczne, gdyż, miarkując po ich posiadłościach z pierwszych lat XV stulecia, składało się z ziem po obu stronach rzeki Strypy położonych, i z kilkunastu osad, jak Buczacza, Jazłowca, Litwinowa, Monasterzysk, Czerlimów, Podhajec itd. i wynosiło wtedy 50, a może i więcej mil kwadratowych (to około 3 000 km²). Od nazwy Buczacza, wzięli nazwisko Buczaccy. Rodzina odegrała wybitną rolę w dziejach Rusi i Podola w XV wieku. Na Jakubie wygasła główna męska linia rodu.*

Jakub był synem Jakuba z Podhajec, wojewody ruskiego, i Anny ze Sprowy. Studia na Akademii Krakowskiej. Zapisany do Akademii w zimowym semestrze 1487. Pracował w kancelarii królewskiej. Miał talent dyplomatyczny i zdol-

ności mediacyjne. Posel na Węgry (01.1503) i na Wołoszczyznę (01.1504). Misja rewizji przebiegu granicy polsko-mołdawskiej, za co spotkały go wyróżnienia i godności: podkomorzy (1504), sekretarz królewski (1502-06), prepozyt pleban lubelski (1505), wziął po swoim bracie starostwo rawskie (1510), biskup kamieniecki (1510-18), dziekan kapituły lwowskiej (1518), biskup chełmski (1518-38) i biskup płocki (1538-41). Stolica Apostolska dozwoliła mu zatrzymać dziekanat kapituły lwowskiej, który posiadał, będąc biskupem kamienieckim. Z ramienia senatu uczestniczył w układach prowadzonych w Krakowie z pełnomocnikami wielkiego mistrza, a następnie w ceremonii hołdu pruskiego (1525).

Chełmski pontyfikat Jakuba trwał dwie dekady i choć nadal był wypełniony działalnością państwową, biskup znajdował czas, *by poświęcać się bardzo gorliwie pracy nad podniesieniem tej zaniedbanej diecezji*. Wyjednał szereg przywilejów królewskich: nadanie prawa magdeburskiego dla miasta Skierbieszowa (1520), zezwolenie na lokację miasta na prawie niemieckim we wsi Białej (1521). Ponadto uzyskał od króla prawa magdeburskie dla Sawina i wykupił wójtostwo w Pawłowie i Łyszczu. Wystarał się w Rzymie o zgodę na przeznaczenie dochodów jubileuszowych na odbudowę świątyni katedralnej w Krasnymstawie (1526). Pozyskał dla katolicyzmu wielu prawosławnych mieszkańców Chełmszczyzny (przede wszystkim szlachty). Ufundował dwunastu wikariuszów przy kościele krasnostawskim i na ten cel uprosił u króla Zygmunta I o trzy probostwa: parczowskie w diecezji krakowskiej, krasnostawskie i płonkowskie w chełmskiej; odtąd prawo patronatu w tych trzech beneficjach należało wyłącznie do biskupów chełmskich. Na stół biskupi otrzymał od króla pięćdziesiąt grzywien z żup ruskich (1519) i dwie wioski Cieszyn i Strzyżową z niektórymi częściami ziemi w Pławnikach. Jakub sprzedał w roku 1534 klucze podhajecki, monasterski i litwinowski za sumę 10 000 złp, do rąk Mikołaja Wolskiego, kasztelana wojnickiego i marszałka nadwornego królowej Bony. Od kapituły kupił na fundusz biskupi wójtostwa w Pawłowie i Łyszczu. Przeniósł się na biskupstwo płockie (1538), na tej stolicy otrzymał od króla zamek Złotoryję.

Biskup Jakub, powracając z zamku Złotoryja, w drodze zasłabł i umarł w Brodnicy. Nagrobek ma w katedrze płockiej.

Sebastian Branicki. Rodzina pochodzić miała z Branicy pod Radzyniem w woj. lubelskim, według zaś innych heraldyków - z Brańczy w beł-

skiem, *która już w XV wieku notorycznie do niej należała*. Czterech senatorów w latach 1536-1793. Sebastian był pierwszym znacznym przedstawicielem rodu.

Sebastian, proboszcz we Wrzeszczowie (1518), kanonik łowicki (1523), dziekan kurzełowski (1530), kanclerz gnieźnieński (1535), **referendarz wielki duchowny** (26.08.1532 -1538), kanonik krakowski (1534) i gnieźnieński (1535), kanonik katedralny na Wawelu (1534), został tam prepozytem (1537). Biskup kamieniecki (1536-38), chełmski (1538-39), poznański (1539-44+).

Sebastian karierę związał z rodem Łaskich, którego głową był wówczas prymas Jan. Trafił do otoczenia królowej Bony, a przy jej poparciu otrzymał urząd referendarza duchownego oraz prałaturę kanclerza w kapitule metropolitalnej w Gnieźnie. Przyjaźnił się z Andrzejem Tęczyńskim, kasztelanem krakowskim. Król Zygmunt I nominował Sebastiana biskupem kamienieckim (1535). Zachował stanowisko referendarza duchownego, które sprawował do przenosin na stolicę biskupią w Krasnymstawie (1538). W kilka miesięcy później został przeniesiony na stolicę biskupią w Poznaniu (1539-44). Wówczas pod jego opiekę, na praktykę w prawie krajowym, trafił będący u progu kariery Jakub Uchański, późniejszy biskup chełmski, włocławski czyli kujawski i arcybiskup Gniezna (prymas). Sebastian, będąc biskupem poznańskim, został jednym z prekursorów kontrreformacji w Polsce. Wystawił przywilej erygujący nową prałaturę w Szamotułach i podniósł kościół św. Stanisława do godności kolegiaty (1542). Na mocy przywileju wydane przez Zygmunta I na obszarach dwu wsi - Stoczek i Kawęczyn założył miasto zwane od jego imienia Sebastianów (1544), a następnie Stoczek. W Sebastianowie wybudował zameczek.

Wybitny prawnik. Twórca i opiekun poznańskiej Akademii Lubrańskiego. Był wychowankiem prymasa Jana Łaskiego i wychowawcą kolejnego prymasa, Jakuba Uchańskiego i dokonał wielkiego dzieła na polu edukacji. Mecenaz nauk, prawnik, filantrop, słynął z wiedzy i miłosierdzia: *Był to mąż pobożny, obyczajów niewinnych, uczony, a w prawie kościelnym i świeckim biegły bardzo. Mąż wielkiej pobożności, a przytem głębokiej mądrości i nauki, liłościwy nad ubogimi, szczególnie nad uciśnionymi od możnych, występował, gdzie tylko mógł, w ich obronie jakoby prawdziwy ojciec. Był cnoty nieskażonej, sprawiedliwy, uprzejmy i hojny. Znał doskonale prawo ojcyste, niemniej kościelne i rzymskie. Uchański, późniejszy Pry-*

mas, w jego szkole wychowany, zaręczał, iż całą swą znajomość prawa polskiego samemu tylko Branickiemu zawdzięczał.

Biskup Sebastian uległ ciężkiej i bolesnej podagrze. Zmarł w wieku lat 60 w Łaskarzewie, *dobrach biskupich*. Nagrobek Sebastiana z czerwonego marmuru, jeden z pierwszych renesansowych nagrobków w Polsce, znajduje się w kaplicy św. Cecylii w poznańskiej katedrze św. św. Piotra i Pawła.

Samuel Maciejowski z Maciejowic w województwie sandomierskim. Człowiek o wyjątkowych talentach. Syn Bernarda, kasztelana lubelskiego, i Jadwigi z Podlódowskich. Studiował filozofię i retorykę w Padwie i Bolonii. Do kraju powrócił przed rokiem 1530. Kanonik sandomierski i pleban lubelski (1523), kanonik gnieźnieński, krakowski, proboszcz gołębski. Został sekretarzem królewskim. Następnie: **sekretarz wielki duchowny** (29.08.1537-1539), **podkanclerzy** (27.02.1539-04.04.1547), dziekan krakowski (1538), biskup chełmski (1539-41), płocki (1542-46), krakowski (1545-50). **Kanclerz wielki koronny** (04.04.1547-26.10.1550). Był jednym ze znakomitych mężów swego czasu, pobożny, uczony, świetny łacinnik. Z hetmanem Janem Tarnowskim był główną podporą królów Zygmunta I oraz Zygmunta Augusta, a nienawidzony przez królową Bonę.

Samuel miał umysł wybitny. Znakomity mówca (miał przydomek polskiego Sokratesa) sławny z wymowy i obszernej nauki. Niepospolity dar wymowy przynawali mu swoi i obcy, przyjaciele i wrogowie. Posługiwał się zarówno piękną klasyczną łaciną, jak i piękną polszczyzną. Słyszano w Rzymie od kardynała Hieronima Giuczego, człowieka wielkiego dowcipu, iż znikąd nie przychodziły listy pisane piękniej, jak te od króla polskiego, a te Samuel zawsze układał. Orzechowski zowie go wybornym do naśladowania, tak w życiu publicznym, jako i prywatnym, wzorem. Świątobliwością między biskupami, wymową między kanclerzami za czasów swoich był pierwszym. Życie wstydlive, spokojne i wstrzemięźliwe prowadził, które uprzejmymi i wygładzonymi obyczajami zdobił, nie przesadzając nigdy ani wielomówstwem, ani też popędliwością, albo gniewem, czyli ostrością lub surowością. Cierpliwością pokonywał pociśki zazdrości, nigdy jej mściwie nie prześladowając; owszem tak łagodnie pokrywał odebrane urazy, iż z tymi, którzy mu je wyrządzali, po przyjacielsku obchodził się. Moc i siła rozumu jego, jako też i cnota nigdy nienagięta. Król Zygmunt Stary, zalecając Samuela do infuły krakowskiej, piękne mu

wystawił świadectwo w liście do kardynała protektora: jakie tylko dary biskupowi przystoją, zdaje się, że wszystkimi naraz go Bóg wyposażył; wolny był zawsze już nie zdrożności, ale nawet podejrzenia o zdrożność, daleki od wszelkiej lekkości, wszelkiego głupstwa obyczajowego; niczego w nim nie dostrzegłeś, co by mogło uszczerbek przynieść powadze. Przedtem sekretarz koronny, dziekan gnieźnieński, kanonik krakowski, potem biskup chełmski, płocki, na koniec krakowski i kanclerz koronny. Zygmunt I cenił go wielce; uczony był, poważny i łagodny, przepychu nie lubił, na dworze swym znakomitych rodzin młodzież utrzymywał. W dochowaniu tajemnic nader baczny; stąd powstała gadka i porównanie tego męża z Gamratem (jak żartował Stańczyk): dwóch, mówiono, jest w Polsce, którzy nigdy nic nie wyjawiają: Maciejowski i Gamrat; pierwszy wie wszystko, a okazuje jak gdyby nic nie wiedział; drugi nic nie znając, chciałby udać, że wie wszystko. Gdy spostrzegł, że posiadanie dwoistych urzędów zawiść wzniesła i niesnaski mnoży, dobrowolnie złożył kanclerstwo. Zygmunt I nominował go wielkim sekretarzem koronnym, 1538 podkanclerzem, 1542 kanclerzem. Zygmunt August wszystkie swe kroki kierował radą Maciejowskiego, on go wspierał w trudnej sprawie zaślubienia z Radziwiłłówną. Gdy Zygmunt August poślubił potajemnie poddaną Barbarę Radziwiłłównę, Maciejowski z niemałą odwagą cywilną bronił na sejmie w Piotrkowie przeciw opinii większości (1548), ślubu kościelnego zawartego z Barbarą.

Samuel na urządzie kanclerza odznaczył się wielkimi rozumu i duszy przymiotami, tak dalece, że nie wielu miała Polska podobnych jemu mężów, czy prawości narodu. Według słów Łukasza Górnickiego, posiadał nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach. Górnicki w Dworzaninie: charakteru, czy roztropność, czy naukę i wymowę uważasz. W radzie publicznej tak się swemi głósy odznaczał, że w uniesieniu spółczesny o nim Orzechowski napisał, iż gdyby w zgromadzeniu bogów chciał mówić od Jowisza Merkury, nie inszym kształtem i nie innym mówiłby językiem, tylko jak Samuel Maciejowski przemawia. Miał ważny wpływ na stan polityczny, zapisał: Natura mu macochą nie była, ale taką matką, iż co sobie jeden człowiek od niej zażądać może, to wszystko jemu była dała hojną ręką. Miał urodę prawdziwie pańską, twarz wdzięczną, z której nieś innego sądzić nie mógł jedno szczyry umysł a dobre serce, rozum ostry, nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach dosyć, czem

wszystkim dobrze szalować umiał, bo w szczęściu nadętości, a w nieszczęściu upadłej myśli znać nie było. Na dworze biskupim chował panięta z wielkich rodów, które sposobili do rzeczy godnych, aby z czasem z nich byli obywatela, jakoż wielu z tej szkoły zacnych ludzi powychodziło. Kromer chwalił dowcip Samuela, wspaniałość umysłu, wielką roztropność, mówił, że król Zygmunt lubił go bardziej niż własnego syna.

Samuel był przy śmierci i na pogrzebie Zygmunta I. *Na pogrzebie Zygmunta Starego w 1548 biskup Maciejowski, z urzędu i powołania miał nad zwłokami króla w katedrze krakowskiej mowę, w której wojenne i domowe sprawy Zygmunta, ród jego, obyczaje i przymioty krótko wyłożył, nie bez wszystkich przytomnych wzruszenia. W czym jednak (Orzechowski) to za przykrą rzecz miano, że ją Samuel po polsku odprawił, jak gdyby ona mowa do samych Polaków, a nie do innych także, którzy na niej byli, należała. Lecz tak się na ten czas Samuelowi podobało, ażeby polskiego u Polaków króla polskim chwalił językiem.*

Od trosk podwójnego urzędu, szukał wypoczynku w towarzystwie ludzi wybitnych. *Na Prądniku włoskim kształtem dom piękny zbudować kazał; tam ściągali świetne grono humanistów, uczonych, poetów i w ogóle ludzi wykształconych. Odbiciem rozmów, jakie się tam toczyły, jest Dworzanin Łukasza Górnickiego, jedno z arcydzieł literatury polskiej. Dom Maciejowskiego był szkołą, gdzie ukształcali się ludzie, co potem ojczyźnie wielkie usługi oddali. Dom jego na Kanonicznej ulicy i drugi na Prądniku pod Krakowem, były prawdziwą szkołą dla szlacheckiej młodzieży, która uczyła się służyć Kościołowi i ojczyźnie, patrząc na świetny wzór doskonałości i poświęcenia się, jaki miała przed oczami.*

Katedrze chełmskiej zostawił kosztowną mitrę o 181 kamieniach drogich, którą bp Szembek gustowniej przerobić kazał. Przy tym był hojnym, gościnnym i uprzejmym. Ojcowizny swej i dochodów biskupich, używał na potrzeby.

Biskup Samuel zmarł na puchlinę wodną w Krakowie w wieku lat 51. W katedrze krakowskiej w kaplicy św. Tomasza Apostoła i Matki Boskiej Śnieżnej (zwanej kaplicą Maciejowskiego) znajduje się okazałe, renesansowe, kopułowe mauzoleum biskupa Samuela, upamiętnionego zachowanym do dziś nagrobkiem z piaskowca i czerwonego marmuru (warsztat Giovanniego Marii Mosca zw. Padovano 1552).

Mikołaj Dzierżgowski z Dzierżgowa. Dawna mazowiecka rodzina, pochodząca od Ja-

strzębczyków Jeżowskich w ziemi ciechanowskiej, należała w wiekach XV i XVI do najznakomitszych na Mazowszu. Jej gniazdem było Jeżewo Kościelne.

Mikołaj, syn Pomścibora, kasztelana ciechanowskiego, i Katarzyny z Wilkanowskich, urodzony pod Przasnyszem, był bratem wojewody mazowieckiego. Studia na Akademii Krakowskiej, notariusz królewski (1518), sekretarz królewski. Otrzymał prałaturę w płockiej kapitule katedralnej (1538). Król Zygmunt I mianował go na stolicę biskupią w Kamieńcu (1541-42). Obrany został przez kapitułę katedralną w Płocku na administratora tamtejszej diecezji. Król desygnował go do diecezji chełmskiej (1542-43), na biskupstwo włocławskie (kujawskie) (1543-46), a następnie - na stolicę prymasowską w Gnieźnie (**prymas**) (1546-59). Senator (1550-60). Erygował miasto Jastrzębiec (1554), ze swej dziedzicznej wsi Kozielec, w województwie pomorskim.

Biskup Mikołaj był obecny na obrzędzie pogrzebowym Zygmunta I i śpiewał mszę żałobną za duszę zmarłego Króla w kościele katedralnym krakowskim. *Mowę pogrzebową miał Samuel Maciejowski Biskup Krakowski. Dzierżgowski rządził Kościołem metropolitalnym, wśród ciągłych zaburzeń, których przyczyną byli różnowiercy. Koronował dwie królowy Polskie, żony Zygmunta Augusta: Barbarę Radziwiłłównę (04.12.1550) i Katarzynę (30.06.1553).*

Biskup Mikołaj zmarł na puchlinę wodną w zamku łowickim. Jego nagrobek znajduje się w katedrze gnieźnieńskiej.

Jan Dziaduski z Dziaduszyc. Rodzina o przezwisku: *Pietuch, Kurek, Kogutek, które spotykamy tylko w rodzie Jelitczyków.*

Jan był synem Mikołaja i Katarzyny z Drzewickich. Studiował w Krakowie, Bolonii (uzyskał doktorat obojga praw) (1532) i w Rzymie. Służył na dworze Zygmunta I. Otrzymał kanonikaty we Włocławku i Poznaniu (1537) oraz prepozyturę kruszwicką, archidjakonię łowicką i być może prepozyturę kielecką. Proboszcz kaliski (1538). Sufragan włocławski, tytularny biskup margaryteński (1540). Był proboszczem w Kruszynie pod Włocławkiem, a prałaturę i probostwo zatrzymał, nawet będąc biskupem. Awansował na biskupstwo kamienieckie (1542-43), następnie na chełmskie (1543-45) i przemyskie (1545-59+); tam pozostał do śmierci. *Jan nienawidził nowinek genoweńskich, które się wówczas zagęszczały w Polsce i dla tego wszędzie stawiał im opór.*

Z dwuletniego okresu zarządzania diecezją chełmską zachowały się informacje o założeniu przez biskupa parafii Izbica (Tarnogóra) i ufundowaniu kościoła w Sawinie. Jako biskup przemyski, przeprowadził synod diecezjalny, na którym zajęto się problemem kontrowersyjnego członka prezbiterium przemyskiego, głośnego wówczas pisarza Stanisława Orzechowskiego, który pomimo kapłańskiej godności, zawarł związek małżeński (1550). Biskup Jan, wcześniej starający się łagodzić konflikt, zmuszony był go suspendować i ekskomunikować (1551). Sprawa trafiła pod obrady sejmu w Piotrkowie (1552), na który stawili się Orzechowski i, okazawszy skruchę, otrzymał na synodzie prowincjalnym warunkowe zdjęcie klątwy, która została przywrócona na wniosek nuncjusza papieskiego. Powtórnie uchylono ją w 1560, za przyzwoleniem papieża.

Jan Dziaduski trzymał się na uboczu, jako pan surowy, i umysłu nieporuszonego. Pamiątki małe zostawił swoich rządów w dyjecezyi chełmskiej. Wystawił kościół w Izbicy i pewnemi dochodami go opatrzył, a potem we wsi Ostrzycach zniósłszy parafię, wszystkie ztamtąd dochody przewiózł do nowego kościoła we wsi, którą Tarnogórą przezwiał. Xiądz Dziaduski, Biskup chełmski nie bardzo jest także chwalonym, jako Mnich odлюдny, dziki i niestworzony dla dzisiejszego wieku. Niestrudzony bojownik za wiarę, nienawidzony przez heretyków, niesprawiedliwie sądzony przez historyków. Jan Dziaduski bp. przem. erygując cerkiew w Lipowcu, nadaje łan we wsi Czeremcha (1545-59). Uczestniczył, jako biskup przemyski w synodzie prowincjalnym 1556 r., któremu przewodniczył nuncjusz Lippomani. W relacji posłanej do papieża tenże nuncjusz pisał o Janie, że był dobrym kanonistą i dobrego sposobu myślenia.

Biskup Jan zmarł w Brzozowej, a pochowany został w Przemyśle.

Andrzej Zebrzydowski, książę na Więsborku (pod Bydgoszczą). Zebrzydowscy wywodzili się z rodu małopolskiego lub mazowieckiego. Przedstawiciele rodu można było spotkać i na Pogórze Krakowskim i na południowym Mazowszu.

Andrzej był synem Wojciecha, starosty znińskiego, i Elżbiety z Krzyckich, siostrzeńcem prymasa Andrzeja Krzyckiego (1535-37). Studiował w Akademii Krakowskiej (1517). Kształcił się prywatnie u humanisty Leonarda Coxa, rodem z Anglii. W roku 1528 wyjechał do Bazylei, by słuchać wykładów Erazma z Rotterdamu, z którym zawarł kilkuletnią znajomość. W roku 1529 wyjechał do Paryża, uczestnicząc tam w uniwersyte-

ckich wykładach z teologii i prawa, a w 1530 - do Padwy. Został sekretarzem królewskim. Zygmunt I dostrzegł predyspozycje intelektualne i znajomość polityki, powierzając mu misje dyplomatyczne i wydając beneficja. Otrzymał dziekanie łączącą oraz kanonie - krakowską (1530) i płocką (1531). Został prepozytem gnieźnieńskim i ordynariuszem kamienieckim (1543-45), a następnie biskupem chełmskim (1545-46). Wkrótce Zygmunt I przeniósł go na diecezję włocławską (kujawską) (1546-51), a Zygmunt August powierzył mu biskupstwo krakowskie (1551-60).

Andrzej, mąż dzielnego umysłu i nader ławnej wymowy, biegły w dwóch językach, greckim i łacińskim, w Rzymie wyuczony. Trafił na czasy, kiedy luterskie i kalwińskie nauki do całej Polski wdzierać się były poczęły; ale gorliwy pasterz wymógł u króla Zygmunta, że sejm powszechny złożono w Piotrkowie, na którym z wielką stałością przeciwko nim wystąpił. Za jego rządu wszczęte sekty jak pod młotem były, do czego wszystkie prace swoje i przezorności otworzył dobry pasterz. Gładką celując wymową, rad naganiał taki sposób mówienia, który więcej zadziwiać niżli oświecać zdolny umysł słuchacza. Karcił i wyśmiewał niewczesne wielu mówców ubieganie się za nowością i niezwyčajnem wystowieniem, na tem zasadzając prawdziwą wymowy zaletę, aby jak najjaśniejszą myśl wyrażała. Sprzeciwił się wywiezieniu z Polski bogactw przez królową Bonę. Gdy Andrzej Zebrzydowski Biskup Krakowski w pełnej powagi i umiarkowania mowie odradzał Królowej tak niewczesny wyjazd, uniesiona gniewem, publicznie zarzuciła mu, że od niej urząd Biskupi kupił. „Kupiłem, bo był do przedania”, odpowiedział Zebrzydowski. Należał do niewielkiej liczby tych Senatorów, którym się August jeszcze w roku 1547 w Piotrkowie za życia ojcowskiego, zwierzył z tajemnicą zawartych ślubów z Barbarą w Wilnie. W 1550 wytoczyła się przed sąd królewski sprawa Mikołaja Oleśnickiego, dziedzica Pińczowa, o dawanie przytułku i schronienia różnowiercom, znieważenie tamecznego kościoła i zaprowadzenie w nim arikańskiej nauki. Pozwany przez Jana Przerębskiego administratora biskupa krakowskiego, Andrzej Zebrzydowski imieniem całego duchowieństwa dawał odpór Mikołajowi Rejowi, sławnemu w owym wieku mówcy i wierszopisowi, który Oleśnickiego bronił. Ważność sprawy dostarczyła Zebrzydowskiemu środków obrony i wymowy, kiedy Rej na samych końcach obelgach.

Andrzej Zebrzydowski zyskał nieprzychylną opinię u historyków, a sądy o nim są nad-

zwyczaj sprzeczne, tak że może nie ma drugiej postaci wśród episkopatu polskiego, o której by tak trudno jak o nim było wyrobić sobie opinię stanowczą. Od opinii typowego protegowanego duchownego doby renesansu, szukającego możliwości powiększenia fortuny, pozbawionego głębszej religijności i mocnych zalet moralnych. Po opinie późniejszych biografów, którzy przesadzają w pochwałach jego religijności i prawowierności; nazywają go we wszystkim wspaniałego umysłu, w radzie wielkim, w strofowaniu ostrym nieco, praw Kościoła obrońcą, wiary świętej katolickiej namiętnym promotorem, wolności i swobód krajowych gorliwym miłośnikiem. Na heretyków straszny, na ubogie miłosierny, na domowe hojny i łagodny, i u całej Rzeczypospolitej dobrze zasłużony. Współcześni byli innego mniemania, a Stolica Apostolska mocno o jego prawowierności powątpiewała. Jego korespondencja, niekorzystne rzuca światło. Zebrzydowski był synem swego czasu, wychowanym w szkole wybujałego humanizmu, który nie zatrzymując się na odrodzeniu wiedzy i nauki przez zwrot do wzorów klasycznych, przejął się sceptycyzmem na punkcie religii i obyczajów. Są pomiędzy historykami tacy, którzy go posądzają o faryzeizm i obłudę. To skłaniał się do racjonalizmu i reformacji, to znów silnymi potem wystąpieniami w drugim kierunku starał się zło naprawić, a przynajmniej zatrzeć złe wrażenie: chwiejny, połowiczny, zdobywał się później na zapęły i gwałtowność inkwizytora, lecz nigdy nie miał powagi apostoła.

Biskup Andrzej umarł we Wrześni febrą zmorzony. W katedrze krakowskiej w kaplicy św. Kosmy i Damiana, zwanej kaplicą Zebrzydowskich (proj. Jan Michałowicz z Urzędowa) znajduje się manierystyczne, kopułowe mauzoleum biskupa Andrzeja. Po lewej stronie od wejścia wznosi się pomnik nagrobny biskupa (rzeźb. Jan Michałowicz z Urzędowa) z piaskowca i marmuru, z postacią zmarłego leżącego na sarkofagu. Nagrobek jest jednym z najwybitniejszych przykładów polskiego manieryzmu.

Kazimierz Stolecki

Ciąg dalszy „Sylwetek biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich” przedstawimy w następnym numerze „Nestora”.

adm

Mariusz Kargul

© Jak się Napoleon o Aleksandra w 1812 potykał



Marzenia o potędze, sławie i władzy towarzyszą praktycznie od zarania dziejów tym wszystkim, którzy pragną objąć przysłowiowy „rząd dusz” we własnym kraju, a następnie starają się rozszerzać konsekwentnie posiadaną strefę wpływów na sąsiadujące z nim terytoria. Jest to obraz może nazbyt uproszczony, ale za to dobrze oddający istotę powstawania wszelkiego typu konfliktów i zatargów, gdyż trzeba pamiętać, że cel agresji czy jakiegokolwiek innej inwazji, w przeważającej większości przypadków nie godzi się biernie na niekontrolowany rozrost drugiego organizmu, kosztem swojego. Samo słowo „konflikt” wywodzi się z języka łacińskiego (*conflictus* „zderzenie” od *confligere* „zderzać się, walczyć”) i oznacza antagonizm, sprzeczność interesów, poglądów (z psychologicznego punktu widzenia są to potrzeby i motywy), inaczej możemy mówić również o sporze, zatargu, kolizji.

W dziedzinie polityki i stosunków społecznych wyróżniamy konflikty wewnętrzne i międzynarodowe, a terminu „konflikt” używa się często na określenie sporu, jako czegoś łagodniejszego. Ważne jest w danym aspekcie zachowanie stron: czy między nimi konflikt ma charakter werbalny, ograniczający się do składania protestów, ostrzeżeń czy nawet gróźb. Konflikt posiada ostrzejszy charakter wtedy, gdy następuje zerwanie stosunków dyplomatycznych, gdy ma miejsce demonstracja siły militarnej, a nawet jej użycie. „Wówczas mamy do czynienia z konfliktem zbrojnym, który może przerodzić się w wojnę”.

W konflikcie występują minimum dwie strony, ale mogą włączyć się inne siły, czasami w roli mediatorów. Istnieje też pojęcie konfliktu o „niskiej intensywności”. Anglosasi określają je mianem „Low-Intensity Conflicts”. Są to takie konflikty, które posiadają charakter lokalny i są ograniczone pod względem celów, użytych sił i środków oraz zasięgu terytorialnego.

Ponadto kwestia konfliktów wydaje się być wieloaspektowa. Jak pisze Cz. Mojsiewicz, z reguły kładzie się nacisk na negatywne strony konfliktów. Mają też one często pozytywne strony, ponieważ wpływają na zmiany w pozytywnym kierunku. Proces społeczny w szerokim tego słowa znaczeniu

jest niemożliwy bez przewyższania konfliktów i sprzeczności. Chodzi o to, by nie przybierały one niszczycielskiego charakteru, lecz były rozwiązywane bezkrwawo, drogą mediacji, rokowań, kompromisów.

W odniesieniu do epoki napoleońskiej, czy w ogóle okresu przemian dziejowych Europy i świata zainicjowanych przez Wielką Rewolucję Francuską w roku 1789, trudno jest doszukiwać się bezkrwawych i pokojowych prób rozwiązywania konfliktów, gdyż do wyobraźni narodów i polityków o wiele dobitniej przemawiały zwycięstwa odnoszone na polach bitew, niż te uzyskiwane drogą dyplomatycznych układów i porozumień. Do analizy konfliktów z lat 1789-1815 można zastosować na przykład model Tilly'ego, który został skonstruowany dla wyjaśnienia zjawisk przemocy zbiorowej. Model ten odnosi się zwłaszcza do rewolucji, które wstrząsały Starym Kontynentem w dobie historii nowożytnej, i składa się z sześciu stadiów odzwierciedlających narastanie istotnych różnic pomiędzy określonymi grupami, które doprowadzają w efekcie do eskalacji przemocy i wpręgnięcia do działań siły zbrojne.

Szczególną uwagę historyków i różnego pokroju badaczy zwraca konflikt, który zaczął narastać najpierw między dwoma hegemonami Europy, którzy nigdy nie kryli wzajemnej admiracji dla siebie, ale których koncepcje sprawowania władzy nie mogły znaleźć dla siebie pokojowych metod współistnienia. Mowa tutaj oczywiście o cesarzu Francuzów Napoleonie I Bonaparte i carze Rosji Aleksandrze I Romanowiczu, których postacie mogą służyć z pełnym powodzeniem za personifikację dwóch porządków społeczno-politycznych przełomu XVIII i XIX stulecia, a mianowicie „nowego” (powstałego na bazie rewolucyjnej, obalającej poprzedni system ancien regimu) i „starego” (hołdującego zasadom oświeconego absolutyzmu, a z czasem reakcji i legitymizmowi). W modelu Tilly'ego byłoby więc to pierwsze stadium konfliktu, gdyż jedno ze społeczeństw przeszło gruntowny wstrząs i przemianę swojej struktury, a drugie nadal pozostawało w okowach przeżytków feudalizmu i ogromnego zacofania niemal we wszystkich dziedzinach życia obywateli.

Paradoksalnie rzecz ujmując, konflikt między Francją a Rosją w lecie 1812 roku nie wyniknął z bezpośredniej sprzeczności tych państw, lecz z faktu, iż Napoleon bezskutecznie próbował pokonać od dłuższego czasu... Anglików. Zdawał sobie znakomicie sprawę, że wszystkie jego dotychczasowe osiągnięcia przetrwają tylko wtedy, gdy

zapewni Europie pokój. Nie było to jednak łatwe zadanie. Jak obrazowo pisze V. Cronin: „Europejskie dwory pały do niego nienawiścią, a nigdzie nie był tak znienawidzony jak w Anglii, gdzie wysławiano jego tytuł cesarza i przysięgano zburzyć imperium”. Napoleon szybko zrozumiał, że Anglię można pokonać tylko na morzu, jednak klęska jego floty dowodzonej przez admirała Villeneuve'a pod Trafalgarem 21 października 1805 r. w starciu z flotą admirała Nelsona pogrzebała definitywnie tego rodzaju plany.

Cesarz Francuzów musiał znaleźć więc sobie potężnego sojusznika na kontynencie i przy jego pomocy zadać monarchii brytyjskiej klęskę gospodarczą, która pociągnęłaby za sobą wielkie rozruchy społeczne i destabilizację całego państwa. W rachubę wchodził tutaj tylko car Rosji, z którą przyszło Napoleonowi zmierzyć się kilkakrotnie na placu boju, ale wraz z podpisaniem traktatu w Tylży 7 lipca 1807 r. stosunki zaczęły układać się coraz lepiej, tym bardziej, że obaj władcy spotkali się przy tej okazji osobiście i niewątpliwie przypadli sobie do gustu. Napoleon roił sobie nawet o ślubie z siostrą Aleksandra, ale najbliższe otoczenie cara, a zwłaszcza jego matka, odrzuciło próby nawet jakichkolwiek sondaży na ten temat. Bonaparte mógł liczyć już tylko na lojalność Rosjan pod kątem wywiązywania się z umowy o blokadzie kontynentalnej, która miała na celu izolację gospodarczą Anglii poprzez całkowity zakaz prowadzenia z nią eksportu i importu. W praktyce, ze względu na ramy geograficzne blokady (ale nie tylko), okazało się to niewykonalne, a i sami Rosjanie stosunkowo szybko zaniechali skrupulatnego przestrzegania ustalonych w niej reguł.

Utworzenie przez Napoleona Księstwa Warszawskiego w 1807 roku i wygrana wojna z Austrią w roku 1809, skłoniły cara Aleksandra do stopniowej zmiany frontu i zasad prowadzenia polityki zagranicznej imperium. Wpływowi członkowie dworu skupieni wokół jego osoby coraz intensywniej zaczęli doradzać mu realizowanie dawnej ekspansjonistycznej polityki Katarzyny Wielkiej, a przez to stanie się drugim Aleksandrem Wielkim. Po zawarciu pokoju z królem Szwecji, Karolem XIII, w której działał aktywnie wróg Napoleona, marszałek Bernadotte, Aleksander poczuł się na tyle silny, że w kwietniu 1812 roku postawił ultimatum: Napoleon musi wycofać wojska z Prus i Księstwa Warszawskiego, jako wstęp do wytyczenia nowych granic w Europie.

Druga faza przyjętego tutaj modelu zakłada, że w pewnym momencie następują zmiany

w organizacji grup, które należy traktować jako uwarunkowanie konfliktu. Taka właśnie sytuacja zapanowała na linii stosunków między tymi dwoma mocarstwami, kiedy jednoznacznej polaryzacji uległy interesy każdej ze stron. Napoleon stanął więc przed dramatycznym wyborem, gdyż z jednej strony wiązało się to ze zdradą najwierniejszego sojusznika (Polski), a z drugiej - sam był niechętny wojnie z Rosją. Jak powiedział w 1808 roku: „Historia nie zna przypadku, by ludzie z południa dokonali najazdu północy; to ludy północne parły na południe”. Nie miał w zwyczaju postępować wbrew naukom historii. Za przystąpieniem do wojny zdawał się przemawiać fakt sojuszu z Austrią (m.in. za sprawą małżeństwa z córką cesarza austriackiego Marią Luizą), jak również chęć zadania klęski armii cara przynajmniej na miarę tych spod Austerlitz czy Frydlandu, co mogłoby zapewnić kilka lat pokoju i umożliwić wreszcie zakończenie konfliktu z Anglią, gdzie oznaki wyczerpania stawały się coraz bardziej oczywiste. Świadczyły o tym wysokie bezrobocie i brak artykułów spożywczych. Jak to zwięźle podsumował Bonaparte: „Mają pod dostatkiem pieprzu, ale brakuje im chleba”. W każdym bądź razie, już z początkiem 1812 roku szykował się na wielką, natychmiastową w jego mniemaniu, wojnę.

Z analizy modelu zaproponowanego przez Tilly'ego wynika ponadto, że pomiędzy drugą a trzecią fazą konfliktu dochodzi do instytucjonalizacji i zorganizowania się grup w sensie socjologicznym. Dla nas bardziej przydatne będzie jednak rozpatrywanie tego problemu pod kątem organizowania się uczestników zdarzeń w ramach struktur operacyjno-taktycznych proklamowanych przez każdą ze stron. Zresztą oddział wojska czy też jakakolwiek inna formacja militarna stanowi również grupę społeczną o określonej hierarchii, spójności i motywach działania. W odróżnieniu od grup strictly cywilnych, musi tutaj być jednak wyraźnie określona zasada dowodzenia i funkcjonowania poszczególnych szczebli wydawania, a następnie wykonywania rozkazów.

Zamierzenia i plany wielkich ludzi poznaje się najlepiej po relacjach świadków ich życia, dlatego też warto w tym miejscu posłużyć się cytatem jednego z adiutantów Napoleona, który w swych pamiętnikach zanotował następującą konkluzję: „Cesarz wszakże - zarówno z pobudek politycznych, jak i ulegając wrodzonej sobie przedsiębiorczości - powziął tytaniczny zamiar całkowitego opanowania Europy przez pognębienie Rosji i odebranie jej zagarniętych ziem polskich. Jed-

nakże, wbrew jego woli i chęci, tajemnica stała się publiczną. Olbrzymie przygotowania, jakich wymagała tak daleka wyprawa, (...) to powszechne poruszenie, (...) zwiastowało Europie bliskie starcie dwóch gigantycznych współzawodników”.

Ze wszystkich, tak licznych kampanii wojennych całej historii, od świtu ery broni palnej aż do początku XX wieku, jak zauważa D. G. Chandler w słowie wstępnym do imponującej pracy P. B. Austina, najazd Napoleona na carską Rosję w 1812 roku jest prawdopodobnie kampanią najlepiej znaną na całym świecie - i co najważniejsze, istnieją po temu uzasadnione powody. „Jeżeli chodzi o skalę, tak pod względem zaangażowanej siły żywej, jak i zasięgu geograficznego, jedynym stosownym tutaj słowem jest *epopeja*”.

Słynny pruski żołnierz, filozof i historyk, Carl von Clausewitz, nazwał kiedyś wojnę „polityką prowadzoną za pomocą innych środków”, ale nazwał ją też „dramatem namiętności”, a w przypadku konfliktu zbrojnego, który wybuchł w czasie letniego przesilenia „pamiętnego” roku 1812, namiętności urosły do rozmiarów niewyobrażalnych ludzkich dramatów i cierpień, gdyż z prawie półmilionowego grona najeźdźców, do domów powrócili tylko nieliczni. Jak stwierdza P. B. Austin: „Ponura historia odwrotu często już była opowiadana, historia natarcia zaś - znacznie rzadziej. Jest ona jednak nie mniej dramatyczna, a pod wieloma względami - nawet bardziej”.

Wszystkie działania, które podejmowały obie strony w półroczu poprzedzającym bezpośrednio samo starcie militarne, można wpisać w kształtowanie się trzeciej fazy konfliktu, a mianowicie okres, kiedy - zdaniem Tilly'ego - dochodzi do mobilizacji grup, których źródłem są zmiany i sprzeczności. O istniejących wówczas sprzecznościach pomiędzy Francją i jej sojusznikami a Rosją i kolejno „montowanymi” przy współudziale Anglii koalicjami antynapoleońskimi, była już kilkakrotnie mowa, dlatego też warto przyjrzeć się bliżej zmianom, które wygenerował sobą sam fakt wybuchu opisywanego konfliktu. Rozbieżności doszły bowiem już do takiego punktu, że nikt z decydentów nie widział realnej szansy na ich bezkrwawe wyjaśnienie i skuteczne rozwiązanie.

Kampania 1812 roku - zwana także wojną z Rosją, drugą wojną polską, wyprawą na Moskwę albo kampanią rosyjską - jest jedną z najważniejszych kampanii Napoleona, stanowiącą punkt zwrotny w prowadzonych przez niego wojnach. W opinii wybitnego znawcy przedmiotu R. Bieleckiego, nigdy jeszcze do tej pory cesarz nie zmobi-

lizował tak znaczących sił. Mówiło się nawet, że poprowadził całą Europę przeciwko Rosji. Nigdy też teatr działań militarnych nie był tak rozległy - od wybrzeży Bałtyku po Wołyń i od Niemna po Moskwę. „Po raz pierwszy Napoleon zastosował wówczas nowy szczebel organizacyjny - grupę korpusów”.

W kampanii 1812 po stronie francuskiej wystąpiło 12 korpusów, liczących łącznie 600 tysięcy żołnierzy, 150 tysięcy koni i 583 działa. W tej masie wojsk było ponad 100 tysięcy Polaków, którzy po Francuzach (155 tysięcy) stanowili najlicniejszy kontyngent narodowościowy. Rosjanie zmobilizowali w pierwszej linii 230 tysięcy żołnierzy. Bezpośrednio przed rozpoczęciem kampanii, zasadniczy trzon sił francuskich znajdował się nad dolną Wisłą, gdzie Napoleon skoncentrował blisko 300 tysięcy żołnierzy.

Odrębną sprawą pozostaje kwestia nadziei, które wiązały z tym konfliktem siły stojące po obu jego stronach. W ostatecznej rozgrywce dwóch mocarstw wielką nadzieję pokładali Polacy, liczący na odbudowanie państwa w strukturach i rozmiarach zbliżonych do tych sprzed rozbiorów. Nie można też zapominać, że zarówno Napoleon, jak i Aleksander mieli zagorzałych zwolenników wśród polskiego społeczeństwa, o czym świadczy chociażby długoletnia zażyłość i współpraca księcia Józefa Poniatowskiego po jednej stronie a księcia Adama Jerzego Czartoryskiego (który w pewnym okresie stał się nawet najbliższym doradcą cara Aleksandra i kierował jego polityką zagraniczną) - po drugiej. Wkroczenie jednostek Wielkiej Armii na Litwę wywołało początkowo euforię, co znamy chociażby dobrze z naszej literatury (Pan Tadeusz, Adama Mickiewicza), czy też dzięki lekturze jednego z wierszy, którym witano wybawcę ojczyzny w Nowogródku w dzień jego imienin 15 sierpnia 1812 r.:

Ten kometa na niebie w Europie się zjawił
Za nim przyszedł, co Litwę z nicości wybawił!
To jest promień, co ludów stapiając okowy
Wraca martwym roślinom życie i wzrost zdrowy
Przezeń Bóg nowe Króle osadza na Tronie
Sprawiedliwy, wszechmocny Bóg w Napoleonie.¹*

Wracając jednak do politycznych i militarnych aspektów konfliktu, warto wspomnieć o tym, iż cesarza Francuzów niepokoiła zwłaszcza rozległość terenu spodziewanych operacji i brak

dostatecznych zasobów żywnościowych, na jakie mógł liczyć po wkroczeniu na terytorium Litwy i Białorusi. Odnosząc to do czwartego stadium analizowanego modelu, musimy dokonać pewnego rozróżnienia, ponieważ autor mówi w jego obrębie o działaniu grup na zewnątrz, których celem jest zdobycie władzy lub dostępu do niej, co kończy się zazwyczaj wystąpieniem represji. Tutaj, rzecz jasna, nie możemy dyskutować o jakimkolwiek ruchu społecznym czy rewolucyjnym, który dążyłby do takich celów, lecz jeśli popatrzymy na całe zagadnienie z perspektywy chęci dominacji Bonapartego nad Kontynentem, to sprawa nabiera już trochę innego znaczenia. Chodzi bowiem o to, że po raz pierwszy od czasu wojen rewolucyjnych, Napoleon poczynił zakrojone na ogromną skalę przygotowania organizacyjne. Jak zauważa R. Bielecki, w efekcie przyniosło mu to skutek odwrotny od zamierzonego, gdyż niemal wszystkie manewry podejmowane przez cesarza w tej wojnie zakończyły się niepowodzeniem - właśnie z racji powolności ruchów jego wojsk. Były też i inne trudności i problemy niemożliwe do rozwiązania.

Mamy tutaj na myśli skład narodowościowy Wielkiej Armii. Jak już wcześniej nadmieniono, Napoleon prowadził przeciwko Rosji przedstawicieli niemal wszystkich narodów europejskich, nawet Prusaków i Austriaków, z którymi do tej pory walczył, i którzy nigdy nie byli jego sojusznikami. Cesarz nie ufał poszczególnym kontyngentom narodowym - z wyjątkiem Francuzów i Polaków - dlatego też dążył do ich przemieszania. Na skutek tych zabiegów powstały wielonarodowe korpusy, „źle ze sobą spojęne, składające się z pułków, między którymi bardzo szybko wystąpiły antagonizmy, źle też nimi dowodzono”.

Tilly w skonstruowanym przez siebie modelu konfliktu zakłada, iż w jego piątym stadium mamy do czynienia z wystąpieniem wzajemnych wrogich relacji, gdzie grupy opozycyjne mogą opowiadać, a ich działania będą ograniczane w przeciwieństwie do poczynania władzy. Nie da się tego odnieść a *contrario* do sytuacji, która zapanowała w polityce europejskiej po 24 czerwca 1812 r., czyli po wybuchu wojny francusko-rosyjskiej. Z istoty powyższego stadium można jednak wyciągnąć wnioski dotyczące się tylko jego pierwszej części, czyli „wystąpienia wzajemnie wrogich relacji”, gdyż po prostu nie mogły mieć one innego zabarwienia pomiędzy żołnierzami obu stron, a przynajmniej ich zwierzchnikami, którzy kazali im rozwiązać swoje problemy za pomocą działań zbrojnych.

1. Słowo „kometa” było wówczas jeszcze rodzaju męskiego, a nie jak dzisiaj - żeńskiego.

W praktyce Aleksander I, nie mogąc pozyskać pełnego współdziałania Prus, Austrii czy choćby Księstwa Warszawskiego, dopiero w początkach wiosny 1812 roku zrezygnował z planów ofensywnych. Zdaniem J. Skowronka, przyjął za to jak najbardziej słuszne sugestie ministra wojny i dowódcy rosyjskiej Armii Zachodniej, Barclaya de Tolly, oraz pozostałych współpracowników, aby prowadzić wojnę obronną. Cofając się w głąb rozległych terytoriów Rosji, jej armia miała osłabić i zdeorganizować siły przeciwnika, redukując w ten sposób przewagę potęgi i wojennych talentów Napoleona. Dzięki tej decyzji, wojna przybrała w oczach społeczeństwa rosyjskiego wyłącznie obronny, sprawiedliwy charakter.

Napoleon, wbrew w pełni wiarygodnym i potwierdzonym informacjom na temat przyjętej koncepcji obronnej przeciwnika, nie wierzył, aby jego armia chciała wycofać się bez bitwy i „palić wszystko, czego nie będzie mogła zabrać”. Był przekonany, że samą demonstracją zbrojną lub w efekcie zwycięskiej bitwy stoczonej w pierwszych tygodniach kampanii skłoni adwersarza do ustępstw i pokoju. Pokonanie Rosji miało stanowić śmiertelny cios dla wzmagającej się opozycji antynapoleońskiej w całej Europie i zlikwidować ostatni wielki bastion oporu przeciw pełnej dominacji Cesarstwa Francuskiego. „To najzupełniej błędne przewidywanie umacniała w Napoleonie świadomość miażdżącej przewagi (...) oraz rezultaty dotychczasowych zbrojnych konfrontacji obu stron na polach bitewnych II, a zwłaszcza III i IV koalicji”.

Ostatnia faza omawianego konfliktu, który w ciągu paru lat przerodził się z nieporozumień na tle ideologicznym, gospodarczym i politycznym, w spór dyplomatyczny (i dynastyczny), a następnie w konfrontację zbrojną przyobleczoną ostatecznie w charakter otwartej wojny - i to wojny okrutnej, bo strona zaatakowana sama zastosowała taktykę „spalonej ziemi” - miał kilka momentów zwrotnych, decydujących o jego ostatecznym wyniku. Do najważniejszych z nich należały (chodzi oczywiście tylko o rok 1812):

- 24 czerwca - początek wojny Napoleona z Rosją, która nie przestrzegała zasad blokady kontynentalnej;
- 7 września - bitwa pod Borodino, w jej efekcie zajęcie Moskwy, ale zimowy odwrót wojsk napoleońskich zmienia się w klęskę wskutek wojny podjazdowej Rosjan;

- 26-28 listopada - bitwa nad Berezyną, jeden z największych przeblysków geniuszu Napoleona (przy wydatnym współudziale wojska polskiego), co nie mogło jednak już w niczym zmienić losów kampanii i całej Wielkiej Armii;
- grudzień - powrót Napoleona i niedobitków jego armii do Paryża, ściągających w opłakanym stanie na teren Księstwa Warszawskiego.

W efekcie doprowadzenia konfliktu do ostatniego stadium, czyli otwartej wojny i zaistnienia kolektywnej przemocy po każdej ze stron, a zwłaszcza wśród nieznających litości dla agresora rosyjskich oddziałów partyzanckich, kampania 1812 roku przyniosła zagładę Wielkiej Armii; w dramatycznym odwrócenie spod Moskwy dezintegracji uległa większość jej korpusów, a plany Napoleona odnośnie zdobycia hegemonii w Europie spełzły zupełnie na niczym. Teraz sam musiał przejść do obrony i na terenie Francji odierać ataki wojsk swych przeciwników. I chociaż momentami czynił to wręcz genialnie, to już nigdy nie zdołał narzucić przeciwnym stronom warunków walki, które jeszcze nie tak dawno sam dyktował.

Dla Napoleona, jako strony konfliktu francusko-rosyjskiego z 1812 roku, dzień 24 czerwca miał okazać się prawdziwym Rubikonem: z przekroczenia granicznego Niemna wynikać miały fakty decydujące i nieodwracalne, prowadzące do jego bliźniaczych upadków, pierwszego - w kwietniu 1814 roku (po epizodzie z zesłaniem na Elbę) - i drugiego, a zarazem, ostatecznego kataklizmu pod Waterloo w czerwcu 1815 roku. Jak podkreśla D. G. Chandler, skala działań w roku 1812 jest niemal nie do wiary, a ich ofiary - wojskowe i cywilne, francuskich najeźdźców i rosyjskich obrońców - wstrząsają nawet dzisiaj, mimo o wiele większych strat w dwóch kolejnych wojnach światowych XX wieku.

Trzeba jednak przy tym pamiętać, iż liczba ludności obu państw była mniejsza w 1812 niż w 1914, czy 1939 - „proporcjonalnie więc różnica strat jest nawet mniejsza niż może się to wydawać na pierwszy rzut oka”. Z drugiej strony, całkiem uzasadnione może być też stwierdzenie, że konflikt opisany tutaj pokrótce, stanowił zarazem swoiste memento dla schyłkowego okresu wojen rewolucyjnych oraz preludium tego, co działo się później w Europie, ale i na całym świecie, w następnym stuleciu.

Mariusz Kargul

Artur Borzęcki

W pamięci nadzieja

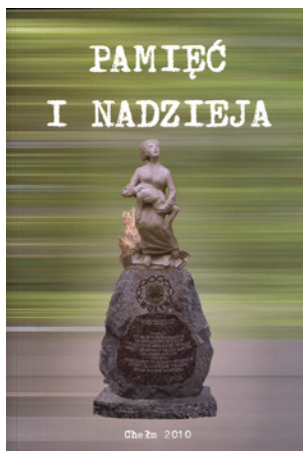


W 2009 r. powstało w Chełmie Stowarzyszenie „Pamięć i Nadzieja”, do życia powołane zostało przez szereg organizacji głównie kombatanckich i kresowych. Celem stowarzyszenia jest działalność na rzecz zachowania pamięci o tragicznych losach ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w okresie II wojny światowej. Z kolei bardziej sprecyzowanym celem statutowym stowarzyszenia jest budowa pomnika ku czci Polaków pomordowanych na Kresach Wschodnich, ofiar ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA w latach 1943-1945. Pomnik też ma być poświęcony pamięci Ukraińców, którzy z narażeniem własnego życia ratowali Polaków przed pobratymcami. Przystępując do realizacji planów, stowarzyszenie w 2009 r. zorganizowało podniosłą uroczystość postawienia Krzyża Wołyńskiego i tablicy epitafialnej przy alei Marszałka Józefa Piłsudskiego w Chełmie. W tym też miejscu, w lipcu 2011 r. zaplanowane jest postawienie pomnika wg gotowego już projektu autorstwa Witolda Marcewicza. Uroczystościom w 2009 r. towarzyszyła również konferencja naukowa poświęcona eksterminacji ludności polskiej Wołynia i Małopolski Wschodniej. Materiały pokonferencyjne zostały opublikowane w formie książki wydanej w 2010 r.

Omawiana praca składa się ze wstępu autorstwa Stanisława Koszewskiego oraz siedmiu tekstów opracowanych przez sześciu autorów, z czego dwa artykuły przygotowała Ewa Siemaszko, a po jednym: Leon Popek, Marta Mikulska, Lucjan Cimek, Sebastian Zygmuntowicz i Dorota Godziszewska. Na tematykę publikacji składają się artykuły dotyczące ludobójstwa na Polakach (Siemaszko, Popek), obrony ludności polskiej, w tym również przez Bataliony Chłopskie (Siemaszko, Cimek), społecznych relacji polsko-ukraińskich w pow. chełmskim w latach 1939-1945 (Mikulska), stosunku Niemców i Rosjan wobec wydarzeń wołyńskich (Zygmuntowicz) oraz kwestii ścigania i karania ukraińskich sprawców zbrodni (Godziszewska). W publikacji znajdziemy również jeden wiersz (nie ujęty w spisie treści) Roberta Gałana pt. Czterdziesty trzeci. Wołyń. Wartym podkreślenia faktem jest to, że obok wytrawnych i doświadczonych badaczy dziejów, jak Siemaszko,

Popek czy Cimek, udział w publikacji mieli również bardzo młodzi ludzie np. Sebastian Zygmuntowicz (ur. 1991). To dobry omen, świadczący o tym, że wydarzenia sprzed prawie 70 lat nie są obojętne młodemu pokoleniu Polaków.

Podstawę źródłową dla artykułów stanowiły przede wszystkim materiały drukowane oraz opracowania. Autorzy korzystali również z publikacji zagranicznych, przede wszystkim w języku ukraińskim. Wszystkie teksty zawarte w książce są godne lektury, natomiast w szczególności warto zwrócić uwagę na Bataliony Chłopskie w obronie ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Retrospekcja faktów autorstwa mgra inż. Lucjana Cimka. Autor omówił znaczący udział BCh w obronie Polaków na Kresach, tym samym przypomniał fakty rzadko obecne, czy wręcz pomijane w opracowaniach poświęconych omawianej tematyce. Pamiętać należy, że na Kresach nie tylko działała 27. Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej, ale również Bataliony Chłopskie. Innym tekstem godnym szczególnego polecenia jest artykuł dra Leona Popka, historyka z oddziału lubelskiego IPN pt. Zbrodnie OUN-UPA w powiecie lubomelskim w 1943 r., w którym to autor, wykorzystując m.in. stan badań strony ukraińskiej, w sposób szczegółowy omówił skalę nacjonalistycznych morderstw na przykładzie jednego powiatu.



*Pamięć i Nadzieja,
oprac. S. Koszewski,
Stowarzyszenie
„Pamięć i Nadzieja”,
Chełm 2010, ss. 132.*

O ile publikacja jest bardzo wartościowa pod względem merytorycznym, to posiada pewne niedociągnięcia natury technicznej. Takim właśnie minusem „zbiorówki” jest jedna ciągła numeracja przypisów, wspólna dla wszystkich tekstów. Ponadto przypisy nie są ujednolicone i sporządzone na zasadzie „co autor to inna szkoła bibliograficzna”. Publikacji brak również streszczenia, nie tyl-

ko w uniwersalnym języku angielskim, ale też, co wydaje się być istotne dla tematyki książki, także w języku ukraińskim. Poruszanie się po publikacji ułatwiłyby również nieobecne indeksy, zarówno osobowy, jak i bardzo istotny z racji omawianego obszaru, indeks miejscowości. Wymienione braki techniczne, jak i szereg mniejszych błędów (wyraźnie widać brak recenzji wydawniczej) nie wpływają oczywiście bezpośrednio na treść książki i jej przekaz, ale jak na publikację pokonferencyjną, nie powinny mieć miejsca. Publikację dopełniają kolorowe fotografie oraz noty biograficzne autorów.

Stowarzyszenie „Pamięć i Nadzieja” działa bardzo krótko, ale sprawnie realizuje cele statutowe. Pozostaje mieć nadzieję, że wszystkie założenia zostaną zrealizowane i w przyszłym roku stanie w Chełmie pomnik, a stowarzyszenie w dalszym ciągu będzie działać na rzecz zachowania pamięci, jak i rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków polsko-ukraińskich.

Artur Borzęcki

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Przeżyć Sobibór



W marcu 1942 roku Niemcy przystąpili do budowy kolejnego ośrodka zagłady Żydów. Obóz zlokalizowano w zalesionym, bagnistym terenie, oddległym o 4 km od Sobiboru, przy linii kolejowej z Chełma do Włodawy. Od tej linii kolejowej skierowano prowadzącą w las bocznice, na której końcu wybudowano betonową rampę z budynkiem dworca kolejowego. Teren nowo budowanego obozu tak zaprojektowano, aby bocznica i budynek dworca znajdowały się wewnątrz obozu. W ten sposób transporty z Żydami „znikały” w lesie...

Ponad 60 lat po tych okrutnych wydarzeniach Ośrodek KARTA Dom Spotkań z Historią wydał książkę będącą świadectwem Żydów polskich, którzy przeszli przez Sobibór. Jest to kolejny, 8. już tytuł serii „Żydzi polscy”. Wydane pod redakcją Marka Bema wspomnienia przybliżają rozmiar i konsekwencje Holokaustu.

Teren obozu, o powierzchni prawie 60 hektarów otaczały trzy rzędy drutów kolczastych mierzących ponad 2 metry. Druty poprzecinano sosnowymi gałkami, aby nic nie było poprzez nie widać. Ludzie przywożeni w transportach byli

natychmiast uśmierceni, głównie w komorach gazowych. Pierwsze próby nadzorowała obsługa z ośrodka zagłady w Bełżcu.

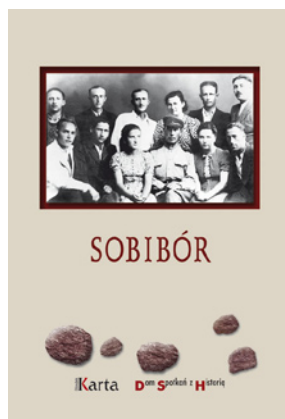
W samym obozie przebywała stale kilkusetosobowa grupa wybranych więźniów, których hitlerowcy wykorzystywali do prac pomocniczych. W każdej chwili groziła im śmierć, ale mogli się myć i nosić normalne ubrania. Wszystko po to, aby wyglądem utwierdzać w przekonaniu przywożonych Żydów, że Sobibór nie jest obozem zagłady. Osoby stare i chore bezpośrednio z rampy kolejowej kierowano do dołów. Mówiono im, że otrzymają pomoc lekarską. Tutaj byli rozstrzeliwani.

Omawiana książka to dokument - relacje 12 ocalałych z obozu zagłady Sobibór więźniów. Mosze Bahir, Icchak Lichtman, Eda Lichtman, Jakub Biskupicz, Estera Raab, Aron Licht, Filip Białowicz, Aleksander Peczerski, Jehuda Lerner, Stanisław Szmajzner, Mordechaj Goldfarb i Tomasz Blatt przekazują trudny do wyobrażenia obraz bestialstwa oprawców, opisują obozową codzienność, stosunki panujące pomiędzy więźniami i nadzorcami. Część przekazów opowiada o przygotowaniach do buntu i o samym buncie, niektóre dotyczą też okresu tuż po ucieczce.

Liczbę ofiar zamordowanych w obozie zagłady Sobibór szacuje się na ok. 250 tysięcy Żydów. Ginęli tutaj Żydzi z Polski, Belgii, Francji, Holandii, ZSRR i wielu innych krajów Europy.

Publikowane fragmenty relacji są częścią Archiwum Sobiborskiego, utworzonego we Włodawie, jako wspólne przedsięwzięcie otworzonego tutaj w 1993 r. oddziału Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego oraz Stowarzyszenia Upamiętnienia Sobiboru. Publikacja zawiera ważny materiał fotograficzny: zdjęcia lotnicze Sobiboru z 1940 roku, deportacje, plany obozu oraz fotografie uratowanych już po wojnie, m.in. na wspólnych spotkaniach.

Agnieszka Szykuła-Żygawska



*Sobibór, red. Marek Bem,
Ośrodek KARTA
Dom Spotkań z Historią,
Warszawa 2010, ss. 128,
fotografie*

Zmarł Zbigniew Jerzyna
- poeta, dramaturg, eseista, edytor



Zbigniew Jerzyna
rys. Tadeusz Kiciński

Urodził się 9 maja 1938 roku w Warszawie. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował w „Nowej Kulturze” w roku 1957. Jego debiutem książkowym są „Lokacje” wydane w 1963 roku. Potem opublikował jeszcze wiele tomów wierszy, m.in.: „Kwiecień” (1964), „Realność” (1966), „Coraz słodszy piotun” (1970), „Modlitwa do powagi” (1974), „Przesłanie” (1980), „Moment przesilenia” (1986), „Erotyki” - z grafiką Jana Dobkowskiego (1991), „Pieczęcie” (1992). „Listy do Edyty” (2000), „Mówią i inne wiersze” (2003). Wydał też eseje: „Wędrownka w słowie” (1985), „Katalog życia i śmierci albo przygody pojęć”. Jest też autorem dramatów: „Tropy” (1960), „Iskrą tylko” (1970), „Kto wyprowadzi psa” (2000). Popularnością cieszyły się także jego słuchowiska radiowe, m.in.: „Kosztele”, „Dzwonek”, „Syzyf”, „Odejsze poeta”.

Opracował i poprzedził wstępem zbiory wierszy następujących poetów: Jana Kochanowskiego, Jana Lechonia, Władysława Sebyły, Mirosława Białoszewskiego, Osipa Mandelsztama, Anny Achmatowej, Rainera Marii Rilkego, Stanisława Przybyszewskiego, Barbary Sadowskiej. Opracował i wstępem opatrzył antologię „Poeci wyklęci - od Villona do Morrisona” (Anagram 2001). Jest autorem książek dla dzieci, m.in. „Wśród drzew” oraz „Czarne oczy wiśni”.

Był redaktorem „Widzeń”, „Orientacji”, „Integracji” oraz „Kultury” i „Przeglądu Tygodniowego”. Był również założycielem Spółdzielni Wydawniczej „Anagram” i długoletnim przewodniczącym jej Rady Nadzorczej oraz doradcą programowym. Jest laureatem wielu nagród literackich. Jego wiersze i słuchowiska radiowe tłumaczono na wiele języków.

Zbigniew Jerzyna zmarł 29 listopada 2010 roku.

Był wrażliwy i otwarty na każdy przejaw twórczości - zwłaszcza poetyckiej. Stąd brała się Jego przychylność do lokalnych inicjatyw literackich. Tak trafił swego czasu i do nas - do Krasnegostawu i Chełma. Ale wcześniej my trafiliśmy do Jego serca swoimi tomikami wierszy, które - Jego zdaniem - wykraczały daleko poza fałszywie rozumianą prowincję. Zgodził się dokonać wyboru wierszy grupy literackiej „Słowo” do jubileuszowego almanachu poetyckiego „Łamanie słowem” (Chełm 1987), a potem uczestniczył w naszej sesji literackiej w listopadzie 1987 roku. W Chełmie odbył też dwa spotkania autorskie - z młodzieżą klubu literackiego i otwarte dla wszystkich - w kaplicy muzealnej. Otrzymane wówczas wiązanki kwiatów rozdał kobietom - a w tym względzie gust miał wyjątkowy. Opowiadał anegdoty i wiele dobrego o Stachurze, Grochowiaku, Gąsiorowskim i Himilbachu. Wszyscy oni - i On także - przeszli do historii literatury polskiej. Potem zupełnie honorowo, nie licząc na gratyfikacje, podsyłał eseje do kwartalnika „Kresy Literackie”, gdzie w latach 1990-1992 ukazywały się pod szyldem „Przygody pojęć”. Kiedyś w liście napisał, aby przesłać mi paczkę z tomikami Jego erotyków „rozdać tym, którzy się kochają”. Zadanie okazało się trochę trudne, bo jeszcze do dziś mam ich kilkanaście egzemplarzy. Może teraz, po Jego śmierci łatwiej będzie wykonać mi to zadanie, które siłą faktu zamieniło się w testament.

Dziękuję Ci za sztukę słowa, Poeto, który odszedłeś od nas, miotających się jeszcze w życiowej zadymce. Znajdź swoją Arkadię i ukojenie pośród aniołów poezji i melodii strof, które tak kochałeś. Zostałeś w pięknych i mądrych wierszach oraz w naszej pamięci. Byłeś dobrym Poetą i dobrym Człowiekiem. Niech Najwyższy ozdobi Cię zasłużonym laurem wieczności.

Henryk Radej

Zbigniew Jerzyna**Sny**

Mroczne są sny
w podeszłym wieku.

Matka przychodzi

jakby chciała
jeszcze raz
mnie urodzić.

A ojca nie ma,
nawet w snach
go nie ma.

Wojno, zabrałaś
ojca mi ze snu.

Tobie

Słońce pasie mną rozpacz. Morze ból przemienia.

Promień gwiazdy mnie spala - żłobi fakt istnienia.

Krew moja się przetacza do strumienia nocy.

Idę tak, jakbym patrzył - patrząc - stracił oczy.

Głowie mojej lecący ptak poskąpił cienia.
Więc mnie dziś zakryj ramion chłodną falą.
Nogami mnie zatrzasknij, bym czuł: to jest ziemia.

Piersi twoje dwa źródła mojego pragnienia.

Bądź w moich oczach

Bądź w moich oczach wiecznie utrwalona.
Poprzez cmentarze myśl umarłych świeci.
Bądź w moich oczach światło zapalone,
lampa, co płonie w niebo, w nieba dotyk.

Bo wokół rzeczy tyle chłodu niosą,
Morze i zwierzę chcą rozerwać brzegi.

Życie jest ziarnem co wypadło z kłosa
na ziemię suchą, na rozległe śniegi.
Bądź w moich oczach wiecznie utrwalona.
Tylko z miłości bywa kształt poczęty.
Bo tylko miłość jest wciąż osaczona
ciszą, która się wkoło jak las rodzi w śmierci.

Miłość obraża

Miłość obraża, gdy jest nazbyt wielka;
zawsze cię widzę stojącą na wzgórzu,
wzgórze zasłania mi cały horyzont.

I tylko morze w słuchu moim wzbiera,
jak szept umarłych lub nienarodzonych.
I tylko słońce oczy mi otwiera
w ziemię nieznana - co we mnie umiera.

Pierwsze pożegnanie

Tak, ptakom w locie omdlewają skrzydła;
wiem, że odchodzisz - i miłość jak niebo
puste, nic nie znaczące - jest ciągle nade
mną. Ziemia ciąży a jednak w niebo to
spoglądam - - -

I ciągle myślę w jakie cię ogrody
wprowadzać co dzień, jakie wiosny tchnienie
w ciało twe wnosić - i jaką koronę
z wiatru ci uwić - wysoko nad tobą.

Kolęda 1977

Żywym zostaniesz choć w światła drobinie,
które dziś z gwiazdy stół wspólny oprósza.
Żywym zostaniesz choć czas twój przemienie.
Bo ten zostaje, kto drugich porusza.

Kolędo, pomyśl, o tym miejscu pustym,
które przy gwarным stole mówi ciszą.
Niech towarzyszy nam odruch serdeczny.
I głos prawdziwy - ten wszyscy usłyszą.

Śnieg prószy w Alpach

Dzisiaj rano usłyszałem przez radio, że
śnieg prószy w Alpach.

Nigdy
nie byłem w Alpach
I serce
mnie zabolalo

Mój Boże:
śnieg prószy w Alpach

Taniec z gwiazdami

Do mnie,
który ma już tyle lat.
Którego
boli noga,
i jeszcze inne rzeczy:
przyszli ci z Telewizji
i mówią -
czy nie wzięłby pan
udziału
w naszym programie
„Taniec z gwiazdami”?

Młoda dziewczyna
odstąpiła
niebotyczne nogi,
i blisko poczułem
jej kipiące ciało.

To nie mój czas
- odpowiedziałem -
To nie moja Epoka.

Potem,
gdy przyszła noc,
spojrzałem w zimne niebo:
i tam,
zobaczyłem
mój
coraz bliższy
Taniec z gwiazdami.

2006

Piszę do Ciebie
by opisać
jedną fotografię
z dzieciństwa
Józefów
przed Powstaniem
sosnowy las
leśnisko

ojciec śpi
na ławce
pod drzewem

matka
patrzy z ukrycia
ja
na werandzie
w pajacyku
mój młodszy brat
niesie
poziomki w koszyczku

to wszystko

O, rzeko

Mam mało czasu

Zawsze
jest mało

Jeszcze wtedy
kiedy stałem
nad rzeką

Teraz biegnę
do siebie dziecka
zatrwożony

Stoję na moście
z bliską mi kobietą

- Nie bój się
- mów

Nie kłamiąc
mnie dotyka

Spojrzałem na nią
i poczułem

jak uroda świata
oddala się ode mnie

Dedukuję: Staszku Elsnerowi-Załoskiemu

Waldemar Michalski

Człowiek z sercem poety...
ze wspomnień o Wojciechu
Żukrowskim w 10. rocznicę śmierci



Zajęcia poświęcone współczesnej prozie prowadziła prof. Maria Jasińska-Wojtkowska. KUL-owska polonistyka zawsze otwarta była na współczesne życie literackie. Czytaliśmy Miłosa i Gombrowicza (fotograficzne kopie książek), Zawieyskiego i Gołubiewa, Dobraczyńskiego i Żukrowskiego. Właśnie na ekranach kin wyświetlano „Lotną” w reżyserii Andrzeja Wajdy. To było wydarzenie, które nie uszło także uwadze naszej Pani Profesor. W dyskusji ktoś zauważył, że autor sfilmowanego opowiadania musiał znać doskonale realia wojenne i dlatego film ma niemal wartość dokumentu. Profesor dodała, że Żukrowski był uczestnikiem jednej z ostatnich bitew wrześnieńskich, pod Tomaszowem Lubelskim, gdzie został ranny, a następnie uciekł ze szpitala, i tak szczęśliwie uniknął niewoli. Zapamiętałem, że mówiła o jego formacji duchowej, jako „odrodzeniowca”. Nie wiedziałem o co chodzi, więc poprosiłem o wyjaśnienie. Okazało się, że Żukrowski w czasach studenckich był członkiem katolickiej organizacji „Odrodzenie”, do której należeli także młodzi Stefan Wyszyński, Jerzy Zawieyski, Karol Wojtyła, Jan Twardowski...

Pisałem już wówczas wiersze, jakieś sprawozdania, nawet reportaże. Ukazywały się w czasopiśmie. Niebawem miałem już swoje książki poetyckie. Kilka lat później, gdy pracowałem i nieustannie ocierałem się o „belfrowanie”, warszawski „Głos Nauczycielski” ogłosił konkurs na najciekawszy tom wierszy i prozy roku 1987. Literacki Klub Nauczycielski im. Józefa Czechowicza w Lublinie zgłosił do konkursu mój tom wierszy pt. „Pod znakiem Wagi”. Dostałem nagrodę główną w poezji. To był mój pierwszy duży sukces literacki. Zbigniew Brzozowski ze Szczecina został laureatem w prozie za tom opowiadań pt. „Złota kareta”. Przyszło zaproszenie i gratulacje. Z informacji wyczytałem, że przewodniczącym jury jest prezes Zarządu Głównego ZLP Wojciech Żukrowski. Było mi podwójnie miło, bo już wiedziałem, że Żukrowski nigdy nie rozstał się z poezją. Debiutował jako poeta młodzieńczymi wierszami drukowanymi w piśmie młodzieży szkolnej „Kuźnia Młodych” (1934), a i później publikował książeczki dla dzieci „wierszem pisane”. Jego wiersz pt. „Modlitwa Armii

Podziemnej” znajduje się we wszystkich antologiach poezji czasu wojny i okupacji. To modlitwa do Częstochowskiej Pani i Królowej „o podźwignięcie z upadku”:

*Z Twoim imieniem na ustach pozwól nam
jeszcze raz biec,
z Twoim szkarłatnym imieniem i pustą ładownicą
bagnetem wypruć wolność...*

Uroczystość miała charakter bardziej kameralny niż oficjalny. W ostatni piątek października (27.X) 1989 r. w Domu Nauczyciela na Powiślu, gdzie siedzibę miał tygodnik „Głos Nauczycielski”, spotkali się organizatorzy konkursu, m.in. Prezes Zarządu Głównego ZNP p. Kazimierz Piłat i red. Henryka Witalewska, członkowie jury, m.in. Prezes Zarządu Głównego ZLP p. Wojciech Żukrowski i prof. Janusz Rohoziński oraz my, laureaci, bardziej onieśmieleni niż gotowi na przyjęcie gratulacji i nagród. Tygodnik odnotował rozstrzygnięcie konkursu dużym tekstem Henryki Witalewskiej pt. „Na wagę złota” („Głos Nauczycielski” 1989 nr 46). Zachowałem wycinek na pamiątkę, także i z tego względu, że zamieszczono tam zdjęcie, jedyne jakie mam z Wojciechem Żukrowskim. Moment wręczenia nagrody był dla mnie wyjątkowy. Po oficjalnej ceremonii, Żukrowski objął mnie ojcowiskim gestem ramienia, aby następnie przejść do rozmowy. Miała bardzo serdeczny, przyjacielski przebieg. Zaskoczyło mnie pytanie o Włodzimierz Wołyński. Pomyślałem: przeczytał na okładce tomu mój życiorys i chce zrobić dobre wrażenie przewodniczącego jury, który interesuje się nie tylko tekstami, ale także biografią autora. Powiedziałem, że w moim rodzinnym Włodzimierzu byłem w 1957 roku i opublikowałem z podróży reportaże. - A widziałeś koszy? - niespodziewanie zapytał, patrząc w zaokienną przestrzeń. Coś odpowiedziałem, ale przyznałem, że bardziej interesował mnie czynny kościół i polscy parafianie. - Bo widzisz, ja we Włodzimierzu Wołyńskim ukończyłem Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii... - No, to jesteśmy prawie swojacy - dodałem. Po 1945 roku przyjmował transporty Polaków z Wołynia. Pomagał w szukaniu nowego miejsca osiedlenia na Dolnym Śląsku. Niewiele brakowało a może zakwaterowałby nas w Karpaczu czy we Wrocławiu, bo tu osiedlali się najbliżsi z Włodzimierza. Ale matka chciała być blisko nowej granicy i rodzinnego domu, bo przecież mieliśmy niebawem wracać na Wołyń. - Co za spotkanie? - pomyślałem. Czechowicz uczył we Włodzimierzu, w latach dwudziestych, moją matkę w szkole podstawowej, a teraz Żukrowski okazuje się także Wołyniakiem z wyboru... Podano kawę

i ciasto, a nasze spojrzenia jeszcze kilka razy spotykały się, jakby kontynuując rozpoczętą rozmowę. Nie miałem wątpliwości - porozumiewaliśmy się bez słów - ten człowiek miał wrażliwość i serce poety, a przy tym był bardzo bezpośredni i przyjazny w kontaktach...

Wiadomość przyszła niespodziewanie: 26 sierpnia 2000 roku zmarł w Warszawie Wojciech Żukrowski. Zdecydowaliśmy bez wahania - będziemy obecni na pogrzebie. Żona Stefania - polonistka, rodowita warszawianka „na zesłaniu w Lublinie”, chciała mieć chociaż taką okazję, żeby podziękować za „Lotną” i „Kamienne tablice”...

Pogrzeb odbył się w poniedziałek, 4 września 2000 r. Najpierw w kościele sióstr wizytek przy Krakowskim Przedmieściu ksiądz-poeta Jan Twardowski odprawił mszę w intencji duszy zmarłego (był jedynym duchownym podczas uroczystości pogrzebowych). W obecności rodziny oraz zgromadzonych przyjaciół i znajomych, pożegnał przyjaciela z nadzieją, że „prawda i dobro, których był wiernym sługą, otworzą mu bramy niebios”.

Uczestnicy żałobnej uroczystości dwoma autokarami zostali przewiezieni na cmentarz wojсковy na Powązkach. Tu zmarłego swoją obecnością żegnali literaci, działacze kultury, politycy, koledzy z AK-owskiej konspiracji (byli obecni z pocztą sztandarową). Piotr Kuncewicz - prezes Zarządu Głównego ZLP poprosił o głos. Powiedział, że nie będzie mówił długo, bo chce jedynie przeczytać telegram, który nadszedł na adres Związku. Telegram z Watykanu od Ojca Świętego Jana Pawła II. To był długi tekst, może nawet kilkustronicowy. Jan Paweł II przypomniał w nim m.in. razem przeżyte z Wojciechem Żukrowskim okupacyjne pięć lat ciężkiej pracy w podkrakowskich kamieniołomach, zakładach chemicznych „Solvay” oraz wspólny udział w tworzeniu konspiracyjnego Teatru Rapsodycznego w Krakowie. Nie muszę dodawać, jak wielkie wrażenie wywarły na zgromadzonych słowa Papieża kierowane do serdecznego Przyjaciela odchodzącego na „wieczną wartość”. Kuncewicz dodał od siebie: „życie pisarza jest jak lustro, w którym odbija się wszystko to, co dane mu było widzieć i przeżyć. Dał świadectwo swojemu czasowi, ale też sam doświadczył trudnych i krzywdzących lat pogardy”.

Lesław Bartelski - pisarz, żołnierz powstania warszawskiego, mówił także o zmarłym jako przyjacielu i człowieku czystego charakteru, wielkiego duchem pisarza, który ma trwale miejsce wśród największych twórców literatury polskiej XX wieku.

Ostatnie egzekwie nad trumną zmarłego oraz wspólną modlitwę odmówił ks. Jan Twardowski. Kompania Wojska Polskiego pożegnała zmarłego honorową salwą. Złożono na grobie dziesiątki wiązanek i wieńców, m.in. od Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Ogromny wieniec złożył również obecny na pogrzebie generał Wojciech Jaruzelski.

Nie znałem rodziny Wojciecha Żukrowskiego, ale podobieństwo córki do ojca było wyjątkowe. Więc kilka zamienionych słów na cmentarzu wydało mi się rzeczą ludzką, normalną. Pani Katarzyna, mówiąc o swoim ojcu, zwróciła uwagę na to, że był nie tylko dobrym autorem, ale przede wszystkim wspaniałym ojcem. Jako pisarz pracował w domu do ostatnich dni swojego życia, ale też nigdy nie szczędził swojego czasu dla rodziny. Nie nauczył się pracować na komputerze, był tradycjonalistą. W maszynie do pisania pozostała kartka z fragmentem tekstu do nowej książki. Kochał, pracował i żył tak jak został uformowany w młodości w polskim domu wiernym Bogu, rodzinie i Ojczyźnie.

A kontakty z Karolem Wojtyłą? Utrzymywał od zawsze, także i wtedy, kiedy Wojtyła został papieżem. Wielokrotnie prosiłem Piotra Kuncewicza, żeby udostępnił mi tekst odczytanego na pogrzebie telegramu. Obiecywał, ale na tym się kończyło. Mam natomiast od pani Katarzyny jeden z listów Jana Pawła II do jej ojca. Pozwalam sobie przytoczyć go w całości:

Watykan, 8 lipca 2000 r.

+ Drogi Wojciechu,

Jestem Ci wdzięczny za list przy okazji mojej 80-tej rocznicy urodzin i dobre życzenia w nim przesłane od Ciebie, Żony i Córki.

Gratuluje dobrego samopoczucia w Twoim 85-tym roku życia, o czym świadczą dwie nowe książki w druku.

Dziękuję Ci także za duchowy udział w mojej podróży do Ziemi Świętej. Załączam pamiątkowy obrazek z tych dni i z mojej urodzinowej rocznicy.

Pragniesz przybyć tutaj w ciągu lipca, lecz szczerze mówiąc nie widzę możliwości spełnienia podanych warunków, zwłaszcza w tym roku jubileuszowym, gdzie nawet „wakacje” zostają skrócone, ze względu na jego program. Może przyszły rok będzie luźniejszy? Bardzo proszę, przyjeźdź!

Serdecznie Cię pozdrawiam i błogosławię także Twojej Żonie i Córce

Jan Paweł II

W niespełna dwa miesiące później Jan Paweł II zegnał się wspomnianym telegramem z Przyjacielem. Agnieszka Woźnicka, pisząc przed laty o Czechowiczu („Głos Nauczycielski” 1999 nr 45), zauważyła: „Datę narodzin i śmierci wyznacza bieg życia człowieka, lecz życie pisarza nie podlega upływowi czasu...”. Czechowicz, Żukrowski, Wożyła żyją. Jak dobrze, że słowo bywa trwalsze od marmuru.

Waldemar Michalski

Waldemar Michalski

Walą się mury Jeruzalem

Synowi Januszowi na nowe spotkanie

Wczoraj byliśmy w cerkwi
wszyscy święci odprowadzali cię do raju
na tęczowym łuku słowo amen
zamykało usta
otwierało rany
zapaliliśmy świeczki
zielonooka Pani
przytuliła mocniej swoje dziecię
niewidoczne działa się poza nami
staął czas i stanęła rzeka
byliśmy razem
zaczynam wierzyć
każde rozstanie
jest początkiem nowego spotkania.

Gdy syn umiera walą się mury Jeruzalem
obcy pytają czy prawda
milczą stare tablice
do domu droga daleka
kto czeka
widziałem jak wienią kwiaty
wypalają się ognie
wysycha ziemia
i pęka kamień
wczoraj - jest
dzisiaj - było
jutro - bez odpowiedzi
czas - rozbity garnek

nie podam ci wiośła
choć widzę znak otwartej dłoni.
To nieprawda, że nie przyjdiesz
wieczorem - mówiłeś przecież
poczekaj
to ja się spóźnię
wszystko gotowe
stół komputer rysowane plany
jakby wycięte z prospektu
obrazy znad Dniestru i Prypeci
kilka aktualnych książek
kalendarz otwarty na jutro
kto dopisał znak pytania
nikt nie włącza domofonu
klamka milczy

kochałeś -
i chciałeś być kochany
wiosło czeka.

Dlaczego, pytam, dlaczego?
w ciemność wędruję
nie słysząc słyszę
nie dotykając dotykam
wierząc czekam
marmurowa płyta
obca i ciężka nad miarę.
Wiosła jako skrzydła prowadzą po fali
srebrny Dniestr z biblijnego raju
otwiera kolejne bramy
kaczeńcami szeroka Prypec płynie
od brzegu do nieba wiosna
od wczoraj do dziś kronika nie zapisana
a przed nami
droga coraz krótsza jakby bliżej Boga.

Co robią o świcie sroki na cmentarzu
niby dzień a jeszcze noc
witać i żegnać gotowe zarazem
odważne siostry samotnych braci
dwa kolory granatowy i biały
jak mundurki szkolnych dzieci
trochę życia i nadziei
tylko my tu po co
przed czasem kamień odwalony
czeka...

Lublin, listopad 2006 r.

Вальдемар Міхальський

Падають мури Єрусалиму

Синові Янушу на нову зустріч

Учора ми були в церкві
всі святі проводжали тебе до раю
на райдужній арці слово «Амінь»
замикало уста
розкривало рани
ми запалили свічки
зеленоока Пані
ближче пригорнула своє дитя
невидиме діялося поза нами
зупинився час і спинилась ріка
ми були разом

починаю вірити
кожне розставання
є початком нової зустрічі

Коли помирає син валяться мури
Єрусалиму
чужі запитують чи правда
мовчать старі таблиці
додому дорога далека
хто чекає

Я бачив, як в'януть квіти
вигорають вогні
висихає земля
і тріскається камінь
вчора - є
сьогодні - було
завтра - без відповіді
час розбитий дзбанок

не подам тобі весла
хоч бачу знак відкритої долоні
знаю яке слово мовиш на прощання
і що сльозою скотилося по щоці

То неправда, що не прийдеш
увечері - ти ж бо обіцяв
почекай
то я запізнююсь
усе готове
стіл комп'ютер накреслені плани
ніби вирізані з проспекту

краєвиди з-над Дністра і Прип'яті
кілька книжок - на часі
календар відкритий на завтра
хто дописав знак питання
мовчить домофон
двері німуть

ти кохав
і хотів бути коханим
чекає весло

Чому, запитую, чому?
мандрую в темряву
не чуючи чую
не торкаючи торкаюсь
з вірою чекаю
мармурова плита
чужа і важка понад міру

Весла як крила несуть над хвилею
срібний Дністер з біблійного раю
відкриває чергові брами
широка Прип'ять жовтцями плине
від берега до неба весна
від учора до сьогодні хроніка не записана
а перед нами
дорога щораз коротша все ближче до Бога.

Що роблять сороки на цвинтарі перед
світанком
ніби день а ще ніч
готові привітати й попрощатись разом
відважні сестри самотніх братів
два кольори - білий і темно-синій
як форми у школярів
трохи життя і надії
тільки ми тут для чого
завчасу камінь відвалений
чекає

Люблін, листопад 2007

(Tłumaczyła na ukraiński Natałka Kostiak, Tarnopol)

Henryk Radej

Kalendarz z kołędą



Stare kalendarze, to szczególne pamiątki. Zazwyczaj zaczynamy się nimi interesować pod koniec roku... kalendarzowego. Nazwa prawdopodobnie pochodzi od łacińskiego *kalendae* - pierwszy dzień miesiąca (dzień nowiu księżyca). Z kalendarzami związane jest powiedzenie „odłożyć coś *ad Kalendas Graecas*”, czyli „do greckich Kalend”, a więc „na święty Nigdy”, bowiem w greckim kalendarzu kalendy nie występowały. Również kołędy swoją genezę wywodzą od uroczystych rzymskich *calendae* styczniowych. Był to szczególnie dla Rzymian pierwszy dzień miesiąca, ponieważ w dniu 1 stycznia konsulowie rzymscy obejmowali swój urząd. A od roku 45 przed naszą erą, dekretem Juliusza Cezara, 1 stycznia został oficjalnie ogłoszony jako początek roku administracyjnego. Z tej okazji w Rzymie odwiedzano się, przekazywano sobie upominki, śpiewano pieśni (kalendy). Zwyczaj ten przejęło chrześcijaństwo, łącząc je z okresem Bożego Narodzenia i śpiewanymi w tym okresie kołędami.

Sentyment do kalendarzy odziedziczyłem chyba po ojcu, który w malutkich wydaniach kieszonkowych zapisywał co ważniejsze zdarzenia ze swojego życia gospodarczego i ludzi z okolicy. Najstarsze jego kalendarzyki datowane są na lata 50. ubiegłego wieku. Wtedy wrócił do domu ze służby wojskowej, przywożąc wiele wspomnień z Wrocławia i Warszawy. Z upodobaniem kupował małe, notesikowe edycje z rysunkami o ówczesnej odbudowie polskich miast, zwłaszcza stolicy. Nic dziwnego, miał za sobą okres w Służbie Polsce. Kalendarzyki tamte są małe, stąd i ojcowskie wpisy krótkie, hasłowe. Dziś mogę dowiedzieć się z nich, co i gdzie było posiane, na którym polu, kto od kogo pożyczył zboże lub pieniądze, kiedy zacielona była krowa, kiedy spadł pierwszy śnieg, gdzie wybuchł pożar, kto kiedy zmarł i którego dnia był pogrzeb, albo ulewa. Moje narodziny także odnotował równie krótkim wpisem „urodził się syn”, podobnym jak przy okazji zakończenia zniw - tyle kóp zboża skoszono, albo że - za tyle sprzedano cielaka. Nie było czasu i miejsca na szczegóły. Chodziło raczej o odnotowanie faktu pod właściwą datą. Zapiski takie prowadził do końca życia, a ja na każde święta Bożego Narodzenia wręczałem mu nowy, mały kalendarzyk - najlepiej taki, żeby

mieścił się w wewnętrznej kieszeni marynarki, wraz z długopisem.

Dziś wertuję swój prawie nieaktualny już kalendarz z mijającego 2010 roku. Jakże różni się od tych ojcowskich zgrzebnych notesików. Jest formatu szkolnego zeszytu i bardziej przypomina książkę niż notes. Zresztą, nie tylko ten z ostatniego roku. Poprzednie są podobne. Wiele w nich miejsca na notatki, sporo informacji o świecie. Podobnie jak ojciec, staram się przy każdym dniu zapisać coś istotnego. Jednak z tą różnicą, że mój świat poszerzył się znacznie poza granice naszej wioski i gminy z połowy XX wieku. Czego w nim nie ma? Oto niektóre wpisy:

- 3 stycznia - na seansie „Avatara” w technice 3D, koniec epoki starego kina.
- 27 stycznia - w Krasnymstawie ukazał się 10. numer pisma „Nestor”.
- do końca lutego śnieżna i mroźna zima, w okolicy zawałiło się kilka dachów.
- 10 kwietnia - katastrofa samolotowa pod Smoleńskiem.
- 9 dni żałoby narodowej w Polsce.
- 18 kwietnia - w Krakowie uroczysty pogrzeb pary prezydenckiej Lecha i Marii Kaczyńskich, spoczęli na Wawelu.
- 16 maja - początek wielkiej powodzi, która objęła całą południową Polskę.
- 6 czerwca - ks. Jerzy Popiełuszko ogłoszony błogosławionym Kościoła katolickiego.
- 4 lipca - II tura wyborów prezydenckich, Bronisław Komorowski Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej po zaprzysiężeniu 6 sierpnia.
- 10 sierpnia - kulminacja gorszących wystąpień antykościelnych pod Pałacem Prezydenckim, gdzie trwało modlitewne czuwanie przy „krzyżu smoleńskim”.
- 17 sierpnia - zacząłem w Krakowie szkolenie dla ewaluatorów, realizowane przez Uniwersytet Jagielloński.
- 9 października - podczas wycieczki zwiedzam najsmutniejszą w świecie Lwowską Galerię Malarstwa.
- 12 listopada - zmarł Henryk Mikołaj Górecki, kompozytor jakich mało.
- 21 listopada - wybory niby-samorządowe; nadal rządzi partyjniactwo.
- 26 listopada - Rosjanie podjęli uchwałę, w której przyznają się do Zbrodni Katyńskiej.
- 29 listopada - sypnęło śniegiem i trochę mrozi, przyszła zima.
- 6 grudnia - prezydent Rosji z wizytą w Polsce, przykro patrzeć.

Kalendarze ścienne także wyglądają dziś inaczej. Niemodne są te ze zdzieranymi co dzień kartkami. Wzięcie mają planszowe z kolorowymi zdjęciami wedle gustu i upodobań jego właściciela. A tu jest w czym wybierać - od pejzaży do pornografii. Daty układają się w nich w kolumny cyfr; rzadko można znaleźć imiona solenizantów, czyli wspomnienie świętych, których Kościół katolicki czci w tym dniu szczególnie. Nawet moja rodzinna Parafia Turobińska wydała dość estetyczny kalendarz ścienny, promujący zabytki sakralne dekanatu. Otrzymałem go w prezencie. Podobno to dobra wróżba na nowy rok, bo kto dostaje kalendarz, ma „rok darowany” z góry. Trzeba go tylko wypełnić życiem. Tak więc - do dzieła! A skoro kalendarz z kolędą to jedna rodzina... etymologiczna, wieśszając go na ścianie, wypadłoby jakąś zanucić. *Bracia, patrzcie jeno, jak niebo goreje!* Do siego roku!

Henryk Radej

Mariusz Kargul

Zima na pchlim targu

Mikołaj bez brody
z przestawionym nosem
dziewczyna z zapalami
Gepetto na facebook'u:
„Pinokio, gdzie jesteś?”
ułan na białym koniu
od Andersena
dziadek z działką orzechów
łabędzie skute wilgocią jeziora
na dnie baletu
bipolarny konik
z żołnierzykiem Pb 95
wszyscy zatopieni
w spojrzeniu Królowej Śniegu
czekającej na przejazd piaskarki



rys. R. Najowski

Katarzyna Iwańczyk-Fowler

Przebudzenie oddechu

Z nicości
próbuję cię dotknąć
zatrzymana pomiędzy
światłami nielitościwymi
żywiąc się twoją prawdą
przedzieram się przez
mur oddechu
przychodzę do ciebie
przebudzona

Zabierz mnie raz jeszcze
choć ostatni raz
do kraju w którym
tak znaczy tak a nie znaczy nie
do mojej choinki oszalałej ze smutku
księżniczki
gdzieś w piwnicy
i do stołu
z moją mamą
niech wypłacze wszelkie łzy
niedozwolone
przy kieliszku polskiej wódki

tylko najwięksi poeci
krwawią w świetle księżyca
tylko najwięksi są samotni
wyjąc do księżyca
w bezsenne noce
tylko najwięksi noszą nieuleczalny smutek
w oczach
wiedzę nieuniknionej klęski
bycia kimś kim nie możesz być

kołysane delikatnie w twych dłoniach
wspomnienia moich snów
których nie było
w nieprzebacalne noce
pragnienia i niemocy
jesteś tu
dłonie tak puste brakiem
wypełnić
oczy ocean niebo
nieznaną pamięcią błękitu
by być by przyjść by dotknąć



nadzieja co przychodzi
za pieniądze jak prostytutka
rankiem podciąga majtki
i uśmiecha się bezzębny uśmiechem
matka córka żona
podglądają przez dziurkę od klucza

jeszcze raz
gdy zamykam oczy
moje drzwi
co widzisz
pomiędzy rzęsami
drżącymi jak zapomniane skrzydła
diabła
gdzie pójdziemy
znowu
przez mój umysł
roztrząskany
raniąc stopy na szkle
jak miłość
jak ból

w moich dłoniach
złożonych na krzyż
buduje się miasto
powolnie tak powolnie
rosną wieżowce
aż do nieba
może

tęsknię do ciebie
z każdym oddechem
zawieszona pomiędzy co jest
a co może być
kiedyś
jakoś
nie mój
by mieć by zatrzymać
nie twoja by objąć
niczyja
zagubiona pomiędzy
różnymi światami
żaden z nich nie nasz
jednak
chcę byś mnie znalazł
potrzymał w dłoni
nigdy nie pozwolił odejść

przeptywają przez palce
oceany kontynenty
czas w oczach zbyt błękitnych
leczy rany po kątach
patrzę w niebo
licząc nadzieje jak paciorki
nie spadniesz jak ptak
ze skrzydłami złamanymi

jak przez mgłę
myśli rzucają się ze skał
niechciane motyle
przebudzona twoim dotykiem
owijam się wokół twoich palców

czy będziesz pamiętał o mnie
zapomnianej
na zawsze
czy tylko tyle
ile zajmie jeden oddech
w wietrze
moje włosy same tańczą znów

zamknięta w muszli
jednak nadal myśli wylewają się szczelinami
jak powódź połamanych skrzydeł
anioły grają w karty z diabłem



rys. R. Znajomski

Mariusz Kargul

Z miłości do powietrza



Ilekoć jestem trzeźwy, a ostatnio zdarza się to coraz rzadziej, wsiadam w pierwszy lepszy środek komunikacji i podążam na moje Wzgórze 255. Stojąc na jego wierzchołku, czuję jak pierwsze podmuchy polarnomorskiego wiatru starają się ocucić mnie, przywołać nieco do porządku, dać chwilę wytchnienia. Wtedy zaczynam myśleć o tym wszystkim, co udało mi się w życiu zepsuć i zawalić. Jest tego trochę. A przecież, gdybym się nieco bardziej postarał, byłoby jeszcze więcej. Burzyć też trzeba potrafić. To nie może być jakaś zwykła fuszerka, tylko kawał porządnej roboty. O ile tak można powiedzieć. Na stosowną licencję pracuje się długie lata w pocie czoła. Pechowcom przeszkadza czasami los. Podsyła im wygraną na loterii, duży spadek, atrakcyjnego partnera życiowego z zapleczem socjalno-bytowym na stopie.

Przechadzając się po terenie Wzgórza, mam prawo zadać sobie pytanie, jakie to miejsce było dawniej, jakie jest teraz, i jakie będzie w przyszłości? O ile na to, co minęło nie mam żadnego wpływu, o tyle z dniem dzisiejszym i przyszłością jest już lepiej. Wystarczy tylko zastanowić się przez moment, co jestem w stanie uczynić dla dobra miejsca, w którym przyszło mi chodzić, tak aby po latach nie stwierdzić z rezygnacją, że okazja była, ale została zaprzepaszczone.

Wzgórze posiada bowiem wiele utajonych i mało rozpoznanych atutów. Ma historię i tradycję, której nie powstydziliby się żadne inne wzniesienie po tej, dla innych - tamtej, stronie Wisły. Ukształtowane przez warunki naturalne i demograficzne, wyrosło z czasem na prawdziwą perłę, która utraciła trochę ze swego blasku, i moim zadaniem jest ten stan rzeczy odmienić. Kiedy usunie się wszelkie niepotrzebne naleciałości zaciemniające obraz sytuacji, wyłania się rzeczywistość, w której odnajdują się bez problemu twardo stąpający po ziemi realisci oraz marzyciele potrafiący зараżać swym entuzjazmem innych. Same nakłady finansowe nie wystarczą. Potrzebny jest bowiem świeży duch, który tchnie nowe życie w organizm wzgórza, zmieniając pozytywnie mentalność jego mieszkańców.

Pierwsze symptomy są już widoczne. Świątka, które tutaj zostały, nie są obojętne na los swego wzgórza. Widać to zwłaszcza na przykła-

dzie przedstawicieli młodego pokolenia, którym chce się coś zorganizować, nierzadko wbrew obojętności i braku zrozumienia ze strony czynników, które do pomocy w różnego rodzaju przedsięwzięciach powinny być wręcz zobligowane. Wzgórze można uczynić ważnym ośrodkiem na kulturalnej mapie regionu i kraju. W dzisiejszych czasach za rozwojem kulturalnym postępuje rozwój turystyczny, a w konsekwencji - ekonomiczny.

Wzgórze 255 nie ma jasno określonej idei przewodniej, czy jak to można powiedzieć prościej - „pomysłu na siebie”. Wspólnymi siłami możemy postarać się „nasze” wzniesienie „wymyślić na nowo”. Przykłady wielu innych wysocyzn pokazują, że jest to realne. Nie mamy żadnych podstaw po temu, by czuć się gorsi, czy tym bardziej - wątpić we własne siły.



rys. R. Znajomski

Leżąc na tym nieszczęsnym pagórku, skroń swą poddawszy próśnieniu pierwszego śniegu, zaczynam powoli zazdrościć świątka. Przed chwilą, ślaniając się na czworakach, wyłożyłem im program wyborczy. Sam pragnę niewiele. Chcę tylko, aby przyjęły mnie do swojej społeczności, użyczając spokojnej nory na długie miesiące zimowego letargu. Niech porządnie zaczopują jej wejście, odgradzając skutecznie od reszty świata. I zadając sobie fundamentalne dla dziejów ludzkości pytanie: dlaczego kura pije a nie szczy?, zwinę się cicho w kłębek, pociągnę ostatni łyk z flaszki ukrytej na piersi i ograniczę metabolizm ciała do niezbędnego minimum. Zamiast kciuka, wezmę do ust korzeń przebiegający nad moją głową. Z jego sokami zassę to wszystko, co Wzgórze ma w sobie najcenniejszego - mineralmix z potu, krwi i kości poległych przodków.

Mariusz Kargul

Mirosław Iwańczyk

Nokturny iberyjskie (cykl)

Iberyjskie zmierzchy
mówią zawsze szeptem
dotykem kojącej nocy
rozwijają sekwencje
naszych myśli
i wtedy ktoś opowiada
o urodzie Alhambry
kuszającej barwnym orientem
o tawernie w Lizbonie pulsującej
rzewną frazą fado
i Katalonii gwar rozbrzmiewa
nieokiełznaną pieśnią
która wibruje
płomienistym gotykiem
i widzisz obnażone z szat
ascetyczne ciało
wydłużone powrozem żył
płonące w sakralnej mgłę
to mistyczny karnawał
to El Greco
to jego fresk
i słysząc stukot kastanietów
flamenco rytmicznych kroków
i seniority hymn
jej skargę jej płacz
jak krew jak bicz co smaga
ognistym tańcem życia
i wije się i miota
gra i odtwarza
miliony nieskończonych ról

Wędruję w myślach
zakątkami hiszpańskiej ziemi
ciało jej krwawe
spieczzone od żaru słońca
z dziedzińca alkazaru
rozwią się
mauretańska pieśń
tawerna rozwarła
swe wonne ramiona
z radością przywitał mnie
barwny szyld
i bukiet wina
zakwitał mi w ustach



na każdej ulicy
co krok to inny spektakl
płonie Andaluzyja
ogniskiem flamenco
para kochanków wpatruje się
w witrażowy zmierzch
woluta kolumny
w portal Kastylii się wtapia
Kupidyn znad architrawu
spogląda zalotnie
Don Kichot bicze wody
wyciska z trytonów
znużony usiadłem
pod koroną płatanu
wachlarz mroku
powieki mi muska
i słyszę szept sukni
infantki Velasqueza
pożegnanie Alhambry
i koncert z Aranjuez



rys. R. Znajomski

Dłoń gestem z mroku się wyłania
wskazuje chwilę światła
płonące flamenco
tętniące na parkiecie
szalejące wyrrywające się
ognistą pieśnią
mozaiką rytmicznych kroków
spektaklem barw
miotających się na scenie
wtopionych w melodię uczuć
splcionych freskiem słów i zdarzeń
kwitnących na twarzy
rozkoszą wirowania
blaskiem cieniem
istnieniem triumfalnej radości
przechodzącej w dotyk szeptu
w cichą frazę
stłumionego szlochu

Katedrę
zwiedzałem
w Andaluzji
w mroku zatopioną
w królestwie księcia cieni
gdzie spokój panował
dźwięk galiardy
mnie unosił
gdzieś w dali
flamenco tętniło
pawany lament smucił
i ujrzałem pejzaże
kłębiące się we mnie
obrazy
płynące na wodzie
a wokół Alhambry
ogrody ogrody ogrody...

Wielki tancerz
wyszedł na kresu arenę
dał znak początku autillo
z uśmiechem Judasza
zaprasza do dance macabre
słowa zamarły w milczeniu
płoną pochodnią ludzkie cienie
żałobna pawana gra
wirują w tańcu
kłębowiska ciał
wersety szatańskie
szepczą w otchłani
toczą się toczą
żywe korpusy
twarze bez nosów bez warg
wyją ofiarą ekspiacji
miliony szczekających w amoku
karmionych alchemią idei
samotni wśród karłów
z twarzami Bafometa
samotni w modlitewnym tłumie
miłosiernych oszczerców
i te tkanki tragicznych istnień
drgają w kosmicznym szale
wodzirej wszechświata
prowadzi wieczysty korowód
i każdy kto z płodu wyszedł
będzie galiardę tańczył
w odwiecznym carnavale

Mariusz Kargul

Niebo nad Wembley



Szukam zdzičajego sadu ukrytego pośród drzew starego lasu. Mam nadzieję odnaleźć w nim czas, który był kiedyś i nie wypłynął nigdzie dalej. Miejsca, w którym nie było nikogo przede mną od lat. Ścieżek zarośniętych trawą i jeżynami. Grzybów wystawiających swe kapelusze ku słońcu niczym damy parasolki nad morzem. Studni schowanej w zaroślach, która prowadzi do wnętrza ziemi, przenika ją na wskroś i wiedzie dalej, ku światom równoległym, w zapomnianych, jak droga do mego domu, galaktykach. Kamienia, na którym stopa ludzka nie zostawiła śladu od momentu, gdy z drzew zebrano ostatni owoc. Potem już tylko poranki i noce, zaćmienia, nowie, przymrozki, deszcze i śniegi wiłaty dziczejące urodzaje. A ptaki zlatywały na domiar.

Podobno morderca wraca na miejsce swej zbrodni. A co w takim razie zrobić ze starym sentymentalnym durniem, który myśli, że uda mu się ponownie wejść do tej samej rzeki? Tak po prostu uznać, że nic się od tamtej pory nie wydarzyło, a czas zatrzymał się w miejscu? Jak można nie mieć tyle serca, by skazywać gminę i ludzi w niej mieszkających na status prywatnego skansenu? Mieć nadzieję, że nic się nie kończy, a zaczynać można na okrągło, bez przykrego ryzyka konsekwencji...

Ta sobota ciągle we mnie jeszcze istnieje. Nad wioską unosi się niebo w kolorze świeżo wypranej poszewki na jaśka. Zapach mydlin i proszku króluje nad całą okolicą. Lekkie podmuchy wiatru wzdymają płachty prześcieradeł niczym płótna żaglowców bez pokładów i masztów. Czasem widać pod nimi nogi kobiet, a resztę ciał imitują cienie rzucane na pościel. Sprawia to wrażenie samorzućnego teatryku, skrzykniętego naprędcie dla uciechy mężczyzn i dzieci. Tych pierwszych jest jednak niewiele. Pogoda i konieczność wyciągnęły ich do pobliskich lasów. Tam, pośród spluniętych w wewnętrzne strony dłoni, chwytą się trzonki siekier i rączki pił, by trzebić i krzewić. Trzebi się drzewa na potrzeby domowych gospodarstw, a krzewi zapał do pracy i odpoczynku w gronie wyrostków.

Właściwie nie mam już na nic czasu. Co miano mi odmierzyć, odmierzone. Na zawsze za krótkiej linii życia zaznaczono moment startu, kulminacji i upadku. Nie ma się za bardzo jak z tego wypłatać. Po obu stronach linii bezkresne

otchłanie, czarne dziury, nic więcej. To nie jest nawet spacer linoskoczka. Dobry linoskoczek wie, że wcześniej czy później nastąpi koniec jego drogi. Idzie w miarę dumnie i pewnie, a przynajmniej chce sprawiać takie wrażenie. Jeżeli nie ma żadnej tyczki dla zachowania równowagi, podpie-
ra się marzeniami o dalszych wyczynach i akrobacjach. Udany koniec popisu otwiera kolejne szanse. Zadowolony impresario podciąga spodnie na brzuchu. W myślach liczy szybko przychody z biletów i nowe miejscowości tournée. Rozpędzona wyobraźnia podpowiada mu rozpięcie liny między wyższymi punktami. Ryzyko zostaje w kalkulowane pomiędzy jeden fałszywy gest i drgnienie powiek, ale się opłaca. W moim przypadku ktoś zgasił nad areną wszystkie światła, wyrzucił tyczkę i zabrał spod liny ochronną siatkę. Za plecami czuję chłód klujący coraz mocniej w plecy. Napiera na mnie, zmuszając do postawienia pierwszego kroku. Być może ten inicjacyjny ruch stopy okaże się równocześnie pierwszym i ostatnim krzykiem.

I ta moja biedna matka, której w żaden sposób nie udało mi się uratować przed śmiercią. Przylądnąłem się procesowi jej powolnego rozkładu za życia, wykonując jedynie pozorowane ruchy. Byłem jak ci nasi alianci, siedzący cicho za murem z betonu i wielką fosą. Okłamywałem sam siebie, że nie jest przecież jeszcze tak źle, że sytuacja w żadnej mierze nie dojrzała do podjęcia zdecydowanych kroków. Liczyłem na samoistne rozwiązanie problemu. Na to, że choroba uzna swoją zbędność w jej ciele i sama po cichu wycofa się z anektowanego terytorium. Pomału, bez jednego wystrzału, zwijając banderie, pakując bębny i sakwy wyniesie się jak najdalej od nas. Zostawi w spokoju to, co w sensie fizycznym i tak nie przedstawia sobą już większej wartości.

Te oczy opuchnięte od patrzenia w jeden punkt na suficie. Przez całe życie rejestrujące obrazy, których nigdy nie chciałoby się oglądać, ani o nich pamiętać. Włosy, za dotknięcie których chłopaki skakali sobie kiedyś do gardeł na wiejskich zabawach. Ich fale roły o niespokojnej tafli oceanu zapomnienia. Nęciły do wypłynięcia w rejs bez gwarancji na dobiecie do wypatrywanego z niepokojem nabrzeża. Można było w nich jednocześnie zatonać i wybić się nad powierzchnię. Oberwać trójzębem Neptuna albo poczuć na ustach muśnięcie płetwy syreny. Doświadczyć jedności z materią i wszechświatem. Odnieść na ulatek sekundy wrażenie, że ich strukturę utkano z tych samych składników, co warkocz Mlecznej Drogi. Skórę, teraz pomarszczoną i obwisłą, po-

zółkłą między palcami od papierosowego dymu, ze śladami pierwszych odleżyn na pośladkach i plecach, a dawniej przypominającą sen arabskiego handlarza jedwabiu. Rozpiętą na tkankach niczym namiot przewodnika karawany zmierzającej z jednego krańca pustyni na drugi. Pieszczoną delikatnie słońcem i politurowaną wiatrem. Mieć taką skórę oznaczało przywoływać rumieniec wstydu na szybach sklepowych witryn i wzbudzać niespokojne myśli nawet wśród najbardziej nieczułych i opanowanych. Na pustyni albo w stepie równałoby się to lekkiemu pąsowi oblewającemu klingę szabli wojownika błogosławiącego zachód słońca. Czas, kiedy znój kończy bój, krew wsiąka w piasek, trawa odkształca ślady stóp. Moment zwiastujący przejście z jednego stanu w drugi. Zawahanie bytu, który nie chce poddać się śmierci, i śmierć, która nie chce jeszcze umierać za życia.

Właściwie nie zdążyliśmy się ze sobą najeździć. Ciągłe żywilem przekonanie, że na wszystko przyjdzie jeszcze czas. Na zdrowie, miłość, prawdę, zaufanie i szacunek. Czas miał jednak swoje plany. Obszedł się z nami jak rodzina z niechcianym kuzynem. Wpakował do zaciemnionego wagonu i odstawił na zapomnianą bocznice. Szybko zrobił swoje i popłynął dalej. Została tylko garstka pamiątek, kilka zamglonych wspomnień i jeszcze więcej przywidzeń. Powoduje to we mnie uczucie narastającego mirażu. Latem, wydaje mi się, że widzę coś na skraju drgającego horyzontu. Zimą, mam nadzieję wypatrzenia czegoś wśród śnieżnej zamieci. Jakiegoś kształtu mającego za cwałującą ścianą śniegu. Formy, którą będzie można objąć i zrozumieć. I im dalej w to brnę, tym więcej dookoła mojej osoby niepewności i braku rozeznania. Bezbłędnie trafiam tylko na cmentarz, na którym leży w podobnym do innych grobie. Oddalony sporo od miasta, przyciąga dziwną siłą zamkniętą w sarkofagu z pustaków i granitu, który przywalił na dobre pępowinę, ale nie zdołał jej przerwać. Kiedyś jej pokój, a teraz grób, wyznaczają punkty orientacyjne w przestrzeni.

Tylko ptakom podniebnym wystarcza tyżka błękitu dziennie do życia. Chyba najlepszym sposobem na pisanie jest próba oddania tego, co samemu chciałoby się przeżyć, a co, pozornie, wydaje się niemożliwe do spełnienia. I nie ma wtedy, że boli. Nie ma przebaczyć. Wypadasz z miasta, jak by goniło cię stado potępieńców i oto masz przed sobą drogę w nieskończone. I nawet jeśli pokonasz ją całą i wrócisz do punktu wyjścia, to już i tak nie będzie to samo.

Jak daleko sięga arche? Jak głęboko można wniknąć w czas, by starać się uchwycić minione? Czemu tak naprawdę służą święta? Jak należy je pełnić i godnie przeżywać? Mogłem skończyć przecież jakieś studia. Próbować żyć jak inni ludzie. Ale nie chciało mi się. Wołałem czekać na gwiazdkę z nieba. Okazję, dzięki której, przy małym nakładzie własnego wysiłku, uda mi się wspiąć na sam szczyt. Liczyłem na to, że ktoś mnie odkryje, pozna się na moim talencie i nieprzeciętnych zdolnościach. Drogę do sukcesu widziałem prostą i usłaną ludzką życzliwością. Nic tylko zdecydować się wejść na nią w odpowiednim momencie i korzystać pełnymi garściami. Skoro miałem zostać uznanym i cenionym pisarzem, nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać, aż renomowany wydawca zapuka do moich drzwi i poprosi łaskawie o napisanie czegokolwiek. Wtedy ja, z lekka krygując się i opierając, napuszczę powietrza do warg, odczekam dłuższą chwilę, po czym z lekkim wahaniem w głosie oznajmię, że owszem, jeśli będę miał jakikolwiek wolny tekst, nie omieszkać się zgłosić pod właściwy adres. Jeszcze tylko wymiana zwyczajowych uprzejmości, wręczenie numeru konta, na które należy przelać zaliczkę, uścisk ciepłej łapki, i oto mogę pełnoprawnie wkraczać na listy bestsellerów. Szkoda tylko, że bez ani jednej napisanej książki. Przynajmniej byłoby się czym podpierać na spotkaniach z czytelnikami.

Mariusz Kargul

Szesnaście lat z Kamieńską

Można odnieść wrażenie, że spotkanie wieńczące XVI Konkurs Poetycki im. Anny Kamieńskiej miało jakiś odmienny klimat. Bardzo możliwe, że dostrzegli to jedynie starzy bywalcy. Interesująca okazała się ława sędziów, po raz pierwszy spoza Lubelszczyzny, na co dzień - wykładowców Zakładu Literatury Polskiej XX Wieku Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego, a przede wszystkim - dziennikarzy i założycieli kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza”. Ogłoszenie wyników poprzedziła projekcja archiwalnych zdjęć Krasnegostawu połączona z prezentacją słuchowiska Janusza Kukuły pt. „Domy dzieciństwa” opartego na wierszach patronki konkursu. Jury w osobach: dr Magdalena Rabizo-Birek, prof. Zenon Ożóg oraz dr Jan Wolski przedstawiło protokół i indywidualne oceny wyróżniających się tomików. Spośród dziesięciu zgłoszonych do konkursu, po-

stanowiło wyróżnić trzy: „Bliżej skóry” (autor - Piotr Linek), „Jak anioł ulotna” (ks. Piotr Dobak) oraz „Spod stopy kamyk” (Jadwiga Demczuk). Nagrodę główną otrzymała Maria Przybylska za tomik „Po latach. Wybór wierszy”. Jan Wolski utrzymywał, że wobec tego tytułu komisja ponoć była zgodna, a Magdalena Rabizo-Birek poszła nawet dalej, określając laureatkę mianem „późnej Kamieńskiej”. Podczas podobnych spotkań coraz częściej można zaobserwować nieobecność nagradzanych autorów, a nawet samych jurorów. Tym razem obecną (jak zawsze) była tylko nasza Jadwiga Demczuk, natomiast główną nagrodę przekazano na ręce siostry Marii Przybylskiej. Widzowie nie byli zbyt rozczerzowani, ponieważ jurorzy publicznie odczytali kilka wierszy z nagrodzonego tomiku, ale czy coś równie interesującego zdoła nas przyciągnąć następnego roku?

Refleksje Marcina Czyży (współzałożyciela grupy literackiej „Nic wspólnego”, autora książki „Smoczy uśmiech i ogon”) na temat poezji Anny Kamieńskiej od razu przerodziły się w opowieść na temat ulubionych książek. W swobodnej, improwizowanej relacji, poznaliśmy losy najciekawszych tytułów, które mu zaginęły, a po latach odnalazł je w prywatnej bibliotece swoich znajomych z Krakowa. Miał ochotę nocą spakować je do swojego plecaka i... ale zaniechał. W czasie opowieści, Magdalena Rabizo-Birek przyjaźnie potakiwała, bezgłośnie aprobując trafność tytułów wymienianych książek. Marcin nawiązał więc bez trudu kontakt z publicznością. Atmosfera szybko rozluźniła się i tak było już do końca. Redaktorzy „Frazy” popłynęli na tej fali, przywołując historię swojego pisma. Padło stwierdzenie, że ciąży nad nimi zawodowa przypadłość uniwersytecka, która nakazuje poddawać w wątpliwość wartość wydawnictw mniejszych od „cegly”. Tym niby tłumaczy się kilkusetstronicową objętość „Frazy”. Oprócz egzemplarzy rzeszowskiego kwartalnika, wszyscy otrzymali gratisowo książki autorstwa naszych gości, bądź też innych autorów, a wydane przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”. Koniecznie należy zaznaczyć, że patronem medialnym konkursu był „Nestor” i dzięki temu, jak zawsze, za darmo każdy otrzymał bieżący numer.

W przerwach, z przyjemnością wysłuchaliśmy recitalu znanej już w Krasnymstawie Moniki Krajewskiej, która zaprezentowała wśród swoich kompozycji, również trzy utwory Anny Kamieńskiej we własnej aranżacji: „Nie bój się dotknięcia słowa”, „Wolność” i „Małżeństwo”.

Wiersze z tomików biorących udział w konkursie drukujemy na stronach 62-63.

adm

Passus z protokołu jury XVI Konkursu Poetyckiego im. A. Kamieńskiej

Poezja Marii Przybylskiej jest mocno zakorzeniona w tradycji polskiej literatury, zwłaszcza w jej nurtach religijnym i egzystencjalnym: od Jana Kochanowskiego, Szymona Szymonowica i Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego po Karola Wojtyłę i Annę Kamieńską. Przy lekturze jej mądrych, operujących bogatymi i celnymi obrazami, muzycznie zorganizowanych wierszy zwracają uwagę liczne analogie z poezją patronki Konkursu: poszukiwanie w świecie doczesnych znaków Bożej obecności i widzenie ich w trudnej perspektywie śmierci, zapis duchowych i intelektualnych olśnień, zmagañ, refleksji, obserwacji, motyw matki, wreszcie czułe, ale nie czułościowe, wizerunki starości kobiet. Liryka Marii Przybylskiej jest w najlepszym tego słowa znaczeniu tradycyjna. Autorka nie boi się wielkich słów, bogactwa metaforiki i rytmicznej regularności, szczęśliwie omijając rafy wyrażañ skonwencjonalizowanych lub ciekawie je odświeża drobnymi detalami, zaczerpniętymi z realiów życia codziennego i obserwacji przyrody: „mglistym porankiem”, „zwiądłym słonecznikiem”, „miętówkami”, „splatanieniem warkocza”, albo „pszczołą” i „ziołami”, jak w filozoficznym hymnie na cześć czasu – wierszu Z drugiej strony: „CZAS / jest starą pszczołą / nie z tych pracowitych / o których śpiewa hymn Wielkiej Soboty / – lecz Królową Matką... / Gdy pracują inni / ta czeka / aż z dni gorzkich ziół / ustoi się stary miód / słodycz z piołunowych klęsk / siła z cierpkich pestek”.

Jednocześnie jury pragnie ogłosić, że wybierając laureata XVI Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej brało także pod uwagę trzy inne tomiki poetyckie wybijające się wysokim poziomem artystycznym, oryginalną poetyką i walorami poznawczymi: Jadwigi Demczuk „Spod stopy kamyk”, Piotra Linka „Bliżej skóry” i ks. Piotra Dobaka „Jak anioł ulotna”. Także te książki ukazały się w wydawnictwie Norbertinum, które zgłosiło do konkursu aż osiem publikacji – mając, jak się wydaje po ich lekturze, największe w roku 2009 na Lubelszczyźnie zasługi w promowaniu współczesnej poezji.

Rzeszów, 30.10.2010 r.

Krasnostawianie recytujących nagrodzonych

Stanisław Kliszc (komisarz konkursu) wyreżyserował multimedialny zapis recytowanych wierszy z nagrodzonych tomików na przestrzeni 15 lat. Nagranie dostępne jest w Krasnostawskim Domu Kultury.

Maria Przybylska

Tam

Mam nikomu nie opowiadać
o tym odbiciu w szybie
co z blaskiem wpadało
do ciemnego pokoju nieopodal willi
w której przed wojną była stara szkoła
- uczyła w niej nasza Matka
od nas wtedy młodsza
i smutna tym samym smutkiem Nałęczowa
Tak odkryłam tajemnicę miejsca
że jest niezmiennie
Czas je przemienia
radość i smutek pulsują na przemian
w źródle tym samym - którego istnienia
nawet nie powiem - ono nie ulega
zwątpieniu czasu - czas jemu podlega
Choć kołowrotów drewnianych już nie ma
nić żywej wody snuje się bez końca
od tej co drzemie
do tej co jeszcze głuchociemna
przez teraźniejszość
którą ledwo trąca

Ciemne olśnienie

Nic się nie stało - tylko sen odleciał
została pustka czujna nieruchoma
jak cięcie miecza jasna świadomość
odkryć - co w dzień banalne
ale w nocy - jedyną prawdą
wszelkiej kruchości w bólu się jawiły
że książki listy zwoje taśm obrazy
to wszystko może spłonąć nazbyt łatwo
a mózgu zwoje krwioobiegu siatka
jednym dotknięciem mogą zatrzymać na zawsze
- że nikogo nie można zatrzymać na zawsze
że im więcej mamy - tym więcej tracimy
że nawet silny - nie ma żadnej siły
a najpierwszy też niepewnie stawia
swoją krok następny...
Jutro jestem ostrzem - na szczęście stępionym
nieświadomością codzienną - lenistwem
i tym że nie najczęściej czytujemy mędrcoń
- fragmenty Psalmów (i ten dobrze znany
o dniach jak trawa) też już zapomniane

Nasz krzyż

Wszystkie kraty układają się w krzyż
 najdokładniej widziany od wnętrza
 tak anielsko byłoby nam śnić
 gdyby krzyż miał ramię tylko jedno;
 - ten wysoki pion naszych przeznaczeń
 którym Polska wstępuje do nieba
 - lecz pozioma belka nas przytłacza
 i ze wstrętem co dzień nieść ją trzeba

Jak długo jeszcze przyjdzie nam tak iść
 w zapatrzeniu ku ziemi przygiętym
 wiatr rozwiewa zwiędłych proroców liść
 nie widzimy Prawdy w lustrach mętnych
 żeby wreszcie ktoś drogę na skróty
 nam pokazał - choć stromą i twardą -
 żeby wody podał niezatrutej
 i powiedział: na Górę iść warto!

*Wiersze z nagrodzonego tomiku Maria Przybylska,
 „Po latach. Wybór wierszy”,
 Norbertinum, Lublin 2010, ss. 46.*

Piotr Linek**to tylko piasek**

nie ma do czego wracać kiedy
 ostatni raz umarła matka a
 ojciec pierwszy bo
 odkryłem że ta gra ma tylko jedno życie
 że w bólu i stracie wcale nie chodzi
 o czas ani przestrzeń

jak dobrze skarbie że ty to ty
 kiedy leżymy w tej klepsydrze
 słysząc głosy dochodzące od brzegu
 naszych dzieci
 liczących przyływy i odpływy

nie ma do czego wracać
 zaledwie zaciskam pięści i
 sznuruję usta
 na wokół
 co utwierdza mnie

to tylko piasek tylko piasek

XXX

nie pasuje

wiatr do latawca
 forma do babki z piasku
 warkocz do wstążki
 córka do szkolnego świadectwa
 racja do prawdy
 droga do powrotu

świat do Pana Boga

wierszyk historiozoficzny

gdyby chłopcy wygrali mecz
 dziadek wojnę
 wiele bardziej udany byłby
 powrót
 z łatwością daliby się uwieść
 zapachem nowych perfum na szyjach
 dziewczyn
 nalewką babci specjalnie
 na okoliczność powiewu historii

tymczasem wszyscy wzięli w dupę
 równo
 chłopcy malowani

szabajka

moje chcenia twoje nie
 tak od zawsze i tak na
 wokół wyspy jest ocean
 za nim
 oceany dwa

tam się słowa nie dosłowią
 tam się myśli nie domyślą
 ani oczy nie dopatrzą
 ani ani

teraz sza

*Piotr Linek, Bliżej skóry, Norbertinum, Lublin 2009,
 ss. 49. Tomik nominowany do nagrody w XVI Kon-
 kursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej*

Andrzej David Misiura

Wiersze zza muru



Wiersze autorów oddzielonych od nas krami, noszą bardzo wyraźne znamiona subkultury więziennej. Tematyka w przeważającym stopniu dotyczy zarówno stanu fizycznego jak i duchowego, w jakim znaleźli się piszący. Jest to świadectwo sytuacji i miejsca, ale już sporadycznie - prawdziwej przyczyny.

W grupie wierszy erotycznych często spotykamy teksty bardzo dosłowne i bezpośrednie, chociaż nie brakuje też wyszukanej i niebanalnej poetyki, szczególnie autorstwa kobiet. Nierzadko eksponowane bywa też uczucie troski, które jest odzwierciedleniem kłopotliwej sytuacji, w jakiej postawili i pozostawili najbliższych.

Inną ciekawą grupą są prace poświęcone matkom. Autorami są z reguły młodzi mężczyźni, pełni bezgranicznego zaufania i wyrzutów sumienia, ale... wobec rodzicielki. Inne kobiety w tym miejscu nie mają szans. Bezdyskusyjna więc i oczywista miłość matki znajduje swoje niepodważalne miejsce nawet za murami. Krótko mówiąc, uzyskujemy potwierdzenie, że to uczucie jest dogmatyczne, i w każdej poetyce ma podobną wartość i wymiar.

Daje się zauważyć, że przeważająca część wierszy pisana jest specjalnie na okoliczność konkursu. Spełnia to założenia przedsięwzięcia, a więc i oczekiwania resocjalizacyjne. Jako juror, poparłem nawet to zjawisko, proponując nagrodzenie dodatkowej puli ciekawszych tekstów, co ku mojej radości zaakceptowane zostało przez grono moich przyjaciół-jurorów.

I wreszcie plagiaty. W dobie Internetu i niezliczonej ilości wydawnictw, a więc łatwej dostępności literackiej lektury, nie sposób uniknąć przywłaszczania cudzej własności intelektualnej. W tegorocznym konkursie zdarzyły się też takie przypadki. Jeden z jurorów miał nawet odwagę obstawiać za autentycznością tekstów, któregoś z autorów, jednakże odstąpił, gdy wskazałem, że ten sam wiersz przysłany został przez dwoje różnych ludzi, z odległych zakładów. Takich sytuacji było więcej. A szkoda, ponieważ zdyskwalifikowani zostali ci, których typowano do nagród, tymczasem jedni i drudzy odpadli z konkursu. Być może wśród nich i prawdziwi autorzy.

Spostrzeżenia. Na ile idea konkursu jest słuszną, na tyle trudną w twórczym doskonaleniu autorów, ponieważ ich odosobnienie uniemożliwia prowadzenie warsztatów literackich, a nawet uczestnictwo w takich wydarzeniach jak ogłoszenie wyników, gdzie można byłoby wymienić doświadczenia. Taka zależność stwarza znikomą szansę rozpoznania wartości poetyki przez autorów i prowokuje do popełniania nadal tych samych błędów. Odbiera szansę rozwoju kandydatom na być może dobrych poetów. Chyba, że swoje pisarskie zajęcie traktują jako rozrywkę i sposób na zwykle zapelnienie nadmiaru wolnego czasu. Życie jednak ustawicznie weryfikuje i uzupełnia działania animatorów kultury. Radzi sobie automatycznie, czego efektem są np. powstające w zakładach odosobnienia grupy literackie. A więc takim oto sposobem stwarza się miejsce i okazja do wzajemnej konsultacji prac pisarskich.



Jury

Nie ma żadnych wątpliwości, że inicjatywa Aresztu Śledczego w Krasnymstawie jest nadspodziewanie cennym działaniem resocjalizacyjnym nie tylko w aspekcie socjologicznym, ale i artystycznym i tego organizatorom z całą pewnością można pogratulować.

Andrzej David Misiura

PS

20 września 2010 roku odbyło się uroczyste rozstrzygnięcie XVI Konkursu Poezji Więziennej ogłaszanego corocznie przez Areszt Śledczy w Krasnymstawie. Jury w składzie: Jadwiga Demczuk, Jan H. Cichosz, dr Lubomir Puszak, Andrzej D. Misiura i Paweł Pietszczyk oceniło 319 zestawów wierszy nadesłanych z terenu Polski i Ukrainy. Pierwszą nagrodę otrzymał Radosław Poniedziałek (PL) i Jarosław Bucienko (U), drugą nagrodę - Andrzej Wieczorek (PL) i Mikołaj Czerinow (U), trzecią - Łukasz Zgrzebnicki (PL). Przyznano też czternaście wyróżnień. Wybrane wiersze drukujemy obok.

Radosław Poniedziałek

Dom

Upływają dni

Cisza przesiąka
dom ze wspomnień

W kuchni na stole
przewrócił się dzbanek
z czasem

Kiedyś wrócę

Posprzątam

Wspomnienie

Czasem
spłynie po policzku
wspomnienie dnia

Zapach pomarańczy
w sieni domu

i odbicie w lustrze

ciszy przed burzą

Cisza

Wyplukałem ciszę
w potoku słów

Rozwieszę ją w ogrodzie

Niech schnie
poza domem
na sznurze czasu
pomiędzy
wspomnieniami dni

które nadejdą

Łukasz Zgrzebnicki

Przyjaciel

A jeśli Panie mi dasz
to czego pragnę najszczerzej.
Być może ten pierwszy raz
do końca w Ciebie uwierzę.
Wszak ziarnem to marnym dla Ciebie,
a dla mnie - aż słów brak,
brak - tak wiele
Więc jeśli jesteś tam w niebie
Obdaruj mnie przyjacielem
I wybac, że umiem Cię prosić
Chcę tulić niepewność zza ściany
I uczyć jak miłość się nosi...



rys. R. Znajomski

Serce

Na skrzypiącym stole
drewnianym i starym
co w sękach jak w albumie
przechowywał wspomnienie...

Wystukują nasze palce
rytm równy jak zegary
co odmierzają czas nieodpowiedzialnie
Rytm niespokojny zmienia się w nerwowy
co drewno z uśmiechem
ciepłem odwzajemnia
Zna te dłonie - jasne i młode
to serce gorące
niepewność swą odbębnia

Karolina Szymkiewicz

Księstwo. Adaptacje filmowe prozy Zbigniewa Masternaka



Zbigniew Masternak pisze swoje życie. Z całego zamierzonego autobiograficznego cyklu powieściowego powstał dotychczas pięcioksiążkowy młodziński - *Księstwo* - a z niego wydano trzy pierwsze książki: *Chmurolap* (2006), *Niech żyje wolność* (2006) oraz *Scyzoryk* (2008). Dwie kolejne książki czekają na wydanie. To cykl powieściowy, jakiego jeszcze w polskiej literaturze nie było, jak sam twierdzi: „Nikt dotychczas nie wpadł na taki prosty pomysł, żeby na żywo dokumentować ten czas, który ci ucieka”.¹ Masternak planuje opisać swoje życie od początku aż do śmierci. Do skompletowania pozostały mu tomy o dorosłym życiu i starości, a także księga genealogiczna, w której opíše swoich domniemyanych przodków z Księstwa Wiślan, oraz księga prorocza, ukazująca jego wizję przyszłości. Tworzy współczesną epopeję, kreując siebie na jej bohatera. Masternak przyznaje, że stara się żyć tak, by mieć o czym pisać, stwarza sytuacje godne opisanie. W wywiadzie z Leszkiem Onakiem mówi: „Dla mnie bardzo ważna jest etapowość. Życie nie jest ciągle, tylko składa się z części. I to jest w nim najciekawsze, że niekoniecznie musisz być przez całe życie jedną osobą. Literatura jest na tyle wygodna, że daje ci możliwość sumowania tych doświadczeń. [...] Dużo w życiu przeżyłem, dużo podróżowałem, więc teraz nie muszę wymyślać historii. Dzięki mojemu bujnemu życiu mam co opisywać”.²

Masternak ekranizuje swoje życie. Na podstawie jednego z rozdziałów *Niech żyje wolność* powstał film *Wiązanka* (2003) w reżyserii Cezarego Fili, a pierwszy rozdział *Scyzoryka* został sfilmowany przez Roberta Wrzosa (*Stacja Mirsk*) w 2005 roku. W przygotowaniu jest *Księstwo* Andrzeja Barańskiego na podstawie *Niech żyje wolność*. Masternak aktywnie uczestniczy w powstawaniu filmów; produkuje je, pisze scenariusze, występuje. Onak mówi o jego prozie: „Masternak mówi obrazem, mówi filmem. Gada scenami. Większą uwagę zwraca na losy niż na strukturę, chociaż ona też występuje, ale tak jakby przypadkiem. Jest w jego prozie potencjał filmowy i dlatego pewnie wzbudza takie zainteresowanie reżyserów”.³

Pierwsza produkcja na podstawie prozy Masternaka to amatorski film Cezarego Fili *Wiązanka*, zrealizowany w akademiku, z udziałem zarówno profesjonalnych aktorów jak i samego pisarza w roli głównej. To prosta produkcja przy użyciu prostych środków filmowych, niedbająca zaledwie o realizm (co nie jest największym zarzutem, gdyż nie tylko filmowcy amatorzy popełniają w tej dziedzinie błędy. W *Wiązance* pojawia się postać Suchego, chłopaka ze wsi, zagrana przez aktora silącego się na gwarę. O tym zjawisku mówi Andrzej Barański, późniejszy realizator adaptacji Masternaka, tak: „Nie ma nic gorszego niż aktor, który usiłuje mówić gwarą. [...] Tylko człowiek ze wsi ma odpowiedni słuch, żeby mówić gwarą naturalnie”⁴) i wzbogaconą o głos narratora relacjonującego zdarzenia ze świata wewnętrznego bohatera, lecz nie jego głosem. Mimo to, jest to całkiem poprawny utwór stanowiący uverturę do późniejszych realizacji opartych na prozie pisarza. Film jest wierną adaptacją przedostatniego rozdziału *Niech żyje wolność*. „To film o niespełnionych nadziejach, nie tylko moich, ale również ludzi, którzy we mnie te nadzieje pokładali. W *Wiązance* gram siebie [...]. Człowieka totalnie przegranego, dla którego słabą pociechą jest to, że wokół niego swoje bitwy przegrywają również inni”.⁵ Film przeszedł bez echa, prezentowany był jedynie na kilku pokazach, jednak tej produkcji zawdzięcza Masternak wszystkie swoje znajomości filmowe (jedną z ról zagrał Robert Wrzosek, reżyser i aktor następnego filmu, nad którym kierownictwo produkcji objął Cezary Fila), a także fascynację tą branżą, o czym pisze w *Scyzoryku*. Zapytany jednak czy zamieniłby literaturę na film, zaprzecza, swoje stanowisko tłumacząc trwałością dzieł: „Wiele filmów nakręconych nawet kilkanaście lat temu ma już kiepską jakość. Nie ma nośników, które pozwolą im trwać w nieskończoność. A słowo zawsze przetrwa”.⁶

Drugim filmem, zrealizowanym wspólnie z Robertem Wrzosem (do którego ma Masternak nieskrywany żal o niesprawiedliwe przypisywanie sobie wszystkich zasług związanych z powstawaniem filmu; żal ten przelewa również na kartki *Scyzoryka*, który opisuje trudy powstawania ekranizacji), jest *Stacja Mirsk*. Tom, z którego pochodzi sfilmowany rozdział, opowiada quasi-kryminalne historie z życia wrocławskiego półświatka. Niepokojącą atmosferę opowieści z dreszczykiem można również

4. P. Marecki, Barański. Przewodnik krytyki politycznej, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009, s. 254.

5. Z. Masternak, *Scyzoryk*, Wydawnictwo Zys i S-ka, s. 62.

6. <http://www.polityka.pl/kultura/rozmowy/249841,1,obserwujecie-siebie-niby-biolog.read>

1. <http://niedoczytania.pl/?p=966>

2. Ibidem.

3. Ibidem.

wyczuć w filmie. Pięcioro nieznajomych, zgromadzonych w niewielkim pomieszczeniu zaniedbanej stacji kolejowej, tajemnicza milcząca dziewczyna, agresywny Cwaniaczek - te elementy opowieści zostały przeniesione z książki do filmu. Wydaje się jednak, że filmowa niespokojna atmosfera oczekiwania, wzbogacona o złowróżbną muzykę (efekty na gitarze „wyrzeźbił” sam reżyser, jak się dowiadujemy z napisów końcowych), wzmacnia odczucie niepokoju i ubiera jedną ze scen z życia Masternaka w aurę nadprzyrodzoności. W istocie, bohaterowie zdają się znajdować poza czasem, raz po raz zapadając w sen, by dać się obudzić przez kolejny zwrot akcji. Spotykają się na stacji zimą, opuszczając ją wiosną, choć fabuła obejmuje zaledwie jedną noc. Przeczytawszy *Scyzoryk*, wiemy wprawdzie, że jest to zabieg wymuszony, przedłużającą się produkcją filmu, wspomaga jednak nastrój, jak również nieokreśloność miejsca akcji. Książka w tym wypadku ponownie udziela przyziemnego wyjaśnienia - wnętrze stacji filmowane było w innej miejscowości niż plenery. Dowiadujemy się z niej również o znaczeniu sceny z mężczyzną (w tej roli sam Masternak) zdejmującym sztyl z nazwą stacji: „Miało to sygnalizować ułudę miejsca zdarzeń, stanowiło kolejny element metafizyczny w filmie”.⁷ Zdezorientowani bohaterowie dowiadują się, że pociągi przez tę stację już od dwóch lat nie przejeżdżają. Wyjaśnienie przynosi dwóch policjantów, których kwestie zostały w filmie niepotrzebnie rozciągnięte, być może dla wzbogacenia kolorytu lokalnego. Dziewczyny już nie ma, nie ma też krwawego śladu po niej. Uwagę policjantów, po krótkiej pogawędce na temat stanu bimbrownictwa w rodzinnej wsi, przyciąga natomiast coś, co jest poza kadrem. Wszyscy się rozchodzą. Bohater romantycznie odchodzi torami w dal, a kamera pokazuje nam czerwony szalik. Dziewczyna więc była czy jej nie było? Można tłumaczyć jej osobę jako sen lub halucynację, a pojawienie się szalika na torach jako środek, mający wątpliwości widza zaognić. Jest też drugie wytłumaczenie: z dziewczyną łączy się kolor czerwony, którego jedno z symbolicznych znaczeń stanowi rewolucja, powstanie, walka. To samo zdaje się głosić napis na ścianie: „Nie tkwój w beznadziei i nie czekaj aż ktoś Cię z niej wyprowadzi” oraz słowa piosenki końcowej, również nawołującej do zmiany. Może takie znaczenie podkreśla przejeżdżający przez stację pociąg towarowy, który zostawia oczekujących bohaterów w ich beznadziei. Można więc odczytać film jako wezwanie do działania, prowokowania

zmiany, szukania wyjścia z niedogodnych sytuacji. Apel, który trudno wyczytać ze stron opowiadania Masternaka, ale mogący stanowić życiowe credo autora - nie wydaje się on osobą pasywną i skłoną do pozostawiania w niewygodnych układach.

Co ciekawe w przypadku tej powieści, jest ona zarówno kanwą *Stacji Mirsk*, jak i opisuje losy powstawania filmu. Masternak kolejno adaptuje jej rozdział na scenariusz, zмага się z ekipą i zdobywaniem środków na produkcję (film oraz choroba matki są głównymi przyczynami wnikania się w szemrane interesy, co opisuje w głównej mierze *Scyzoryk*), aż wreszcie sam występuje w drobnej roli w filmie.

Film od literackiego pierwowzoru odróżnia wielość wątków metafizycznych i surrealistycznych. Takim pierwiastkiem, silniej zaznaczonym niż w książce, jest tu przede wszystkim dziewczyna. To jej kroki wiodą nas przez tory aż do budynku stacji, czasem zmienia się też punkt widzenia i widz obserwuje zajścia z jej perspektywy. Wzbudza niepokój i zainteresowanie innych obecnych w poczekalni i przynosi ze sobą rewolucyjną symbolikę czerwieni. Oczekującym towarzyszą także tajemnicze podmuchy wiatru i głosy zza kadru.

Masternak nie był zadowolony ze współpracy z filmowcami. Nie wpłynęło to jednak na fakt, że film został doceniony, a na pisarza posypały się inne propozycje, wśród nich - sfilmowanie przez Andrzeja Barańskiego *Niech żyje wolność* pod tytułem *Księstwo* dla TVP.

Obecnie pisarz ma dużo pracy, zarówno tej filmowej jak i literackiej. Ukończył (pisany wraz z Jackiem Raginisem i Kubą Wasiakiem) scenariusz do filmu *Transfer* (na podstawie jednej z mikropowieści składających się na tom czwarty). „Filmów o piłce powstało w Polsce niewiele” - mówi.⁸ Ostatnim był *Piłkarski poker* Janusza Zaorskiego z 1989 roku. A znając problemy, jakie dręczą dzisiaj polską piłkę nożną, nietrudno przewidzieć, że fabuła toczy się wokół korupcji, ale dotyczy również hazardu, problemu zagubionego młodzieńca w wielkim świecie, zawodu i brukania ideałów, upadku i odkupienia. Smutne okoliczności, w jakich dogorywa polska piłka oraz doświadczenie zdobyte przez Masternaka na boisku (niektóre epizody mają źródło w biografii pisarza) stały się inspiracją dla scenariusza. Zdjęcia przewidziane są na rok 2011, film wyreżyseruje współtwórca scenariusza Jacek Raginis. Autor tymczasem kończy właśnie zdjęcia do czteroodcinkowego miniserialu opartego na *Transferze*.

8. http://www.kazimierzdolny.pl/news/film_o_pilce_z_kazimierzem_w_tle/8570.html

7. Z. Masternak, *Scyzoryk*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, s. 198.

Kolejny film, nad którym trwają prace to *Księstwo* w reżyserii i ze scenariuszem Andrzeja Barańskiego, opartym na *Niech żyje wolność*. Fakt, że to akurat Barański sięgnął po prozę Masternaka nie powinien dziwić, zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę ich wspólne świętokrzyskie korzenie oraz dotychczasowe realizacje reżysera. Wśród nich znajduje się m.in. także film *Parę osób, mały czas* (2005) opowiadający fragment życia i przyjaźni Mirona Białoszewskiego z Jadwigą Stańczakową oparty na książce Stańczakowej *Dziennik we dwoje* - kolejny dowód na romans literatury z filmem. Barański jest jednym z tych reżyserów, którego filmy pełne są związków kina z literaturą (13 na 16 to adaptacje), jest też w żywym kontakcie ze światem literackich nowości. Masternaka odkrył sam, w regionalnym czasopiśmie. O rodzinnych stronach, swoich i pisarza, Barański mówi tak: „To jeden z najbardziej zaniedbanych filmowo regionów. Piękny kawałek ziemi. Pomyślałem, że przy okazji Masternaka da się trochę tego piękna pokazać”.⁹ Barański interesuje się także prozą chłopską, a adaptowana księga Masternaka, najpierw wydana własnym nakładem jako *Księstwo*, następnie w wydawnictwie Zys i S-ka pod tytułem *Niech żyje wolność*, o życiu na wsi opowiada. Wieś snuje swoją opowieść gwarą, tak też chce by mówili jego aktorzy Barański. Prowincja ma w jego filmach i myśleniu duże znaczenie (choć protestuje przeciw zamykaniu w tym pojęciu zarówno wsi, jak i małego miasteczka)¹⁰, jest wszechobecna, a reżyser „prowincjonalnymi” określa nawet parę bohaterów filmu *Parę osób, mały czas*. Masternak - bohater powieści *Niech żyje wolność* - chce ze wsi uciec, a jednocześnie ma świadomość przynależności do tej ziemi, która go stworzyła i ukształtowała. Towarzyszy mu na niej uczucie wyobcowania, bo przez chęć ucieczki, mieszkańcy nie uważają go już za swojego (przeciwnie niż profesor lubelskiej uczelni, który widział jego przeznaczenie w pracy na roli), a powrót na wieś jest dla niego synonimem porażki. Mimo to, świętokrzyska ziemia jest jego punktem odniesienia. Zwłaszcza dopóki jest pod wpływem ojcowskiej legendy o pochodzeniu ich rodu od księcia Wiślan (stąd *Księstwo* i przydomek bohatera, czyli *Książę*). Film będzie odbiegał nieznacznie od powieści: Barański zmienił jej konstrukcję, nie będzie też miał charakteru biograficznego, jaki ma książka: „To nie jest film biograficzny. Książka tak, ona jest fragmentem życia Masternaka. Film

już nie. Wszystko to elementy jego życia, ale suma jest już czymś nowym. Bohater może być do niego podobny, ale nie musi”.¹¹

W jakim jednak stopniu Masternak jest swoim książkowym bohaterem i na ile autobiograficzne są to powieści? Wiele faktów ze swego życia pisarz pomija, część wymyśla (śmierć ojca-alkoholika), często wyolbrzymia i koloryzuje pewne zdarzenia. Ma to niewątpliwie wzmocnić dramatyzm utworów. „Bohater to w znacznej części ja. Opisuję to, co mi się przytrafia, albo o czym mi ktoś opowie. Ale to nie do końca autobiografia. Np. uśmierciłem swego ojca, a on miewa się znakomicie. Poza tym mam brata i siostrę, których w książkach nie ma.”¹² Nie ulega jednak wątpliwości fakt, że jego niestereotypowa postać literata-piłkarza i burzliwe życie świętokrzyskiego awanturnika, nawet jeśli momentami ubarwione, domaga się opisanego.

Sam Masternak jest postacią osobną na polskim rynku wydawniczym. Jako młody reprezentant literatury chłopskiej (choć Masternak nie do końca zgadza się z tą etykietą: „[Kazimiera Szczuka] oświadczyła nawet, że lubi bohatera *Niech żyje wolność*, czyli mnie. Ujrzała we mnie nowego przedstawiciela prozy nurtu chłopskiego, który zamiera. [...] Nie zgadzam się z tą etykietką, czego dowodem jest moja kolejna książka, *Scyzoryk*, wielkomiejski kryminał. [...] Akcja mojej kolejnej powieści rozgrywa się we Wrocławiu. Wiocha i jej mieszkańcy nazbyt mnie znudzili”¹³), a także autor i realizator niebywałej konwencji opisywania swego życia na bieżąco, nie znajduje porównania. „[...] nie lubię poetyki fragmentu. Lubię cykl, coś, co jest ciągłością. I chcę zrobić coś, co będzie dużą rozbudowaną strukturą. [...] Opowiadania tworzą powieści, a powieści tworzą podcykle np. *Pięć ksiąg młodości*”.¹⁴ Podzielił więc swoje życie na trzy etapy i planuje żyć dziewięćdziesiąt lat. Pierwszy etap ma za sobą. A także 5 tomów pierwszej księgi *Księstwa*. Zdobył uznanie krytyków, zaistniał w branży filmowej, z którą teraz stale współpracuje, pisząc scenariusze lub przekształcając na nie swoje powieści. Mimo, że nie zamierza porzucić literatury dla filmu, korzysta z zainteresowania, jakim cieszy się jego proza u filmowców: „Film to obecnie popularniejsza forma od literatury. Dlatego cieszy mnie, że moje książki i opowiadania są tak chętnie filmowane. Filmy przyczynią się do ich

11. Ibidem, s. 256.

12. <http://www.polityka.pl/kultura/rozmowy/249841,1,obserwujecie-siebie-niby-biolog.read>

13. <http://niedoczytania.pl/?p=72>

14. <http://niedoczytania.pl/?p=966>

9. P. Marecki, Barański. Przewodnik krytyki politycznej. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009, s. 249.

10. Ibidem, s. 252.

popularyzacji”¹⁵. Sprzyjają temu obrazowy sposób pisania, duża doza autentyzmu, za którą chwali Masternaka Barański, awanturniczy charakter jego prozy i poczucie humoru autora - wszystko to sprawia, że Księstwo jest bardzo wdzięcznym materiałem do adaptacji. „Te opowieści wciągają, wzruszają i bawią do rozpuku. Nie zdziwi się, jeśli rzucą się na nie scenarzyści i filmowcy” - pisał swego czasu literat Grzegorz Musiał.¹⁶ Jakość produkcji, które Masternak zainspirował, rośnie przy każdym kolejnym spotkaniu z filmowcami: począwszy od amatorskiej, poprzez nagrodzoną produkcję niezależną, do realizowanego przez cenionego reżysera i finansowanego przez TVP

15. <http://www.polityka.pl/kultura/rozmowy/249841,1,obserwujecie-niby-biolog.read>

16. <http://kielce.gazeta.pl/kielce/1,35254,4762052.html>

profesjonalnego filmu długometrażowego. A biorąc pod uwagę swobodny styl pisarza i ewolucję jego pozycji w filmowym świecie, może sobie zapewnić stałe miejsce wśród polskich scenarzystów.

Karolina Szymkiewicz

Bibliografia

1. Marecki Piotr, Barański. Przewodnik krytyki politycznej, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.
2. Masternak Zbigniew, Scyzoryk, Wydawnictwo Zysk i S-ka.
3. <http://www.kazimierzdolny.pl/>
4. <http://kielce.gazeta.pl/>
5. <http://niedoczytania.pl>
6. <http://www.polityka.pl>

Magdalena Górecka

Bołaczki ponowoczesności,
czyli świat według Vargi



Dyskurs dotyczący najnowszej literatury polskiej coraz częściej zostaje dziś sprzęgnięty z dyskusją na temat postmodernizmu. W obliczu zjawisk trudnych do ujęcia za pomocą tradycyjnych, dostępnych na gruncie rodzimej praktyki badawczej narzędzi i metod, rodzi się potrzeba skorzystania z pewnego rodzaju gotowego modelu, z koncepcji i terminów ukutych już na Zachodzie. Jednocześnie od razu napotykamy poważny problem, jakim jest trudność prostego przełożenia zdobyczy postmodernistycznych teoretyków na polskie realia. Wielu badaczy uważa, że postmodernizm nie ma u nas racji bytu ze względu na brak ku temu warunków (społecznych, cywilizacyjnych), innymi słowy, że na postmodernizm w Polsce jest jeszcze za wcześnie. Skonfrontowanie tych dwóch kierunków myślenia - próby adaptacji zagranicznych teorii dla problemów rodzimej literatury oraz swego rodzaju badawczej ostrożności i pragmatyzmu - powoduje narastanie sporów i polemik wokół zagadnienia „polskiego postmodernizmu”. Zarówno entuzjastów, jak i przeciwników zjawiska wciąż przybywa, tak więc można powiedzieć, że skrajne postawy się równoważą, a problem pozostaje nierozstrzygnięty. Próba wyjścia z tego impasu jest obecnie jedną z najbardziej

palących potrzeb polskiego literaturoznawstwa i bez wątpienia wymagać będzie odejścia od radykalizacji poglądów na rzecz znalezienia złotego środka, czy też wytyczenia jakiejś trzeciej drogi, spojrzenia na problem z innej perspektywy.

Być może nie należy traktować przejawów estetyki postmodernistycznej w polskiej literaturze jedynie jako efektu recepcji postmodernizmu zachodniego, ale także upatrywać ich źródeł w procesach i tendencjach wewnętrznych. Owszem, polska rzeczywistość została ukształtowana przez zupełnie inne doświadczenia, a opóźnienie cywilizacyjno-ekonomiczne kraju było faktem oczywistym i bezspornym. Jednak wydaje się, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat przepaść ta została w dużej mierze zasypana, a opresję systemu totalitarnego dosyć szybko zastąpiła opresja zupełnie nowego typu. Społeczeństwo wyzwolone spod jarzma komunizmu z radością przywitało nową epokę z jej liberalnymi dyskursami, i co istotne, niemal od razu wpadło w ich pułapki. Ponowoczesność stała się spełnieniem snu o wolności (społecznej, ekonomicznej, jednostkowej), tolerancji dla wszelkich różnic, nieograniczonego wyboru spośród dóbr i przyjemności. Jednocześnie zaś okazała się epoką deregulacji, relatywizmu i nieprzewidywalności, a co za tym idzie, epoką, która nie gwarantuje nikomu poczucia bezpieczeństwa. Jak twierdzi Włodzimierz Bolecki, postmodernizm jest estetyczną samoświadomością społeczeństwa.¹ Niezależnie od tego na ile pol-

1. Włodzimierz Bolecki, *Polowanie na postmodernistów (w Polsce)*, Kraków 1999

skie społeczeństwo świadome jest swojej sytuacji, pierwsze tego przejawy odnajdziemy w literaturze naszych czasów - literaturze, która jest już postmodernistyczna, gdyż wyrasta na gruncie wnikliwej obserwacji i namysłu nad rzeczywistością ponowoczesną.

Dowodów na to może nam dostarczyć proza Krzysztofa Vargi. Jego powieści w wielu miejscach stanowią doskonałą egzemplifikację problemów podejmowanych przez Zygmunta Baumana, który specyfikę nowej epoki zamknął w bardzo trafnym tytule: *Ponowoczesność jako źródło cierpień*². Porównując dwie perspektywy - socjologa, filozofa, badacza kultury oraz prozaika, który prawdę o rzeczywistości przekazuje za pomocą fikcjonalnego świata - łatwo dostrzeżemy, jak podobne są obie diagnozy, mimo że u Baumana ma ona wymiar uniwersalny, a u Vargi dotyczy konkretnie „naszego podwórka”. Świadomość społeczna w Polsce stopniowo ewoluuje w kierunku myślenia nowymi kategoriami, a współczesny Polak coraz częściej zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jest człowiekiem ponowoczesnym. Przyjrzyjmy się zatem utworom, które powyższą tezę potwierdzą i w sposób sobie właściwy zilustrują.

Krzysztof Varga jest przedstawicielem pokolenia, które wchodziło w dorosłość w szczególnym momencie historycznym - z chwilą upadku komunizmu. Kiedy wraz z kolegami siedł do swoich pierwszych wyborów, były to jednocześnie pierwsze wolne wybory w Polsce. Pisarz przeniósł te doświadczenia do najnowszej powieści pod tytułem *Aleja Niepodległości*³, czyniąc bohaterów swoimi rówieśnikami. Historia życia czterdziestoletniego Krystiana Apostaty i jego przyjaciela Jakuba Fidelisa jest zatem diagnozą pewnego okresu w historii Polski, naznaczonego szybkimi przemianami w sferze społecznej i kulturowej - przemianami, które nieuchronnie prowadzą ku ponowoczesności.

Początek lat dziewięćdziesiątych staje się momentem przełomowym, sprawdzianem zaradności i sprytu bohaterów oraz umiejętności dokonywania właściwych wyborów (autor określa ich generację jako „pokolenie wsadzonych na siodło”). Jakub Fidelis realizuje ponowoczesny imperatyw maksymalnego wykorzystania swojej szansy, doskonale odnajduje się w nowej rzeczywistości, potrafi błyskawicznie dostosować się do praw rządzących rynkiem i medialnym światkiem. Jako

„pierwszy tancerz Rzeczypospolitej” zostaje gwiazdą kultury masowej i do końca życia pozostaje „wierny” jej zasadom. Krystian zaś przeciwnie, staje się „odstępca” od nowego stylu życia i popkulturowego szalu. Apostata, jako niszowy i w dodatku niezbyt zdolny artysta, pozostaje poza nawiasem życia kulturalnego, a jako jednostka niezdolna do konsumpcyjnej zabawy - także na marginesie życia społecznego.

Krystian stanowi nie tylko exemplum życiowego nieudacznika, jego sytuacja wyraża także ogólną kondycję człowieka ponowoczesnego. Bohater gubi się w nowej rzeczywistości, jest coraz bardziej wyobcowany ze środowiska, w którym się wychował, a które zmienia się w przestrzeń sztuczną i nieprzyjazną: *W tym mieście wszystko coraz szybciej traciło kształty i swoistość, stawało się płynne, magmowate i glutowate. Miasto znikało pod plastikowym oceanem, stawało się jednym wielkim billboardowym rzygiem.* (s. 93)

Wobec takiego stanu rzeczy, Apostata prawie nie opuszcza starego Mokotowa - to dla niego ostatni bastion dawnej Warszawy, przestrzeń oswojona, bezpieczna. Całe dnie spędza, upijając się samotnie w swoim mieszkaniu, które traktuje jak azyl. Zresztą nie tylko otoczenie jest dla niego obce, obcy są także ludzie. Krystian nie nawiązuje z nikim normalnych relacji, i jak się wydaje, nie wynika to jedynie z cech jego osobowości, ale przede wszystkim z kondycji społeczeństwa, w którym związki międzyludzkie ulegają coraz poważniejszemu rozluźnieniu czy wręcz zatarciu. Bohater postrzega Warszawę jako miasto wirtualne, a ludzi jako postaci z *Simów* (s. 149), jako swego rodzaju awatary, namiastki ludzkiego istnienia. Varga zresztą sugeruje tę sztuczność także za pomocą nadania bohaterom nazwisk znaczących: oprócz Krystiana Apostaty i Jakuba Fidelisa występuje także Kasia Kabotyn, Iwo Miser czy Maniek Prudens. Dzięki takiemu zabiegowi uzyskuje wrażenie, jakby świat przedstawiony w powieści nie był zamieszkały przez żywych, zindywidualizowanych bohaterów, ale przez sztuczne, stypizowane postacie, które rozpoznajemy za pomocą etykiet im przypisanych. Jest to z jednej strony postmodernistyczna zabawa z konwencją, a z drugiej - pokazanie pewnej prawdy o świecie, zwrócenie uwagi na to, jak powierzchowne są dziś nasze relacje z drugim człowiekiem, jak uproszczona i zbanalizowana wiedza o nim.

Krystian rezygnuje zatem z jakichkolwiek relacji, a jedynym substytutem kontaktu z żywą osobą stają się dla niego rozmowy z telemarketer-

2. Zygmunt Bauman, *Ponowoczesność jako źródło cierpień*, Wyd. SIC!, Warszawa 2000

3. Krzysztof Varga, *Aleja Niepodległości*, Wyd. Czarne, Wołowiec, 2010

ką, miłość i bliskość fizyczną zastępuje mu natomiast internetowa pornografia. Zamiast naturalnej więzi z człowiekiem funduje sobie więc kontakt za pośrednictwem, czyli wariant bezpieczniejszy, niewymagający zaangażowania i poświęceń, pozbawiony ryzyka i uczuciowych komplikacji. Ucieczka od ludzi to w otoczeniu Krystiana dość powszechny sposób na życie - podobnie postępuje jego sąsiad, pan Grześ, którego jedynym przyjacielem staje się bezdomny pies. W świecie ponowoczesnym nic nie jest trwałe, a związki międzyludzkie już chyba najmniej, i potrzeba wielkiego wysiłku, aby je pielęgnować i chronić przed rozpadem. Bohaterowie jednak nie są w stanie takiego wysiłku podjąć, wybierają życiową pustkę, którą łatwo zagospodarować namiastkami spełnienia.

Jakub Fidelis, jako człowiek sukcesu, teoretycznie znajduje się na przeciwnym biegunie, jego życie po brzegi wypełnione jest wrażeniami, na co dzień spotyka się z uwielbieniem tłumów, zainteresowaniem mediów. Ma wszystko to, czego brakuje Krystianowi - pewność siebie, pieniądze, sławę i piękną kobiety. Jego postać skonstruowana jest według ponowoczesnego modelu kolekcyjnera przeżyć. Żyje intensywnie i z dnia na dzień, jego związki rozpadają się na serię przypadkowych spotkań i interakcji, a jego plany mogą w każdej chwili zmienić się w zależności od wymogów rynku. Ogromna elastyczność, jaką się charakteryzuje, sprawia że utrzymuje się na powierzchni medialnej popularności przez nieprawdopodobnie długi czas. Nawet pomysł założenia rodziny podporządkowany jest karierze i dbałości o wizerunek. Fidelis, jako gwiazdor i celebryta, wie, że życie atrakcyjne lecz w gruncie rzeczy nie mniej puste niż żywot Apostaty. Jego, nazwijmy to „działalność artystyczna”, nie przedstawia żadnej wartości, jest produktem kultury masowej w jej najgorszym wydaniu. O ile Krystian, mimo swej niezaradności, wciąż dąży do jakiegoś celu, marzy o stworzeniu dzieła życia, o tyle Jakub nie ma żadnego ambitnego planu, rozmienia się na drobne, „używając” swojej twarzy coraz banalniejszym programom rozrywkowym.

Jego kariera jest dowodem na szerzący się w dzisiejszej kulturze kicz i miałość, rosnące zapotrzebowanie na rozrywkę i sensację, na sztukę mierzoną rozgłosem. Następuje przesunięcie akcentu z twórcy na odbiorcę - to społeczeństwo masowe dyktuje warunki współczesnej kultury, a robi to nieudolnie. Wolność, pluralizm poglądów i rozmiłowanie w różnorodności sprawia, że nikt już nie wie, co jest piękne, a co brzydkie, co dobre, a co złe, co wartościowe, a co nie. Ludziom epoki

ponowoczesnej brakuje autorytetów i drogowskazów, rządzi tylko jedna zasada - relatywizm we wszystkich dziedzinach życia.

Jednym z wymiarów dzisiejszej niepewności, jak pisze Bauman jest niezdeteterminowanie i nietrwałość świata, świadomość, że wszystko się może zdarzyć, i że zdarzyć się może bez zapowiedzi. W *Alei Niepodległości* pogląd ten wybrzmiewa z całą mocą dzięki zastosowaniu przez pisarza pomysłowej kompozycji. Utwór otwiera scena, w której czterdziestoletni Krystian Apostata znajduje się na pokładzie samolotu i autor od razu informuje nas, że bohater za chwilę zginie w katastrofie. Dlatego też w toku dalszej lektury przez cały czas odbieramy tę postać jako z góry przegraną, tragiczną. Natomiast Jakuba Fidelisa, który jawi nam się jako osoba urodzona pod szczęśliwą gwiazdą, autor uśmierca na ostatniej karcie powieści. Chronologicznie jednak obaj giną niemal w tym samym momencie i podobnych okolicznościach (Fidelis ma wypadek samochodowy). Ta druga śmierć jest zaskakująca, nieprzystawalna do schematu, jaki autor sugeruje od początku utworu. Varga, bawiąc się czytelnickimi oczekiwaniami, daje do zrozumienia, że świat co chwilę przeraża swoją nieprzewidywalnością.

Ponowoczesne zgryzoty jeszcze wyraźniej widać w powieści *Nagrobek z lastryko* z 2007 roku.⁴ Autor skonstruował ten utwór w oparciu o niezwykle koncept - opowieść o naszych czasach włożył w usta człowieka z przyszłości, Dominika Fratnerskiego, żyjącego w drugiej połowie XXI wieku, w VI Rzeczpospolitej. Narrator jest nityczym archeolog odtwarzający historię swojej rodziny na podstawie odnalezionych rekwizytów przeszłości. Skupia się przede wszystkim na małżeństwie dziadków - Anna i Piotr Paweł Frattnerowie żyją na przełomie wieków, a ich rzeczywistość to świat ponowoczesny w pigułce.

W tym utworze bolesna diagnoza współczesności dotyczy głównie rodziny i stosunków międzyludzkich. Dzieje Anny i Piotra Pawła to dramat niedobranego i niekochającego się małżeństwa. Ludzie ci są lub w pewnym momencie stają się sobie zupełnie obcy. Piotra Pawła nie interesują sprawy rodzinne, stara się uciekać od wszelkich problemów, Anna natomiast jest wobec męża ostentacyjnie ośchła, traktuje go z wyższością, a gdy ten stoi już nad grobem, bez jakichkolwiek skrępowań wyjaśnia mu, że zawsze go nienawidziła i że nie zamierza nawet przyjść na jego pogrzeb.

4. K. Varga, *Nagrobek z lastryko*, Wyd. Czarne, Wołowiec 2007

W ich relacjach najbardziej zdumiewające jest to, że uczuciowa porażka i zupełny brak emocji pozostaje bez wpływu na trwałość i funkcjonowanie rodziny w wymiarze praktycznym. Bohaterowie przez całe życie mieszkają pod jednym dachem i jak gdyby nigdy nic wykonują codzienne czynności i obowiązki. Rodzina jest tu swego rodzaju pustym i pozbawionym sensu schematem - każdy ma swój przydział, rolę, którą odgrywa bez przekonania. Owocem tego dziwnego związku jest jeszcze dziwniejsze dziecko - Zuzanna, która nie przejawia potrzeb fizjologicznych, a także pozbawiona jest emocjonalności. To dziecko-cyborg, obojętny na wszystko mały perfekcjonista, produkt swojej epoki.

Varga opisując trzy pokolenia Frattnerów zwraca uwagę na postępujący rozkład podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina, i tym samym wskazuje kierunek, w jakim zmierza ludzkość. Losy bohaterów stanowią równie pochyłą: zła rodzina (Anna i Piotr Paweł) - pół rodziny (Zuzanna z synem) - brak rodziny (samotny Dominik) - nicość (samobójcza śmierć Dominika). Ta historia jest jednocześnie niewesołą prognozą dla świata, przykładem, który odzwierciedla problem narastający w skali globalnej.

Jak już było wcześniej wspomniane człowiek ponowoczesny żyje z dnia na dzień, traktując życie jako „serię nagłych potrzeb i ewentualności”: *Rozsądek wymaga, by nie rzucać wszystkiego na jedną szalę, by nie traktować życia jak całości, jak jednego meczu o olbrzymiej i ogromnie kosztownej stawce - by raczej podzielić życie na wiele małych i szybko rozgrywanych meczów, w jakich niewiele się ryzykuje.*⁵

Bohaterowie Vargi nie mają w życiu istotnego celu, skupiają się więc na codziennych, prozaicznych czynnościach. U Piotra Pawła przybiera to wręcz postać obsesji - potrafi godzinami robić zakupy, poszukując najlepszych promocji lub kilkanaście razy na dobę myć zęby różnymi pastami, podporządkowując temu cały plan dnia. Świat ponowoczesny wyżyty wielkich idei, oferuje ludziom jedynie szeroki wachlarz przyziemnych, konsumenckich przyjemności. Aby móc sobie na nie pozwolić, trzeba jednak wiele poświęcić. Piotr Paweł, pracownik średniego szczebla w wielkiej korporacji, zmuszony jest pracować jak maszyna, co z czasem doprowadza do całkowitej automatyzacji jego działań. Mózg człowieka zaczyna funkcjonować jak sztuczna inteligencja, bohater jest w stanie zapamiętać wszystkie ha-

śła, kody dostępu, loginy, numery kont itp., a nie pamięta narodzin własnego dziecka - pewnego dnia po prostu zaskakuje go widok małej Zuzanny, której do tej pory w domu nie zauważył. Ludziom ery konsumpcjonizmu doskwiera deficyt wolnego czasu: *Wciąż głodni czasu, przejeżdżeni niedoczasem, zapychali się fast foodami wolnych chwil łapanych w biegu, między jednym zajęciem a drugim. Aby w przyszłości mieć więcej czasu, w teraźniejszości więcej pracowali. Starali się lepiej zarabiać, aby kiedyś móc wydawać pieniądze na mający nadejść czas wolny. Wyczekiwana paruzja czasu jednak nigdy nie następowała. Ponieważ nauczyli się, że wszystko jest do kupienia, sądzili, że czas także sprzedaje się w ładnych pudełkach i pakuje do firmowych toreb, papierowych, bo ekologicznych i eleganckich jednocześnie.* (s. 10-11)

Czas uciekający przez palce motywuje do desperackiego zbierania wrażeń, kolekcjonowania i utrwalania ich za pomocą sztucznej pamięci - „nieśmiertelnego sobowtóra ludzkości”, „elektro-nicznego odpowiednika portretu Doriana Graya”⁶: *Ci, którzy nie potrafili zrobić nic ze swoim życiem - a wtedy już nikt nie potrafił - robili tysiące zdjęć, kasowanych później setkami, jakby rozgniatali komary na rękach. To, co nie zostało rozgniecione, kopiowali do komputerów i rozsyłali e-mailami do dziesiątek znajomych, bo przyjaciół już nikt nie posiadał. Robili to z mormońskiej chęci skatalogowania utraconych losów wszystkich ludzi, zwierząt i przedmiotów dookoła. Nigdy jeszcze nieśmiertelność nie była tak dostępna i krótka zarazem jak wtedy.* (s. 44)

Świat ponowoczesny opierający się na wolności, różnorodności i chaosie nie jest światem stabilnym i trwałym, jest labilny i nieprzewidywalny. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest utrata poczucia bezpieczeństwa. Ludzie zamykają się w swych mieszkaniach na strzeżonych osiedlach, powszechna niepewność i nieufność każe im izolować się od bliźnich. W powieści Vargi mieszkańcy Warszawy nie mają przyjaciół, nie znają swoich sąsiadów, prawie nie wychodzą z domów, traktując je jak areszty, a swe samochody jak „twierdze na kółkach”. Do tego dochodzi jeszcze niepewność jutra. Jak pisze Bauman, świat pozbawiony widocznej struktury i logiki przeraża nieprzewidywalnością możliwości, a jedną z podstawowych obaw jest groźba wybuchu kolejnych konfliktów i wojen. Ten czarny scenariusz znajduje swą realizację w *Nagrobku z lastryko*.

5. Z. Bauman, dz. cyt.

6. Z. Bauman, dz. cyt.

Około roku 2022 wybucha wojna. Nieznane są jej przyczyny, nie wiadomo kto kogo zaatakował i jakie w ogóle są strony konfliktu. Autor celowo unika uwikłania tego wydarzenia w jakikolwiek kontekst polityczno-historyczny, ponieważ jest to bez znaczenia. Chodzi o pewne uogólnienie, uniwersalny konstrukt wojny, która tak naprawdę może się rozpocząć w każdym miejscu i w dowolnym momencie, gdyż jest logiczną i nieuniknioną konsekwencją ponowoczesnego chaosu.

Przebieg walk opisany jest w taki sposób, aby ukazać, że chaos i absurd osiągają tu swoje apogeum. Powstanie w Warszawie upada po kilkudziesięciu godzinach, ponieważ zbyt długo trwa konkurs na dowódcę, procedura biurokratyczna jest bardzo skomplikowana, a komisje przetargowe nie mogą ustalić harmonogramu walk w poszczególnych dzielnicach. W pierwszej godzinie nalotu zostaje zbombardowane dziesięciotysięczne zgromadzenie powstańców tłoczących się na Starówce i próbujących ustalić, w którą stronę maszerować. W wojennej rzeczywistości niezachwiane pozostają jednak prawa rynku: *Jedyną sprawną służbą w mieście okazali się agenci ubezpieczeniowi, w pocie czoła, lecz nie rozluźniając krawatów, wyciągający spod gruzów umierających i podwyższający im składkę ubezpieczeniową na życie i od nieszczęśliwych wypadków. Z przykrością zawiadamiamy, że pańskie ubezpieczenie nie obejmuje zaistniałego przypadku poniesienia szkody na skutek detonacji samonaprowadzającego się pocisku manewrującego (...) Proszę tutaj podpisać, może być lewą ręką, skoro prawa panu urwało, natomiast prosiłbym o to, aby podpis był możliwie najbliższy oryginału i poświadczony przez notariusza (...)* (s. 206) *Za bombowcami leciały samoloty ciągnące banery z napisem: „Bombardowania sponsoruje konsorcjum firm zbrojeniowych Zbrojmaszbomb, producent niezawodnych systemów precyzyjnego ataku za pomocą laserowo naprowadzanych pięćsetkilogramowych bomb lotniczych”. A po chwili na grunty spadał deszcz ulotek. „Zbieraj bombowe punkty miłości i wygrывaj bez ograniczeń wycieczki do obozów pracy”.* (s. 323)

Świat po wojnie jest już światem znanym narratorowi z bezpośredniego doświadczenia. To ponowoczesny śmietnik, targowisko w dosłownym tego słowa znaczeniu - na powojennych zgłiszczach w centrum Warszawy wyrasta wielki bazar, wokół niego wznoszą się najróżniejsze, niepasujące do siebie budynki - powstaje „miasto tysiąca twarzy”. Specyficznym aspektem pluralizmu staje się rozmycie tożsamości, także tożsamości czło-

wieka. Dominik Fratnerski jest pozbawiony swojego miejsca na ziemi, przeprowadzając się do kolejnych mieszkań, za każdym razem wchodzi w buty poprzednich właścicieli, zakłada nową maskę, by za jakiś czas znów ją zmienić. Jego świat jest brzydki, biedny i zniszczony, a nade wszystko - okrutny i niebezpieczny. Nad Polską po raz kolejny w historii zawisa groźba opresji ze strony nie nazwanego systemu terroru. Bohater zobojętniały na wszystko, choć raz chce poczuć, że ma kontrolę nad swoim życiem - przejawem tej mocy staje się zabójstwo dwojga bezdomnych. Satysfakcja z tego czynu jest jednak pozorna i ulotna. Dominik Fratnerski ostatecznie postanawia zakończyć swój nieudany żywot.

Zastosowanie perspektywy przyszłości pełni w powieści podwójną funkcję. Po pierwsze Varga pokazuje nam, w jaką stronę zmierza świat i jaki los gotujemy naszym „późnym wnukom”. Po drugie zaś, otrzymujemy wizję obecnej rzeczywistości w pigułce, historię naszej epoki, którą ktoś za kilkadziesiąt lat mógłby przeczytać w encyklopedycznej notatce. To, co według autora po nas pozostanie, nie przedstawia się zachwycająco. Znakiem naszych czasów staną się gazetki z hipermarketów i torby z markowych butików (obiekty kolekcjonerskiej pasji pokolenia Dominika), a także tytułowy nagrobek z lastryko - najzwyklejszy i najtańszy rodzaj pomnika - symbol epoki zdominowanej przez bylejąkość, sztuczność i tandetę.

Krzysztof Varga w swojej twórczości zdobywa się na wnikliwą obserwację otaczającej go rzeczywistości oraz dojrzałą refleksję, dzięki której udowadnia, że jest aż do bólu świadomy swej sytuacji jako człowieka ponowoczesnego. Współczesny świat może dać nam niemal wszystko, czego zapagniemy. Problem w tym, że coraz częściej pragniemy tego, czego zapewnić nam nie może - bezpieczeństwa, poczucia stabilności, jasno wytyczonych granic między dobrem a złem, jednoznacznych zasad, niezbywalnych wartości, naturalności, prawdy... Zmiana priorytetów świadczą o tym, że zaczynamy kontestować rzeczywistość ostatnich lat, poddajemy w wątpliwość korzyści płynące z nieograniczonej wolności, dostrzegamy pułapki liberalnych i kapitalistycznych dyskursów, czujemy zażenowanie na myśl o miałości kultury, którą współtworzymy.

Być może fakt, że żyjemy w epoce ponowoczesnej należałoby wreszcie uznać za oczywistość.

Magdalena Górecka



Ponad osiemset stron Dukaja znów przed czytelniczymi oczami. Po „Lodzie” i „Wrońcu” przyszedł czas na „Króla Bólu”. Ten zbiór nowel i opowiadań miał się, w założeniu, ukazać już pięć lat temu, ale autor, jak sam w postscriptumie wyjaśnia, stracił kontrolę nad „Lodem”, który planowany jako element zbioru, rozrósł się do epickich rozmiarów, usamodzielniał się również do osobnej opowieści „Wroniec”.

„Król Bólu” to tzw. przekrójowiec, którego linie biegną przez osie czasu, tematyki i stylu. Czytając tę książkę, możemy prześledzić proces stawania się pisarza - od beniaminka fandumu, do człowiek postaci współczesnej polskiej prozy.

Na początku są dwie, nigdzie dotąd niepublikowane, datowane na 2010, obszerne nowele, albo jak kto woli - minipowieści - „Linia oporu” i „Oko potwora”. Dalej napotkamy jeszcze dwie premiery - tytułowego „Króla Bólu i pasikonika” oraz „Piołunnika”, oba teksty ukończone przed pięcioma laty.

Bohater „Linii oporu”, Paweł Kostrzewa jest „kreatywnym”, tyra w korporacji na odcinku generowania nowych idei. *Jedyny biznes w nieskończoności: produkcja sensów życia. My je produkujemy. My dla was. Żebyście nie zatopili w nolensum.* Nolensum to zalewający postindustrialne informatyczne społeczeństwo obfitości uwiad woli wynikający właśnie z głębokiej erozji poczucia sensu egzystencji. Sam Kostrzewa też musi z nią walczyć. Rzecz dzieje się w Polsce niezbyt odległej przyszłości, bo żyją jeszcze ludzie-relikty czasu który rozpoznajemy jako naszą współczesność. Gwałtowna technologiczna akceleracja mocno spolaryzowała jednak populację, więzy międzypokoleniowe zostały radykalnie zerwane. *Dawniej trzeba było wieków. Teraz jedno pokolenie nie zobaczy przez lunetę następnego pokolenia. Sąsiad sąsiada.* Ci, którzy nadążają za technopostępem są umysłowo zaangażowani w życie w przestrzeniach wirtualnych generowanych przez turbosieć przyszłości - Ducha. Tam spotykają się i pracują, poddają się rozrywkom lub uczestniczą w grach imitujących realne światy. Pozostali trzymają się rzeczywistości podstawowej - „gnoju”, albo dlatego że środowisko VR jest dla nich zupełnie obce, albo są fundamentalistami realu i kontestują cywilizację

cyfrowego autyzmu ze względów ideowych. Wierni czytelnicy Dukaja znają już ten motyw choćby z „Extensy” czy „Perfekcyjnej niedoskonałości”, przewijał się i w innych jego opowieściach, w dużym stopniu stanowiąc o ich intelektualnej atrakcyjności, bowiem ten problem w całej różnorodności swoich aspektów jest jednym z kluczowych zagadnień współczesności. Rzecz nie tylko w rosnącym wpływie VR na kulturę, ekonomię czy politykę, ale w ich stopniowym przemieszczaniu się w obręb rzeczywistości wirtualnej. Dukaj uważnie obserwuje trendy rozwojowe w obszarze kultury i technologii, ich wzajemne interakcje, ekstrapoluje ich możliwe i prawdopodobne konsekwencje, budując swoje literackie wizje. Wydaje się jednak, że odwrócił porządek epistemologiczny, opowiada nam o naszej współczesności nie przez odwoływanie się do doświadczeń minionych, ale tych, które dopiero nas czekają. Istotą tego paradoksu znakomicie ujmując konceptem archeologii transastralnej jego powieść z 2002 roku „Córka łupieżcy”. W „Linii oporu” koncentruje się na zagadnieniach aksjologicznych. Jakiego nowego typu siatki odniesień wartościujących pozwolą człowiekowi zwirowizowanemu, oderwanemu od realu i tradycyjnych norm obyczajowych kultur, co wyrosły na jego gruncie, nie zawisnąć w moralnej nieważkości, odnaleźć TARCIE, OPÓR, niezbędny by mogła przejawiać się WOLA. Albowiem kultura nowej epoki, wyrastająca i rozwijająca się w środowisku wirtualnym, również umysł i ciało człowiecze potraktuje jako swoją treść, podporządkowując własnym regułom, które sceptykom wydawać się mogą BRAKIEM reguł. W świecie tej opowieści - *...konserwatysta to nie jest ten, kto się trzyma starych wartości - ale ten, kto się trzyma JAKICHKOLWIEK wartości. (...) Bo czemu służy całe nasze oprogramowanie kulturowe, cywilizacyjne, społeczne? Przełamaniu ograniczeń materii. Ale gdy te ograniczenia znikają - znika tarcie - znika grawitacja.* Kreatyw Kostrzewa już kuma na czym ma polegać jego zadanie - *Żeby im zaprojektować nowe człowieczeństwo, nowe PO CO. A najęci celebryci wciągają w nie ludzkość krok po kroku.* Czyli wykombinował jakieś syntetyczne bariery ontologiczne do przełamania, krąg się zamyka. Pewien potentat, człowiek starej daty, filantrop-przedsiębiorca, dając Kostrzewie to paradoksalne zlecenie, wciąga go tym samym w *SPISEK EGZYSTENCJALNY*. Terenem działania mają być niepodległe wsobne światy cyfrowe, działające na zasadzie MMORPG (Massively Multiplayer Online Role Playing Game), przy czym światy te mają w założeniu mieć

szkatułkową strukturę ruskiej baby, hierarchicznie się w sobie mieścić. *Nowe człowieczeństwo jest grą swobodną. (...) Człowiek nie jest przedmiotem gry. CZŁOWIEK JEST GRĄ.* Cała ta opowieść, ze swoim wysmakowanym literackim sztafażem, jest kolejnym wariantem Dukajowych manifestów transhumanistycznych. Uczy, bawi, zachwyca i prowokuje do sprzeciwu albo pełnej nadziei afirmacji. A zatem cel misji Kostrzewy został osiągnięty - czytelnik jest doraźnie uwolniony od „nolensum”.

Po tej rozgrzewce zwojów mózgowych, „Linia oporu” zmusza bowiem do maksymalnej koncentracji umysłowej, dostajemy „Oko potwora” (2010), opowieść grozy o pięknie. Załoga układowego frachtowca „Behemot V” musi zmienić kurs, by ukryć się za planetoidami przed promieniowaniem burzy słonecznej. Tak zawiązuje się intrygująca intryga, bowiem pachnąca sabotażem awaria kalkulatora nawigacyjnego zmusza statek do zmiany kursu. Obwody kalkulatora zostały przy naprawie niechlujnie zlutowane, a więc już wiemy, że utwór należy do konwencji okołosteampunkowej. Owoż w rejonie pasa asteroidów, ku któremu kieruje się „Behemot”, znajduje się pono zagadkowy obiekt-legenda. Astromancer. Jakieś nieludzkie, inteligentne nie wiadomo co. Kontakt z tym czymś może być lukratywny, bo to coś ma coś wspólnego z tzw. kosmo-artem, nowym modnym, prądem w sztuce, zaryzykuję określenie go nazwą paleoprotoultrakosmomodernizmem. Prowadzący śledztwo w sprawie sabotażu, pokładowy Doktor ucina sobie pogawędkę z Pasażerem na temat piękna i tego, jak poczucie estetyki ewoluowało razem z rodzajem ludzkim. Stopniowo załoganci uświadamiają sobie o jaką pulę toczy się gra, Pasażer, koneser i kolekcjoner kosmo-artu wiedział to od początku. Chciwość, lęk, nieufność, wreszcie otwartości konflikt i spotkanie z Astromancerem. Powraca problem sensu, tym razem próba rozwikłania go idzie innym torem - *Na czym nakręcać się będą żywoty pokoleń, co napędzi ich ducha, jaki motor da moc dziejom człowieka, po co mielibyśmy w ogóle żyć, co nam pozostanie, co, co, co? Nie miał problemu z ripostą.* - *Sztuka.* Opowiadanie rozpoczyna cytata z „Terminusa”, ten tytuł nosi najlepszy tekst z tomu „Opowieści o pilocie Pirxie”. I w stylu narracji oraz klimacie grozy jest podobieństwo obu opowiadań, Lemowego i Dukajowego, i tak samo nierozwikłana pozostaje niedająca spokoju tajemnica. *Jest bestia wszystkożrąca, rozkraczona pośrodku chaosu, chaos wydala ją - i widać ją drogą, wiadać stąd on przychodzi, gdy już nie może nadejść ścieżką mózgową - z obłędu - Postępie!*

Historie pomieszczone w „Królu Bólu” nie są ułożone chronologicznie, trzecia z kolei, „Szkoła” (1995), to relik, rzecz powstała w czasie, kiedy talent Dukaja nabierał rozpędu i szukał właściwych sobie form. Jest to opowieść o bezprizornym nastolatku z faweli, którego porywa mroczna agenda rządowa do rzekomej szkoły, co okazuje się w istocie eksperymentalną okaleczarnią, gdzie młodych ludzi poddaje się chirurgicznym modyfikacjom cielesności i dziwacznym treningom mentalnym, tak by byli zdolni, przeteleportowani do innych systemów gwiazdnych, do nawiązywania kontaktów z obcymi cywilizacjami. Dostrzec w tym można załączek zainteresowania autora kwestiami związanymi z autoewolucją i transhumanizmem, który to załączek tak efektownie z czasem się rozwinął w dojrzałą już literacko formie. Język tej opowieści jest zaledwie poprawny, niemal przezroczysty, nie ma w nim jeszcze tego, co uczyniło prozę Dukaja tak charakterystyczną - swobody kreowania neologizmów i eksperymentowania ze składnią, no i subtelnej a zawrotnej gry estetycznej z wyobraźnią czytelnika, tu monotonne epatowanie opisami brutalności, bestialstwa, nieprawości i rozpacz. *Gdyby nie ból rozdartej skóry odbytu i rwanych przy każdym kroku skrzepów krwi - nigdy nie dałbyś się złapać okularnikowi.* Zaletą tego tekstu jest, że stanowi punkt odniesienia, pozwalający ocenić czytelnikowi jak daleką drogę przeszedł autor od - nomen omen - „Szkoły” do dzieł klasy „Perfekcyjnej” czy „Lodu”.

Tym większe, prawem kontrastu, jest zaskoczenie kolejną opowieścią, nowelą „Król Bólu i pasikonik” (2005). Zaczyna się od kapitalnego zdania - *Owey nocy w ogrodzie Króla Bólu zakwitł pies.* Tym razem zostaje nam opowiedziany świat formowany przez wszechobecną inżynierię genetyczną. Granice państwowe wyznaczają w nim bariery określające zasięg lokalnie utrzymywanych homeostaz genetycznych. Genetyczną odchyłką od ludzkiego standardu, tzw. Chimerykiem, jest również bohater tej historii, tytułowy Król Bólu. Jego niestandardowość objawia się nadzwyczajną plastycznością umysłu, będącą pochodną specyficznej fizjologii mózgu. Z tego też powodu chimeryków o podobnych właściwościach nazywa się „plastusiami”. Ceną za owe wyjątkowe możliwości umysłu jest permanentny ból towarzyszący plastusiowi, a efektem - nienasycony głód informacji i umiejętność ich nieszablonowego, twórczego, porządkowania. W tym sensie postać ta jest podobna do postaci kreatywa Kostrzewy z „Linii oporu”, obaj dysponują ponadnormatywnie kreatywnymi umy-

ślami. Ten dar to w dwupaku - błogosławieństwo i niedola. Dzięki niemu zdobywa się nieosiągalne dla innych możliwości, ale inni, czasem niebezpieczni gracze, mają mocną pokusę ovladnięcia plastusiem, by wykorzystać jego wyjątkowe zdolności. Plastuś musi przeto mocno gimnastykować swój supermózg, by zachować osobistą suwerenność. Podobnie i w warstwie fabularnej znajdujemy w obu nowelach analogie, wątek rycerza ruszającego na ratunek bezbronnej białogłowie, która z własnej woli pakuje się w tarapaty. W „Linii...” znajoma Kostrzewy, Krysia, nie wytrzymała naporu nolensum i postanowiła trwale zzuć gorset tyranii wolności, sprzedając się na aukcji dominatorowi BDSM. W „Królu...” zaś generującą problemy niewiastą jest siostrzenica Kostrzewy, Janka, dla odmiany hiperaktywistka, która skumała się z bioterrorystami latynoamerykańskich anarkii. Ale po kolei. Wojna z terrorem została przegrana, kiedy upowszechniła się do poziomu garażowego laboratorium inżynieria genetyczna pozwalająca na domową produkcję biologicznych broni masowego rażenia. Wobec widma powszechnej zagłady, kolejne rządy gięły się przed groźbami terrorystów. Po kolei znikają państwa w Ameryce Południowej, wypierane przez lokalne anarkie, para- albo protopaństwowe organizmy, których konstytucjami są ideologie, głównie odnoszące się do rozmaitych projektów postulowanych dróg autoewolucji. Spórą część kontynentu pokrywa „dżunkla” - obszar kompletnego chaosu genetycznego, kto pamięta genialne, niezrównane, opisy „perwersji” z „Innych pieśni” będzie wiedział o co chodzi. Nie ma w znanej mi współczesnej prozie polskiej autora, który by choć zbliżył się do Dukajowej perfekcji opisów wylaniania się z chaosu efemerycznych form, te obrazy i umiejętność ich plastycznego uchwycenia, to metapoezja przejmująca bez pytania o zgodę stery czytelniczej wyobraźni, to, mówiąc wprost, kognitywistyczny terror, skoro już zagadnienia związane z terrorem omawiamy. Zawsze, czytając Dukaję, czekam na te momenty. To znak firmowy autora, obok, również gwarantowanego, poważnego dyskursu o kwestiach fundamentalnych. Tak szerokopasmowo usatysfakcjonować czytelnika potrafił z naszych autorów chyba tylko Lem. Nie da się uniknąć zestawienia obu tych gigantów. Przewagę Lema nad Dukajem widzę w tym - Lem potrafił, kiedy chciał, rozśmieszać do łez i bólu przepony, nie trywializując, a przeciwnie, pogłębiając tym dyskurs, to cecha niewybitniejszych. Był też niezrównanie wydajnym generatorem pomysłów, który bez szkody dla ich

wielowymiarowego przedstawienia, potrafił posługiwać się lakoniczną formą, jak choćby w „Próżni doskonałej” czy „Wielkości urojonej”. Przewaga zaś Dukaja nad Lemem polega na większej finezji literackiego warsztatu, przejawiającej się w złożoności psychologicznej konstrukcji postaci i sugestywnym obrazowaniu monumentalnych wizji fantastycznych światów, od drobnych detali do rzutów perspektywicznych. Obaj brali się w swojej prozie za tematy zasadnicze - prawdę, wolność, granice poznania, ontyczną naturę rzeczywistości, cywilizacyjne skutki technologicznego przyspieszenia, moralne dylematy z nich wynikające, płynną granicę człowieczej tożsamości, itd. Odsłaniali nieoczekiwane aspekty tych zagadnień, wypełniając je aktualizującymi apgrejdami, w oparciu o nowe dane z badań podstawowych i analizę ich możliwych technoaplikacji. Obaj wytrwale drążyli Tajemnicę. Z szacunkiem dla czytelnika, przedstawiając różne warianty argumentacyjne dla rozmaitych hipotez projektujących rozstrzygnięcia kwestii, zostawiali mu swobodę wyboru, pole dialogu, dające jeszcze jedną fantastyczną iluzję - rozmowy z mistrzem. W tym także autor „Perfekcyjnej niedoskonałości” góruje nad autorem „Solaris” - że jego pisarska praca trwa, a dotychczasowa akceleracja daje nadzieję na utwory, co będą przekraczały kolejne, przez niego samego ustawiane progi, ci zaś, którzy zechcą dołączyć się do konkurencji, nie będą mogli ich zignorować. Tak więc - sztafeta, której Lem Wielki nadał wysokie tempo, jest z powodzeniem kontynuowana.

„Aguerre o świecie” (2000) to dość zręcznie napisana historia schizmy w łonie cechu, a może raczej zakonu, zaginaczy czasoprzestrzeni, których zdolności teleportacyjne są wykorzystywane do ekspansji cywilizacji w odległe rejony galaktyki. Ten koncept stanowi rozwinięcie motywu wykorzystania ludzi o podobnych zdolnościach pojawiający się w końcówce „Szkoły”. Czytając „Aguerre...” obserwujemy kolejny etap rozwoju umiejętności narracyjnych autora. Widzimy wzrastającą swobodę posługiwania się słowem przy budowaniu holograficznej iluzji przedstawianego świata, rosnącą swobodę formowania lingwistycznej materii, dotyczy to i dialogów, i opisów, i samego toku narracji, budowania fabuły. Wyobraźnia autora staje się bardziej ekspansywna, ale użyte środki wyrazu za nią nadążają.

Motywy przewodnim trzech pozostałych opowiadań, „Serce mroku” (1998), „Crux” (2003) i „Piółunnik” (2005) jest polskość. „Serce mroku” już samym tytułem nawiązuje do Conradowskie-

go „Jądra ciemności”, ci co go nie czytali a lubią kino, rozpoznają analogie fabularne w „Sercu...” i słynnym Copollańskim „Czasie apokalipsy”. Planeta Mrok jest kolonizowana opornie przez siły kosmiczne Rosjan, Amerykanów i Niemców, z pokładu krążownika „Herman Göring” do niemieckiej bazy na jej powierzchni przybywa młody oficer von Mitze. Dostaje misję, dopaść niewolnika, Untermenscha Leszczyńskiego, który nawet w sporny dziewiczy obszar, zwany Piekłem i uparcie nadaje buntownicze manifesty. Odwieczne kłopoty Niemców z polskim warcholstwem.

Z kolei w „Piolunniku” z Polakami kłopoty mają zmartwychwstali Sowieci. Jest koniec kwietnia roku 1986. Kilkadziesiąt kilometrów od Czornobyli rozbija się tajemniczy pozaziemski obiekt. Niesiony po katastrofie wiatrem opad ma właściwość odwracania wektora procesów entropijnych, martwe istoty o dobrze rozwiniętym układzie nerwowym wracają do życia, a ich najbliższe otoczenie - do dawnej formy. Władze dezinformują społeczeństwo, to masowe zmartwychwstawanie może wywołać metafizyczną, i całkiem zwyczajną też, panikę. Bohaterem tej rezurekcyjnej historii jest ubek, kapitan Rzewiecki. Dostaje od swojego przełożonego zadanie dotarcia do Krakowa, by tam, w wawelskich kryptach, kropnąć, jeśli wstaną z grobowców, dawnych władców, PRL nie potrzebuje monarchów. Jednak wyonacona historia zaplątała się z Rzewieckiego, w drodze do Krakowa trafia na szturm bolszewickich oddziałów Budionego, pierwsza konna również zmartwychwstała. Razem z grupą polskich żołnierzy, chcąc nie chcąc, broni gmaszku prowincjonalnej poczty przed natarciem Sowietarzy. Z czasem dołącza do obrońców zbłąkany oddziałek powstańców styczniowych. Groteska sytuacji narasta, ale autor ciągle prowadzi narrację śmiertelnie poważnie. Polacy trzech różnych epok walczą z najeżdżcą ramię w ramię, przeciwnik też wciąż ten sam. Uśmiełem się tylko, czytając fragment opisujący deklarację lojalności PRL-owskiej pocztowej biurwy wobec ubeka, gdy zza okna dobiegły okrzyki - Za Stalina! Za rodzinu! *Uraaa! Kobieta, osuwając się z krzesła pod kontur, wpatrywała się w moją legitymację z szeroko otwartymi oczyma. - Jestem lojalnym członkiem Partii! - sapła - Ja się nie mieszam do polityki! Całym sercem popieram interwencję Związku Radzieckiego!*

W „CruX’ie” polskość nie jest definiowana w opozycji do obcości, tam jest ideą, która wróciła. Elita społeczeństwa narodu, który odzyskał niepodległość i siłę, odnajduje na nowo rycerskie idee

I Rzeczypospolitej. Kontusze, karabele, pojedynki. Ożywiony obyczaj sarmacki jest tam skutecznym narzędziem adaptacji do świata wysokich technologii. Zygmunt Ćwiecz pracuje w firmie brokerskiej specjalizującej się w *crisis management*. Doradza m.in. firmom Protektoratu Rosyjskiego. Szlachta, to ci, co pracują. Bezrobotny plebs zamieszkuje socjaliska na obrzeżach miast. Co jakiś czas organizuje „lepperiady”, ruchawki mające za cel wymuszenie „zwiększenia nakładów na cele socjalne”. Pojawia się przywódca, heros ludowy - Crux, ułomny fizycznie cudotwórca, już nie Lepper ale Szela, pod jego przywództwem plebejusze chcą rozprawić się z panami szlachtą ostatecznie. Tymczasem ojciec Zygmunta śmiertelnie ranny w pojedynku dogorywa. Tylko uzdrowicielska interwencja Crux’a może dać nadzieję, że przeżyje. W poszukiwaniu ratunku dla ojca, Zygmunt zanurza się w ponury i wrogi świat socjalisk. Sienkiewiczowski język dialogów zespolony z futurystycznymi anturazami tak zręcznie, że ta fantazja wydaje się przedstawieniem stanu zupełnie naturalnego.

Źródła mojej irytacji, kiedy odłożyłem przeczytanego „Króla Bólu” były dwa - że lektura, tej przecież masywnej cegły, tak szybko się skończyła, i że, mimo pochłonięcia tak solidnej porcji, nadal czuję głód.

Kazimierz Bolesław Malinowski



Jacek Dukaj *Król Bólu*,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2010.

 Ja jestem wy - czuję to bez przerwy

KAZIMIERZ MALINOWSKI: Czy zgodziłby się pan z tezą, że wobec silnych tendencji eskapistycznych w literackim mejnstrimie, ciężar rozpoznania i komentowania osiowych problemów współczesnej cywilizacji poddanej rosnącej presji technologicznego progresu wzięła na siebie literatura SF?

JACEK DUKAJ: Nie, to nie jest takie proste.

Po pierwsze, mam poważne wątpliwości, czy w ogóle istnieje współcześnie coś takiego jak „literatura SF”, w odróżnieniu od „literatury fantastycznej”, czyli tego, co widzimy na regałach empiiku pod hasłem „fantastyka”. Zdarzają się pojedyncze powieści SF, opowiadania.

Po drugie, co to jest „mainstream”? Czy „mainstream” oznacza tu „niefantastykę”? Czy też medialny główny nurt literatury? Może dodatkowo po odjęciu z niej tego, co się uważa za „literaturę popularną”?

Po trzecie, eskapizm stanowi o atrakcyjności nie tylko tasiemcowych oper mydlanych (ich widzowie „uciekają” w życia fikcyjne) oraz ich odpowiedników literackich, czy wielkich narracji wciągających nas w inną realność (Sarmację Sienkiewicza, Japonię Clavella itd.), nie tylko zmienia ludzi w wampirów wysysających krew celebrities (to z kolei ucieczka w życia prawdziwe, ale cudze; „life by proxy”) - lecz także leży u podstaw sporej części konwencji fantastycznych, w szczególności cykli rozgrywających się w fantastycznych światach, urealnianych mapami, słownikami, kalendarzami, bestiariuszami itp.

- Precyzując, idzie mi o ten, w ramach gatunku, podzbiór narracji SF-owych, który podejmuje trud ekstrapolowania w przyszłość prawdopodobnych stanów cywilizacji w oparciu o napływające z obszaru badań podstawowych strumienie nowych danych, oraz uważną obserwację trendów socjologicznych, kulturowych, ekonomicznych, politycznych, uprawiany przez autorów hard SF takich jak np. Lem i Vinge, ale i o socjal fiction w wydaniu choćby Zajdla czy Orwella. Czy nie odnosi pan wrażenia, że dokonania pisarzy tego nurtu mają szczególne znaczenie jako imaginacyjne „rozpoznanie bojem” obszarów nieznanego,

w które z coraz większym impetem wdziera się współczesna cywilizacja?

- To wynika niemal bezpośrednio z tak podanej przez pana definicji.

Mój kłopot i żal (chyba nawet rozgoryczenie, choć z czasem słabnące) biorą się z zaniku tej tradycji (tego podzbioru) we współcześnie tworzonej literaturze, w Polsce jeszcze wyraźniejszego niż na świecie, tj. w kręgu literatury anglojęzycznej.

- W *Linii oporu*, opowieści, która otwiera zbiór *Król Bólu*, opisał pan społeczeństwo, które na szok przyszłości reaguje paraliżującym uwiązaniem woli. W rzeczywistości podstawowej, nazywanej tam „gnojem”, ludzie nie mają już właściwie nic do roboty. Impulsem, który potrafi jeszcze aktywizować ich uwagę, jest gra w wirtualnych metaświatach. Bohater tej historii, Paweł Kostrzewa, jest Kreatywem, (Kreatyw tworzy fikcję - fikcja wchodzi w umysł ludzi - ludzie realizują fikcję, bo mogą - ludzie są tym, co napisane - literatura jest rzeczywistością, rzeczywistość jest literaturą [*Linia oporu* s. 116]). Dostaje zadanie, paradoksalne z epistemologicznego punktu widzenia, zbudowania wewnątrz fikcji metafikcji, która dla uczestników gry stworzy punkty odniesienia konstytuujące nowe sensy reanimujące ich wolę. Brnięcie w fikcję, by destrukcyjne skutki uczestniczenia w fikcji przezwyciężyć. Czy nie jest to próba ominięcia postmodernistycznego impasu przez dodanie do niego kolejnego „post”? A nieuniknione dodawanie kolejnych „post” regressus ad infinitum w ślepy, zapętłony, zaulek?

- Cały trick polega na zmianie tego „punktu zero”, początku układu współrzędnych, od którego mierzymy wszystko inne, czyli także regressio ad infinitum.

Pana pytanie zdradza w samym języku, co jest dla pana wartością podstawową: real, rzeczywistość. Dla mnie w *Linii* to już nie jest żadna kwestia - ten czy tamten świat, fizyczny czy metafizyczny, nie ma znaczenia. Ważne jest życie: przepływ doświadczeń, skądkolwiek pochodzących; proces nieustannych zmian świadomości. Nie przyjmuję dogmatu, że życie w realu jest lepsze, wartościowsze, bardziej ludzkie od życia zapośredniczonego w ten czy inny sposób przez technologię. To następna postać mitu wieży z kości słoniowej: mędrcy zanurzeni w księgach muszą się na koniec okazać

głupszymi od brykającego po lasach i burdelach chłopka-roztropka - bo niby on żyje w realu, a oni w abstrakcjach. Otóż nie kupuję tego. Możesz żyć w świecie ducha (co dzisiaj oznacza też „życie w sieci”) i żyć pięknie, bogato, szczęśliwie, twórczo. Ważne jest JAK, a nie CO.

Przezwyćżyć trzeba nie „destrukcyjne skutki uczestniczenia w fikcji”, ale „destrukcyjne skutki uczestniczenia w realu lub w fikcji” - takie, które nie stawiają żadnego oporu, nie dają tarcia duszy. Doświadczeniem fundacyjnym owego egzystencjalizmu jest świadome, dobrowolne zanurzenie się w chwilowy absolut - coś, co zna każdy zapalony gracz: WIE, że to fikcja, że wszystkie te cele, nagrody, wyzwania są umowne; ale na czas gry potrafi się tak w nie zaangażować, że zyskują (subiektywnie dla niego) wartość absolutną, i na ten czas one właśnie stanowią sens jego życia. Z intensywnością, której nic nie może dorównać po powrocie do „bezoporowego” realu.

Wyzwanie polega zatem na przedłużeniu i zuniwersalizowaniu tego doświadczenia. Czy to możliwe? Na jakich warunkach? Kontekstem bowiem jest obiektywna niemożliwość powrotu do świata „oporów naturalnych” - a to na skutek nieodwracalnego postępu technologicznego.

Toteż podważam samo pytanie, sam system aksjomatów, z wnętrza którego zostało zadane.

- Mam wrażenie, że trick polegający na „zamianie punktu zero” usiłowano, z czasowo tylko zachęcającym skutkiem, wykorzystać przy gieldowych spekulacjach derywatami. Ale wygląda na to, że było to tylko mnożenie przez zero. Serwer z procesami symulującymi stawanie się światów plus, zawsze będzie stał w tym realnym i ktoś realny będzie miał władzę wyciągnięcia wtyczki z gniazdka, moc ultymatywnego, pokerowego „sprawdzam”! Odejdzie od parytetu złota do pieniądza fiducyjnego okazało się niewypałem. Skąd bierze się pana zaufanie do VR (virtual reality - rzeczywistość wirtualna - przyp. red.) jako optymalnego środowiska ekspansji dla ludzkiego ducha?

- To w ogóle nie jest kwestia zaufania. Po prostu obserwuję trendy i wyciągam wnioski. Istnieje też podstawowa różnica potencjałów, o której piszę wyraźnie w *Linii*: światy materii są skończone, ograniczone; światy ducha - nieskończone, nieograniczone.

Porządek ontologiczny - możliwość wyciągnięcia wtyczki z serwera - nie musi się tak przekładać na

inne porządki. Wszyscy jesteśmy (na razie) maszynami biologicznymi, nasz prąd to chemia organiczna - czy to znaczy, że ultymatywną władzę dzierżą dziś rolnicy, jako producenci tej energii? Jeszcze prędzej wyciągnie mi wtyczkę dresiarz z bejsbolem, rozbijając mój białkowy procesor, mózg - ale ani z tego nie wynika władza mięśni nad intelektem we współczesnym świecie, ani nie daje mi to asumptu do nawoływania do powrotu do „parytetu pięści”.

Podstawy technologiczne tego przewartościowania można sobie wyobrazić rozmaite, w *Linii* pokazuję jeden z modeli przesunięcia władzy na poziom „ducha”; a już dzisiaj opisuje się np. taki otwarty, komercyjny rynek cloud computingu, w którym procesunek danego programu nie zależy od działania żadnego konkretnego serwera, nikt nie jest tu w stanie „wyciągnąć wtyczki”.

- Jako buddysta nazwałbym VR metamayą, chrześcijanin mógłby od niej poczuć swąd siarki, przypisywany Wielkiemu Zwodzielowi (Iluzjonście). Czy pana zdaniem oczekiwanie na Technologiczną Osobliwość nie jest uwarunkowanym historyczną kliszą świeckim mesjanizmem? A może VR jest fałszywym mesjaszem, proponującym nabijanie dusz w butelkę lejdejską? Czy, posługując się terminologią z pańskiej *Córki* łupieżcy, rozstrzygnął pan już wątpliwości, stając po stronie jakubistów?

- Po pierwsze, ani przejście w VR nie prowadzi koniecznie do Technologicznej Osobliwości, ani rezygnacja z VR nie gwarantuje ominięcia Osobliwości. Są to rozłączne fenomeny technologiczne; niekiedy pojawiają się równolegle w wizjach przyszłości, ale to więcej nam mówi o dzisiejszych przekonaniach kulturotechnu. (Uważam zresztą, że daleko bardziej prawdopodobne jest powolne, stopniowe, wręcz niezauważalne zanurzenie w augmented reality, w to, co wcześniej nazywałem OVR, w cząstkowe nakładki na real, począwszy od aplikacji iPhone’owych i geotaggingu social networks - aniżeli konkretne, radykalne przejście w VR).

Po drugie, osobiście - tzn. wypowiadając się spoza kreacji literackich - pozostaję tu sceptykiem. Przekonanie o nadejściu Osobliwości w klasycznej wersji Vinge’a czy Kurzweila wydaje mi się opierać na zbyt wielu prostoliniowych ekstrapolacjach i arbitralnych założeniach. Nadto wiąże się ono ze zgoła mesjańską interpretacją losu ludzkości: żadna inna cywilizacja nie mogła

powstać nigdzie pod naszym horyzontem zdarzeń (czyli od początku istnienia wszechświata w stożku 13 miliardów lat świetlnych), my musimy być pierwsi, wyjątkowi - gdyby bowiem powstała, to jej Technologiczna Osobliwość dawno temu przerobiłaby całą widzialną materię na procesory; temu zaś przeczy doświadczenie naszych zmysłów.

Nie zmienia to faktu, że - a to już piszę w *Linii* - wszyscy żyjemy w kulturowym cieniu Osobliwości. Nie ma znaczenia, czy ona faktycznie nadejdzie, czy nie. Tak samo w dekadach po II wojnie światowej ludzie żyli w cieniu zagłady atomowej, pomimo że ona nie nastąpiła.

- Zakłada pan obiektywną niemożliwość powrotu do świata „oporów naturalnych”. Warunkiem exodusu z realu do VR jest dalszy niezakłócony rozwój cywilizacyjnej technosfery. Spełnienie tego warunku to optymistyczne założenie. Czy uważa pan, że mniej optymistyczne (czy wręcz katastroficzne) scenariusze są niemożliwe?

- No właśnie: który scenariusz jest tu bardziej optymistyczny? A może: który mniej katastroficzny? Opowiadając się wobec tych wariantów przyszłości, definiujemy się na osi „konserwatyizmu-transhumanizmu”. Wszyscy przecież znamy ludzi, którzy za największą katastrofę uznają właśnie dalszy postęp ku maksymalnemu upłynnieniu człowieczeństwa. Cokolwiek mu przeszkodzi, będzie dla nich ratunkiem, wariantem optymistycznym.

Oczywiście, że możliwe są inne przyszłości! Ja zazwyczaj dociągam swoje kreacje do granicy, ale to literatura, model, ćwiczenie myślowe, trening egzystencjalny - nie prowadzilibyśmy też rozmowy na tak wyraźnych stanowiskach, gdybym je rozmył już w książce. W rzeczywistości zaś najczęściej sprawdzają się jakieś warianty hybrydowe, „trochę tak, a trochę nie”, pomieszania, półprodukty, splątania z nieprzewidywanym. Rządzi entropia.

To bardzo naiwny autor SF, który twierdzi: „świat za iks lat będzie wyglądał jak w mojej powieści”. Dzisiaj już chyba tylko dziennikarze podchodzą do pisarzy z podobnym nastawieniem: autora kryminałów pytają, czy kiedyś kogoś zabił, a autora fantastyki, czy wierzy w wampiry albo ufoludki.

Sam trzymam się definicji SF jako literackiej metody modelowania określonych zjawisk, trendów, filozofii. Modelowania, nie zaś przewidywania. Model może zostać prawidłowo wyprowadzony, a jednak nie przystawać do rzeczywistości - niemniej coś ważnego nam o tej rzeczywistości mówić.

- A jednak w jednym z wywiadów, wypowiadając się w kwestii transhumanizmu, powiedział pan: „Biorę przy tym pod uwagę, że o ile proces ruszy na dobre jeszcze za mojego życia i wskoczę do ostatniego wagonu, to już inaczej będę na to patrzył”. Te słowa dały mi asumpt do potraktowania, przynajmniej niektórych, pańskich literackich wizji literalnie. Przykład co najmniej jednego wybitnego polskiego autora SF i jego trafionych prognoz przyszłości, są również ośmielające, że wspomnę choćby jego *Summę Technologiae* czy *Weapon Systems of The Twenty First Century* or *The Upside-down Evolution*. Czy według pańskiego rozważania są przesłanki, by sądzić, że obecnie żyjące pokolenia będą miały szansę „wskoczyć do ostatniego wagonu”?

- Bardzo proszę odróżniać konkretną wizję literacką od obserwacji trendu cywilizacyjnego. Można stworzyć milion rozmaitych ekstrapolacji transhumanizmu, sam stworzyłem już kilka, i byłbym idiotą utrzymując, że ziści się akurat ta, nie inna. Co najwyżej mówię, że tę mam za bardziej prawdopodobną, albo że ta lepiej pokazuje dane aspekty zjawiska. Przywołane książki Lema właśnie tym się wyróżniają, że nie są prezentacjami konkretnych „prognoz przyszłości”, a rozważaniami o kierunkach rozwoju technologii i cywilizacji.

Nadto rozumiem transhumanizm bardzo szeroko: jako coś, co się wydarza na naszych oczach, i to już od dłuższego czasu, tylko że wpięram powoli i na małą skalę, dopiero ostatnio przyspieszyszy na tyle, że staje się oczywistym dla coraz większej liczby ludzi. Są ortodoksi, którzy za początek transhumanizmu uważają pierwszą cyborgizację mechaniczną protezą albo pierwszy przeszczep żywotnego organu lub pierwsze zapłodnienie pozaustrojowe czy pierwszą operację zmiany płci.

Czym bowiem jest transhumanizm? To takie nstawienie myślowe (tudzież jego praktyczna realizacja), w którym przyjmujemy, że postać Homo sapiens zadana nam przez naturę (Boga) zostanie w sposób konieczny przekroczona (transcendowana) na drodze modyfikacji człowieka przez człowieka. I jeśli nie nakładamy tu jakichś dodatkowych, sztucznych ograniczeń, to ostatecznie wyłącznie prawa fizyki zdefiniują to, czym człowiek NIE MOŻE BYĆ.

Na poziomie kultury, polityki, prawa wiąże się z tym nierozzerwanie trend relatywizacji wszelkich norm dotyczących człowieka, jego życia jednostkowego i społecznego itp. Nie musimy się przesiadać na

mózgi cyfrowe, żeby mieć dojmującą świadomość NIEKONIECZNOŚCI kształtu naszego człowieczeństwa, jego PŁYNNOŚCI.

Dostrzegając i opisując te procesy, nie stałem się jednak ich entuzjastą, nie widzę się szczególnie jako ich podmiot, i obawiam się kosztów. Z temperamentu i przyzwyczajęń jestem galicyjski mieszczanin; definiuję się także poprzez status quo. Sytuacją idealną byłaby dla mnie jakaś forma współistnienia równoległych nurtów cywilizacji, tak że mógłbym sobie z wnętrza mojego mieszczańskiego kokonu wybrać te czy inne rozwiązania transhumanizmu, a potem ewentualnie porzucić - ale zdaję sobie sprawę, że to logiczna niemożliwość. Znajdujemy się w nurcie rozpędzonych pojazdów na autostradzie prowadzącej w jedną stronę, i kto choć lekko wciśnie hamulec, tego zaraz staranują. Jest to jednak przerażające. A zarazem fascynujące - bo co chwila nowe wspaniałe krajozrazy migają za oknami.

- Pan zdaje się absolutyzować rangę kultury. Czy nie mylę się, proponuje pan Borgesową megabibliotekę, labirynt zwierciadeł, fraktalne permutacje algorytmów dające sugestywną iluzję nieskończoności jako pełnowartościowy zamiennik świata danego nam w bezpośrednim doświadczeniu? W pakiecie z propozycją instrumentalnego traktowania ludzkich ciał i umysłów jako elementu kultury poddanego jej losowym fluktuacjom? A jako „linię oporu” - rosnący gradient ekscytacji wynikającej z „zanurzenia się w chwilowy absolut”?

- Z grubsza zgadza się to z wizją podaną w tekście, z tą poprawką, że samo owo doświadczenie zaangażowania w fikcję stanowi dopiero warunek inii oporu - one zaś tworzą się na dowolnych fenomenach. No i Borges to symbol kultury wysokiej, wyrafinowanej, właśnie „bibliotecznej”, akademickiej - a tu gra toczy się na poziomie kultury masowej, ba, na poziomie trendów konsumenckich, zderzenia marek, kampanii reklamowych, tych „królestw” organizujących nasze upodobania, rysujących osobiste mapy satysfakcji. „Człowiek jest tworem kulturowym” - podaję to założenie wprost.

Linia... absolutyzuje, niemniej widzę rozpędzające się te procesy wszędzie dokoła. Kiedy przeciwstawia pan kulturze „świat dany nam w bezpośrednim doświadczeniu”, to gdzie na tej skali umieścić pan nasze ubrania, ich kolor, krój, zapach perfum, dezodorantów, fryzury, tatuaże, sylwetki mężczyzn i kobiet, ku którym rzeźbią się na siłowniach i u

chirurgów, brzmienie języka, melodię modnych przekleństw, idiomów, smaki potraw z popularnej tego roku kuchni, kształt budynków, otaczającej nas architektury, środowiska miejskiego, w jakim w większości żyjemy, gdzie wszystkie te formy zachowań międzyludzkich, repertuary „wypada” i „nie wypada” i ich pochodne materialne...?

Wątpię, czy owe procesy się wtem zatrzymają (chyba że istotnie spadnie na cywilizację jakaś straszna katastrofa). Technologia każdego roku dostarcza kolejnych narzędzi do uplastyczniania człowieka i świata przez kulturę; teraz największy potencjał ma inżynieria genetyczna.

„Człowiek to będzie to, co akurat jest modne jako człowiek” - tak naprawdę piszę o tym od *Czarnych oceanów*, ten model wydaje mi się dobrze ujmować dominujące trendy. W tym sensie *Linia* oporu to także ideowe podsumowanie tych kilkunastu lat mojej pisaniny.

- Egzystencja w realu stawia nas wobec niemożliwości uniknięcia cierpienia. Czy nie obawia się pan, że w VR, mając możliwość wyboru, podmiot automatycznie usunie groźbę cierpienia, traktując ją jak niepotrzebną opcję? A jeśli zdecyduje się cierpieć, to czy taka decyzja nie będzie podszyta perwersyjnym masochizmem? A może randomizer wydarzeń losowych w VR jako ekwiwalent „bądź wola Twoja”?

- Otóż i bolesny paradoks zanikania kolejnych linii oporu. Jeden z możliwych odruchów obronnych stanowi ucieczka w BDSM.

Nie jestem tylko pewien, czy dobrze ujął pan tu „cierpienie”. Niepotrzebnie wiąże je pan z realem. Jaką różnicę dla cierpienia duszy robi podstawa ontologiczna świata, w którym żyje cierpiący? Czy zdrada przyjaciela mniej boli, bo zdradził przez e-mail? Cała nasza cywilizacja nastawiona jest na usuwanie lub zasłanianie cierpienia ciała. Pokonując ograniczenia materii, usuwamy te źródła cierpienia fizycznego, biologicznego, lecz nie usuwamy tak wszystkiego cierpienia duchowego. Ba, *Linia oporu* jest przecież głównie o tym, że właśnie wymazanie starych ograniczeń, zagrożeń, cierpień - stanowi źródło cierpień nowych. „Wszystko mogę, nic nie muszę - po co żyć?” Ta pustka egzystencjalna jest jak najbardziej prawdziwa, nie trzeba jej sztucznie produkować.

- Czy zgodziłby się pan z opinią, że dekadencja w koktajlu z konsumeryzmem to najbardziej charakterystyczna cecha współczesnej kultury

euroatlantycznej? Czy widzi pan za horyzontem jakąś ideę (albo ideologię), która mogłaby stać się dla niej witalizującą alternatywą?

- Czy dekadencja? Do dekadencji trzeba jednak dojrzeć, także kultury muszą dojrzeć. Uwierzę w dekadencję brytyjską czy francuską, ale nie w amerykańską. To wciąż raczej radosna zachłanność dziecka. Otóż kiedy dziecko sili się na dekadencję, dostajemy właśnie kulturę emo.

Pytanie głębsze: czy ideologie kiedykolwiek były „witalizującymi alternatywami”? Czy to nie jest najwyższy luksus cywilizacji, że ideologie nie są do niczego ważnego potrzebne? Idee, owszem, pojawiają się, tak jak pojawiają się kolejne mody, fetysze czy idole piękna. Służą głównie do tego, żeby było się o co posprzeczać, zapelnąć czas, usensownić swoje życie - służą nam za substytut linii oporu. Wprost widać to w zachodnich obyczajach działalności charytatywnej klasy średniej i wyższej: te wszystkie „słuszne sprawy” są im potrzebne, żeby się znudzona pani domu miała czym zająć pomiędzy wizytą w salonie piękności i kolacją u znajomych.

Przyjmuje się to i w Polsce - ale czy to tak do końca źle? Nuda to znak jakości cywilizacji dobrobytu.

- W zbiorze *Król Bólu* znalazło się opowiadanie *Crux*, czytelnicy znają je już ze zbioru *PL+50. Historie przyszłości*, który ukazał się pod pańską redakcją. Pokazuje pan w nim Polskę, w której osnową tożsamości nowej elity jest powrót do tradycji sarmackich I Rzeczypospolitej. W finale opowiadania *Piołunnik*, zbiór zamykającego, jego bohater, cyniczny ubek, postawiony przed zmartwychwstałym plemiennym patriarchą w tragikomicznym geście pokazuje służbową legitymację przypieczętowaną orzełkiem, ze słowami „Ja jestem wy”. Jako autor modelujący hipotetyczne stany przyszłości, jak dziś zapatruje się pan na ewolucję polskiej racji stanu? Czy zachowanie suwerenności państwowej Polski uważa pan za istotne, a w sytuacji po ratyfikowaniu Traktatu Lizbońskiego w ogóle możliwe? Czy nie uważa pan, że zaproszenie gen. Jaruzelskiego do obrad Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie jest, napisaną przez real, piękną bajkową pointą do *Wronca*?

- Nie wierzę w zerojedynkową suwerenność państwa we współczesnym świecie. Nawet Stany Zjednoczone nie są stuprocentowo niezależne od innych. Model „władzy struktury” opisany

w *Czarnych oceanach* oczywiście przejawskawia, ale mniej więcej takie mechanizmy uważam za podstawę rzeczywistych działań politycznych i makroekonomicznych. W Polsce rozpracowuje podobne teorie Staniszkis, tylko że w języku ciężkich hermeneutyków.

„Ja jestem wy” - czuję to bez przerwy, czytając polską literaturę, oglądając filmy, chodząc po ulicach, mówiąc po polsku. Czy można się wyjąć, wypreparować z tej sieci wpływów, zależności, współtożsamości? Moim zdaniem to niemożliwe - wyrwę z siebie taki kawał duszy i de facto popełnię samobójstwo. Jestem, kim jestem (piszę co piszę), między innymi dlatego, że „ja jestem wy”.

Dzisiaj mamy w Polsce modę na ostantacyjną kontestację i wyśmiewanie polskości, taka gombrowiczyna 2.0 na skalę kosmopolitów z Krakowskiego Przedmieścia. Wydaje mi się to spóźnionym buntem nastolatków, odreagowywaniem po długim zamrożeniu przez sytuację historyczną w postawie syna całującego sękatą dłoń widmowego patriarchy. Odreagowawszy, wyluzujemy, nauczymy się tym grać, swobodnie prezentować wobec innych. Taką przynajmniej mam nadzieję - że w końcu polskość będzie na nas leżeć jak dobrze skrojony garnitur, jak angielskość na Anglikach. A też przecież nie nosi się garniturów na każdą okazję; ale jego chwilowa zmiana na sweter czy T-shirt nie oznacza wtedy dramatycznej deklaracji ideowej, jest zwykłą kwestią smaku.

Daruję pan, że nie wejdę w rozważania o Komorowskim i Jaruzelskim. Doraźną politykę polską staram się odfiltrowywać. Rozsądny człowiek powinien się interesować tym, co kształtuje jego świat, ale po pierwsze, mam poważne wątpliwości, czy to kształtowanie istotnie odbywa się w tak dużym stopniu w sferze polityki obecnej w mediach, a po drugie, obcowanie z nią psuje umysł. Czytelnicy *Anthem* Stephensona pamiętają tzw. Księgę - to jest mniej więcej ten rodzaj tortury. Zdrowiej jest utrzymywać dystans, zajmować się ideami, mechanizmami, liczbami.

- Czy zatem dobrze rozumiem pańską sugestię: polityka obecna w mediach jest pijarowym spektaklem, narzędziem aplikowania widzom memów blokujących ich obywatelską świadomość? Jeżeli punkt ciężkości politycznych ośrodków decyzyjnych przesunął się poza instytucje demokratyczne, których funkcjonowanie przedstawiają nam media, to jakby pan zdefiniował jego aktualne położenie?

Czy pana zdaniem trafne jest rozpoznanie, że

polityczne instytucje społeczeństwa obywatelskiego stają się w coraz większym stopniu fasadowe z tego również powodu, że mechanizm powielania i dystrybucji memów wymknął się spod społecznej kontroli? Czy ten stan rzeczy nie jest poważnym zagrożeniem dla, w rozumieniu Popperowskim, społeczeństwa otwartego? W jakim stopniu adekwatne są krytyka „społeczeństwa spektaklu” Guy Deborda i pańska, przedstawiona w *Czarnych oceanach* koncepcja „wojen memetycznych”?

- Po kolei. Po pierwsze, to w ogóle nie jest kwestia spisków, sztuczek pijarowych, planu ogłupiania obywateli czy podobnych standardowych rozwinięć mitu Onych. Cała rzecz w tym, że nie ma żadnych Onych. Nie ma punktu ciężkości w rozumieniu kluczowego węzła decyzyjnego, jakiegoś ukrytego centrum, mrocznego pokoju, w którym spiskują szare eminencje. Jasne, ja i sąsiad też możemy sobie pospiskować, ale podobnie niewiele z tego wyniknie. Władza struktury między innymi na tym polega, że każdy obdarzony świadomością element tej struktury teoretycznie ma możliwość dokonania dowolnego wyboru, ale w praktyce wypadkowa strukturalna i tak się mieści w bardzo wąskim, z góry zdefiniowanym przedziale. Przez kogo zdefiniowanym? Przez nikogo - nikt nie założył nam z góry demokracji liberalnej, metodologii nauk ścisłych czy gospodarki opartej na ropie. Tak samo sposób funkcjonowania mediów - który z kolei wprost determinuje sposób uprawiania polityki we współczesnej demokracji - nie wynika ze zmowy koncernów medialnych, lecz z maksymalizacji ich zysku jako dostawcy treści (sensu życia) dla masowego odbiorcy.

Po drugie, co to jest „społeczna kontrola” i co to są „instytucje społeczeństwa obywatelskiego”? Posługujemy się tu pojęciami hipostazującymi podmioty z zupełnie innego, anachronicznego porządku cywilizacyjnego. Bogaci wolni mężczyźni w ateńskim polis mogli mieć „instytucje społeczeństwa obywatelskiego”, ale nijak się one mają do globalnej cywilizacji sześciu miliardów konsumentów, zanurzonych w technologiach XXI wieku. Nie jestem oczywiście ślepy na indywidualne zrywy tego czy innego społecznika: zróbmy akcję, uratujmy park albo odwołajmy wójta. Ale nie mają one absolutnie żadnego wpływu na kształt struktury. Ba, ponieważ ją umacniają, bo podtrzymują tę hipostazę. Gdyż cywilizacja oparta na powszechnej świadomości metaksokracji będzie istotowo inna od cywilizacji starych przywyczajeń, rytuałów, idei.

Czy oznacza to „koniec historii” i zanegowanie wolnej woli człowieka? Nie. Albowiem ten optymalny kształt porządku publicznego ewoluuje, chociażby pod wpływem postępu technologicznego, który nie jest „do zaplanowania”, nie pozostaje pod niczyją kontrolą, ani się wtem nie zatrzyma. Człowiek jako jednostka też może popełnić dowolne wariactwo, skoczyć z dachu, podpalić las, zastrzelić polityka - ale nie zmieni przez to cech struktury, w której żyje.

Trudno w tym kontekście mówić o jakiegokolwiek „krytyce społeczeństwa”. Cechy Popperowskiego społeczeństwa otwartego weszły do puli konkurencyjnych modeli - i znajdujemy się teraz w bardzo ciekawym momencie historycznym, gdy testowana jest (głównie w nowych potęgach gospodarczych Azji) efektywność modeli przynajmniej częściowo negujących te założenia. Dominujący pogląd przez ostatnie ćwierćwiecze był bowiem taki: możesz się rozwijać gospodarczo, trzymając społeczeństwo pod kontrolą i izolując je od wolnego obiegu idei, nie budując w nim „mentalności Silicon Valley” - ale tylko do pewnego pułapu; potem uderzasz w sufit i żeby go przebić, musisz mieć zasoby ludzkie napędzające gospodarkę nowego rodzaju: przemysł innowacyjności, mówiąc hasłowo, kulturę zaufania i optymistycznej kooperacji. Chiny wkrótce dotrą do tej granicy i zobaczymy, jak sobie poradzą.

Proszę wszakże zwrócić uwagę: jest to nastawienie przyrodznanca, a nie polityka w dawnym sensie. Odczytujemy, najlepiej jak potrafimy, prawa rządzące rozwojem cywilizacji i wtedy stosujemy się do nich (wykorzystujemy je), coraz częściej wbrew tzw. „woli ludu” - lud może sobie głosować przeciwko prawom fizyki, ale trzeba rzeczywiście wyjątkowej konfiguracji kretynów u władzy, żeby zechcieli oni te żądania wprowadzić w życie. Symboliczną tu postacią stał się minister finansów: na jakąkolwiek partię społeczeństwo głosuje, nowy minister zawsze w końcu wyliczy, które rozwiązania fiskalne i budżetowe państwu najbardziej się opłacają, i one będą takie same lub prawie takie same, jak te, które wyliczył poprzednik, no i od nowa zaczyna się oskarżenia o zmowę elit i zdradę ideałów. Kto więc rządzi - minister czy te bezosobowe prawa określające wachlarz możliwych rozwiązań?

Oczywiście pachnie to nieprzyjemnie koniecznością dziejową i naukowym dziejoróbstwem. Lecz istnieje podstawowa różnica: doświadczenie poprzedza tutaj teorię; nikt niczego nie planuje daleko naprzód, nie ma wizjonerów, wizję odczytuje się na bieżąco z wykresów giełdowych. (Albo z rozkładu walutowego globalnego zadłużenia).

- W opowiadaniu, od którego zbiór wzięł tytuł *Król Bólu i pasikonik*, przedstawia pan sytuację, w której anarchoterrorysti skutecznie zaszczytowali wielkich geopolitycznych graczy bronią genetyczną. Bohater opowiadania, postawiony wobec konieczności wyboru, eurostandardyzacji swojej „plastusiowej” tożsamości, albo wyjęciem spod prawa, staje po stronie rebeliantów. W *Xavrasie* Wyżrynie bronią masowego rażenia chce posłużyć się polski patriota walczący o wolność ojczyzny. Proszę powiedzieć, co pan, potomek polskich matiożników i bandytów dokonujących zamachów na „niemieckie dzieło odbudowy Europy”, czuje wobec faktu uczestniczenia regularnych polskich oddziałów w walce z afgańskimi partyzantami? Czy nie jest to recydywa syndromu San Domingo?

- Wybór Króla Bólu nie jest tak prosty - to bardziej wybór modelu człowieczeństwa („zawierzenie chaosowi”) aniżeli strony politycznej.

A cała ta kontrowersja wokół interwencji w Afganistanie pozostawia mnie dziwnie obojętnym. Sam się zastanawiam, z czego wynika tak silna różnica w porównaniu z wojną w Czeczenii. I dochodzę do mało pochlebnego wniosku, że to jednak kwestia kompatybilności kulturowej: Czeczeńcy zostali na tyle zeuropeizowani, że jest możliwa odruchowa empatia; w przypadku plemion afgańskich konieczny jest zaś pewien świadomy wysiłek, przede wszystkim bowiem nadal są dla nas „dzikusami”.

- Bo czemu służy całe nasze oprogramowanie kulturowe, cywilizacyjne, społeczne? Przełamywaniu ograniczeń materii. Ale gdy te ograniczenia znikają - znika tarcie - znika grawitacja. (*Linia oporu* s. 139). I tym samym, w kulturze poindustrialnych społeczeństw obfitości, znika potrzeba stosowania kryterium prawdy w sensie arystotelesowskim, warunkującego praktyczną efektywność tego oprogramowania w przełamywaniu ograniczeń materii. Czy pana zdaniem uwolniona od tego balastu, czy jak kto woli, okaleczona w ten sposób kultura nie jest skazana na redukcję do funkcji rozrywkowych?

- „Kultura skazana na redukcję do funkcji rozrywkowych” - proszę zobaczyć, w jakich siatkach pojęć się tu poruszamy. Ta tradycja krytyki postępu pozostaje żywa w publicystyce i literaturze, rzadko

jednak pokazuje jasno, na jakich założeniach się opiera. Czym bowiem są te „funkcje nierozrytkowe”? Rekonstrukcja domyślnego ideału („prawdziwi mężczyźni”, „prawdziwe kobiety”, „prawdziwe życie”, „prawdziwa praca”, „prawdziwa walka”, „prawdziwy trud”, „prawdziwe męstwo”) prowadzi nas do absurdałnej konstatacji, że dla zachowania funkcji i wartości nierozrytkowych powinniśmy cofnąć się do człowieczeństwa przedcywilizacyjnego, przedtechnologicznego: kiedy trzeba było walczyć o przetrwanie, kiedy mężczyzna musiał być silny i odważny, kiedy cnoty wojownika sprawdzały się co dzień, kiedy całe życie organizowały nam potrzeby przetrwania we wrogiej przyrodzie itd. - a kryterium prawdy stanowiła efektywność praktyczna (czyli była to raczej prawda ułitylarystyczna niż arystotelesowska). Każde przezwyciężenie linii oporu materii (np. przymusu fizycznej walki ze zwierzętami lub plemiennymi rywalami, albo konieczności połączenia przyjemności seksualnej z rozmnażaniem) oznacza unieważnienie całej klasy funkcji i wartości „nierozrytkowych”. Np. męstwo nierozrytkowe staje się odtąd męstwem rozrytkowym: jeśli zechcę - jeśli wybiorę taką GRĘ - to mogę się pobawić w jakieś sporty ekstremalne, egzotyczne wojenki albo nawalanki kibolskie. Ale NIE MUSZĘ. Język zaś zdradza, które wartości przedkładamy nad które: czy jest to w naszych oczach postęp, czy okaleczenie człowieka. To kwestia punktu widzenia, indywidualnego progu. W tym sensie cały współczesny spór lewicy obyczajowej z konserwatystami stanowi przypis do rozpędzającego się transhumanizmu.

Przyglądam się, jakie konsekwencje wynikają z doprowadzenia tych trendów do ekstremum. W *Linii* akurat bardziej mnie zajmowała strona egzystencjalna, bo do tej pory nie znalazłem w literaturze alternatywy dla transhumanistycznego egzystencjalizmu Houellebecqa - pomyślałem więc, że pokażę drogę wyjścia z tego jałowego pesymizmu. Która nie polegałaby na powrocie do prymitywu, ale na przewartościowaniu sobie w głowie „prawdziwego człowieka”, „sensu życia” itp.

- Czy według pana błyskawiczny rozwój technologii informatycznych nie uczyni zbędnym wysiłku mózgów (Kreatywów) w przewidywalnej przyszłości? Czy kultura ludzi nie stanie się syntetyczną kulturą DLA ludzi, a jej swobodne kształtowanie nie ograniczy się do swobody wyboru, prefabrykowanego automatycznie, wariantu treści kulturowej?

- Opisał pan tu właśnie „plaje”: produkowane z automatycznej permutacji prefabrykowanych elementów utwory, które można tylko odbierać, chłonąć w podanej z góry formie (filmowej, literackiej, muzycznej, growej, bez znaczenia). Nawet tutaj jednak przewagę konkurencyjną daje poszerzanie puli podlegających permutacji elementów, dorzucanie oryginalnych motywów, czegoś, co nie wynika z uprzednich trendów, nie jest zaledwie kopią, przeróbką, mutacją znanego. A to dostaniemy tylko z żywego mózgu kreatywa.

W alternatywie mamy „szlaję”: utwory, które powstają „na żywo” w interakcji z odbiorcami, którzy de facto są już odbiorcami-twórcami. Poniekąd taką szlają jest całe życie człowieka - tylko że kiepską, słabo ustrukturyzowaną, z niejasnymi i coraz bardziej się rozmywającymi kryteriami zwycięstwa, mętными questami, coraz słabiej cieszącymi nas nagrodami.

- Paweł Kostrzewa przy lada okazji robi sobie inhalacje „zapominajką”, specyfikiem zapobiegającym utrwalaniu się treści rejestrowanych przez pamięć krótkotrwałą, a uznanych przez niego za zbędne. Opisuje pan również inne techniki projektowania stanów świadomości czy popędów. Chciałem przeto zapytać - jaki jest pana stosunek do środków psychodelicznych? Dlaczego System broni ich prohibicji z taką determinacją? Czy zgadza się pan ze zdaniem Miłosza z *Widzeń nad zatoką San Francisco*, że ten upór ma cechy paranoi?

- Rozczaruję pana, nie mam żadnego osobistego stosunku. Jakoś mnie nigdy nie ciągnęło do tych używek. Wzruszam ramionami.

Natomiast w świetle transhumanizmu podobne metody automodyfikacji struktury neuralnej stanowią narzędzie upłynniania człowieka analogiczne do inżynierii genetycznej. To zresztą nie musi być chemia; uprawiamy inżynierię kognitywną także przez medytację, modlitwy, wieloletnie treningi (również fizyczne, bo poprzez ciało wpływamy na umysł), teraz popularny staje się life-coaching.

Nie wiem, co pan rozumie przez „System”. Dekryminalizacja kolejnych narkotyków coraz częściej wchodzi do puli haseł wyborczych, w niektórych państwach wybrano tu większą wolność, w innych - mniejszą. Na dłuższą metę wydaje mi się to dobrym rozwiązaniem: testowanie na żywo skutków różnych rozwiązań i wybór na podstawie ich efektów.

Z jednej strony, wedle dogmatu libertariańskiego, państwo nie powinno dorosłemu obywatelowi zabraniać niczego, co chce on zrobić z samym sobą, o ile nie szkodzi tym innym. Z drugiej strony, legalizacja narkotyków może mieć także skutki ogólnospołeczne, od których nikt nie pozostanie bezpiecznym, więc nie jest to tak do końca kwestia prywatna.

- Cztery lata temu, w rozmowie z Pawłem Duninem-Wąsowiczem powiedział pan, że czeka na falsyfikację pewnych hipotez kosmologicznych jako na istotny warunek kontynuowania *Trylogii Progresu*, czy już się pan doczekał? Czy można spodziewać się kolejnych, po *Perfekcyjnej niedoskonałości*, części?

- Nie będę ściemniał, kluczowe tu jest moje nastawienie jako autora: czy pisałbym to z przekonaniem, z ogniem, jako coś, co będzie akurat najlepszym możliwym spożytkowaniem mojego czasu - czy tylko z obowiązku, dla wypełnienia planu, odfajkowania rzemieślniczego wyrobnictwa.

Tak że nie mogę dać żadnej definitywnej odpowiedzi, jedynie raportuję szczerze o moim nastawieniu i odczuciach.

- Pozwolę sobie więc zapytać, jakie zagadnienia kręcą pana obecnie najbardziej? Czego uzależnieni od pańskiego pisarstwa mogą się spodziewać w kolejnej odsłonie? I, to dla uzależnionych nie bez znaczenia - jak długo będą musieli czekać?

- O rany, to może pora na odwyk?

Prawda wygląda tak, że sam nie wiem, co ukończę najszybciej. Nauczyłem się też unikać konkretnych zapowiedzi. Mam sporo projektów rozgrzebanych, zresztą mocno różniących się stylistycznie i tematycznie: od marynistycznej SF eksploracyjnej przez Nabokowski precel narracyjny o fikcyjnym polskim wieszczu, do epiki metafabularnej w przedwojennym Maroku. „Projektów”, bo już boję się mówić o „opowiadaniach” i „powieściach” - nawet gdy obiecuję opowiadanie, to wychodzi minimum sto stron. Jest to rodzaj ułomności, taka kompulsja do rozbudowywania wizji. Trochę też trudno mi skupić się na jednym zadaniu, gdy co chwila coś innego przychodzi do głowy - w „Postscriptum” *Króla Bólu*, wymieniając *Stroiciela luster*, *Fabłę i Rekursję* poniekąd zastawiłem na siebie pułapkę psychologiczną. Ale czy zadziała? No cóż, zobaczymy.

Ewa Magdziarz

Jubileusz MDKF „Iluzjon”



Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy działa przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury od marca 2000 r. Założony został z inicjatywy dyrektora Edwarda Kawęckiego z myślą o klasie humanistycznej, w której wdrażany był program autorski z języka polskiego wprowadzający elementy edukacji filmowej i plastycznej.



Spotkanie z Filmoteką Szkolną 2009

MDKF od początku istnienia współpracuje z wieloma instytucjami, m.in. ze **Starostwem Powiatowym w Krasnymstawie**. Starostwo współfinansuje działalność MDKF „Iluzjon”. Starosta Janusz Szpak objął patronat nad Powiatowym Konkursem Filmowym. Przedstawiciele władz uczestniczą w finale konkursu. Na stronie internetowej starostwa zamieszczane są informacje dotyczące przedsięwzięć realizowanych przez MDKF.

„Iluzjon” od 2000 r. współpracuje z **Krasnostawskim Domem Kultury**. W sali widowiskowej i kawiarence organizowane są warsztaty, przeglądy filmowe oraz finał konkursu. Dyrektor Andrzej Leńczuk, dyrektor Ewa Jabłońska, a także Stanisław Kliszcz pracowali w jury konkursu filmowego. KDK przekazywał również nagrody na konkurs filmowy. Członkowie MDKF brali systematycznie udział w imprezach organizowanych przez KDK.

Współpraca z **Polską Federacją Dyskusyjnych Klubów Filmowych** zaczęła się także od 2000 r. Piotr Kotowski - wiceprzewodniczący PF DKF - brał udział w zebraniu założycielskim, objął honorowy patronat nad Wewnątrzszkolnym i Po-

wiatowym Konkursem Filmowym, a także pracował w jury konkursu, ufundował nagrodę specjalną dla laureatów konkursu filmowego - akredytację na Letnią Akademię Filmową. Opiekun MDKF uczestniczył w Ogólnopolskich Seminariach Filmowych, w LAF w Zwierzyńcu, w Zjazdach Sprawozdawczo-Wyborczych PF DKF. MDKF korzysta również z zasobów filmoteki klubowej.



Finał VI Powiatowego Konkursu Filmowego

MDKF zaczął współpracować z **Polskim Instytutem Sztuki Filmowej** od 2006 r. PISF współfinansuje zadanie *Edukacja filmowa prowadzona przez MDKF „Iluzjon”*. Opiekun MDKF uczestniczył w festiwalu „In memoriam - Krzysztof Kieślowski w X rocznicę śmierci” i w konferencji PISF (Katowice 2006), w festiwalu „Wakacyjne kadry” i warsztatach „Kino - szkoła - filmowe dialogi” (Cieszyń 2006). Opiekun i uczniowie z kl. II a i I c brali udział w kursie internetowym FILMOTEKA SZKOLNA. AKCJA! (2009-2010). W zajęciach MDKF-u uczestniczyli przedstawiciele Filmoteki Szkolnej na czele z kierownikiem Działu Upowszechniania Kultury Filmowej Anną Sienkiewicz-Rogowską (październik 2009). Ewa Magdziarz otrzymała wyróżnienie



Spotkanie z Krzysztofem Zanussim 2001

w Konkursie na scenariusz lekcji z wykorzystaniem pakietu „Filmoteka Szkolna”.



Warsztaty Zatrzymane w kadrze 2008

MDKF organizuje przeglądy (m.in. „Sacrum w filmie”, „Oblicza kultur”, „Oblicza wojny”, „Kino polskie - bliżej młodych”) i spotkania z reżyserami (np. Krzysztofem Zanusem, Piotrem Szczepańskim, A. Markiem Dąbrowskim), w czasie których młodzież dyskutuje na temat obejrzanych filmów.

W celu przygotowania do konkursu, MDKF „Iluzjon” organizuje warsztaty filmowe, na które zapraszani są uczniowie szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych powiatu krasnostawskiego. Od 2006 r. organizowane są warsztaty filmowe „Amator”. MDKF organizuje także warsztaty mające w nazwie tytuł pracy filmowej/fotograficznej z konkursu filmowego, np. „Świat wokół nas” (2007), „Zatrzymane w kadrze” (2008), „Spotkania” (2009), „Rozmowy” (2010). Warsztaty prowadzili: Sławomir Kozyrski, Andrzej Ner, dr Marian J. Kawałko, Renata Kiciak, Marta Zorska, Artur Kiciak. W zajęciach uczestniczyli uczniowie z gimnazjów nr 1, nr 3, nr 4 w Krasnymstawie, z gimnazjów w Izbicy, Siennicy Nadolnej, Małochwieju Dużym, Zakręciu, Siedliskach, Krupem, z I LO, SLO, ZSP nr 2, SOSW i II LO. **Powiatowy Konkurs Filmowy „Spotkanie z X Muzą - bliżej marzeń”**, którego 8. edycja odbyła się 30 marca tego roku, poprzedziły dwie edycje konkursu wewnątrzszkolnego (2001, 2002). Od 2007 r. przedsięwzięcie to jest finanso-

wane ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie.

Informacje o pracy MDKF „Iluzjon” docierają do szerokiego kręgu odbiorców. W ubiegłych latach ukazywały się w *Informatorze PF DKF*, na bieżąco zamieszczane są w prasie lokalnej, na stronie internetowej II LO i starostwa. Przedsięwzięcia MDKF-u pokazywane są również w TKK. Materiał fotograficzny z zajęć, w których uczestniczyli goście z Warszawy i Lublina, zamieszczono na stronie PISF i Filmoteki Szkolnej. Tam też znajduje się relacja filmowa z zajęć poświęconych dyskusji na temat filmu Krzysztofa Kieślowskiego.

Od 10 lat MDKF „Iluzjon” systematycznie realizuje cele zapisane w regulaminie: przybliża tradycje oraz idee ruchu DKF, zachęca młodzież do czynnego udziału w popularyzowaniu wartościowych zjawisk artystycznych, szerzy kulturę filmową wśród młodzieży, a także pogłębia wiedzę z zakresu sztuki filmowej. Za rozwijanie wśród mło-



Finale VIII Powiatowego Konkursu Filmowego

dzieży szkolnej wiedzy oraz pasji filmowej, MDKF został uhonorowany „Laurem 2009” przyznany przez Fundację „Zacny Uczeń” i „Echo Krasnegostawu”. Dyrektor Edward Kawęcki przy różnych okazjach podkreśla rolę MDKF-u w promocji szkoły w skali wykraczającej poza środowisko lokalne, zwracając przy tym uwagę na znaczenie edukacji filmowej we współczesnej szkole.

Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”

Ewa Magdziarz

Reżyser Jacek Bławut
w „Iluzjonie”



Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon”, działający przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida i Krasnostawskim Domu Kultury, zaprosił Jacka Bławutę na spotkanie autorskie z uczniami krasnostawskich szkół ponadgimnazjalnych. W spotkaniu uczestniczyli uczniowie z I LO, ZSP nr 2, II LO wraz z opiekunami, a także słuchacze Lubelskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku Filii w Krasnymstawie.



Jacek Bławut jest operatorem, reżyserem i wykładowcą w wielu szkołach filmowych, m.in. w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Andrzeja Wajdy. Jest autorem filmów dokumentalnych, np. „Superciężki”, „Nienormalni”, „Born dead”, „Wojownik” i filmu „Jeszcze nie wieczór”, który jest jego debiutem fabularnym.

Spotkanie z Jackiem Bławutem - sfinansowane ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej - odbyło się 8 października 2010 r. w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury w ramach przeglądu „Kino polskie - bliżej młodych”. Projekcja poprzedzona została prelekcją reżysera, który mówił o okolicznościach powstania filmu i o niezwykłych bohaterach - aktorach starszego pokolenia.

Następny punkt spotkania to projekcja filmu „Jeszcze nie wieczór”, który młodzież obejrzała z dużym zainteresowaniem. Po projekcji odbyło się spotkanie autorskie prowadzone przez opiekuna MDKF „Iluzjon” Ewę Magdziarz. Pytania zadawali także uczniowie, którzy licznie przybyli na spotkanie z reżyserem.

Na wstępie Jacek Bławut opowiedział o przygodzie z filmem, która zaczęła się bardzo wcześnie. Już jako dziecko wystąpił w filmach „Biały rycerz” (1958 r.) i „Nad rzeką” (1962 r.).

Następnie reżyser mówił o wielu projektach filmowych, które realizuje również za granicą. W związku z tym tak trudno znaleźć mu wolny termin i umówić się na spotkanie z widzami.

Kolejne pytania dotyczyły filmu „Nienormalni” z 1990 r. znajdującego się w zestawie „Filmoteka Szkolna”. Ten poruszający film, oglądany przez uczniów na zajęciach MDKF-u, wywołał żywą dyskusję także w czasie spotkania z reżyserem. Pytano o pracę nad scenariuszem, o najtrudniejsze sceny do zagrania przez dzieci niepełnosprawne. Reżyser ze szczegółami opowiadał o bohaterach tego filmu, których doskonale pamiętał, pomimo że od ukończenia obrazu upłynęło wiele lat. Reżyser podkreślił, że na tamte czasy film poruszał nowatorską tematykę. Pytano także o pana Leszka Plocha, który wystąpił w filmie „Nienormalni” jako nauczyciel muzyki.

W czasie spotkania nie zabrakło pytań dotyczących filmu „Wojownik” ukazującego historię kariery kick boksera Marka Piotrowskiego. Film ten był prezentowany w ramach projekcji MDKF-u w 2008 r. Jacek Bławut opowiadał, skąd wzięł się pomysł na film, w jakich okolicznościach zetknął się z tym niezwykłym sportowcem.

Najwięcej pytań dotyczyło obrazu „Jeszcze nie wieczór”, w którym gra wielu wybitnych aktorów starszego pokolenia. Młodzież oglądała także dokument „Aktorzy” Tomasza Wolskiego pokazujący pracę na planie filmu „Jeszcze nie wieczór”. Widzów ciekawiło, jak pracowało się z legendami polskiego kina, m.in. z Niną Andrycz, Beą Tyszkiewicz czy Ireną Kwiatkowską. Reżyser z ogromnym szacunkiem wyrażał się o wspaniałych aktorach, którzy z zaangażowaniem pracowali na planie. Dla wielu uczestników tego projektu była to ostatnia zagrana rola. Starość, umieranie nie należą do tematów łatwych ani często poruszanych w kinie, jednak reżyserowi udało się nie wpaść w zbyt wysokie tony. Z dużym wyczuciem ukazał ten trudny problem. Szczególnie wzruszający jest wątek małżeństwa Barbary (Danuta Szaflarska) i Freda (Fabian Kiebic) tracącego kontakt z rzeczywistością.

W filmie starość skontrastowana została z młodością (postać kucharki Małgorzaty grana przez Sonię Bohosiewicz czy student-raper grany przez Antoniego Pawlickiego). Bławut, mówił, że współpraca aktorów starszego i młodego pokole-

nia układała się bardzo dobrze. Młodzi pracujący na planie filmowym z coraz większą troskliwością traktowali aktorów w podeszłym wieku. W czasie dyskusji nawiązano do wypowiedzi Jerzego granego przez Jana Nowickiego: „...dziś być aktorem to wstyd, zobacz jakie są gwiazdy bracie: dzieci, debile, kobiety, jacyś prezenterzy (...) spójrz w telewizor to zobaczysz”. Reżyser przyznał, że częściowo podziela tę opinię. Zastrzegł jednak, że nie dotyczy ona młodych aktorów grających w filmie „Jeszcze nie wieczór”. Dodał, że aktorzy młodego pokolenia są na pewno inni.



Jacek Bławut pytany, czy dzisiaj zmieniłby coś w tym obrazie, odpowiedział, że film „Jeszcze nie wieczór” jest dziełem skończonym, które ma na pewno jakieś niedociągnięcia, ale to nie powód, aby go zmieniać. Życie jest także pełne niedociągnięć i to jest fascynujące. Ze względu na tę niedoskonałą formę, tak ceni sobie różnego rodzaju szkice. Najmniej przemawiająca do człowieka jest doskonałość.

Dyskusję zakończono stwierdzeniem, że film wart jest obejrzenia przez młodych i starszych widzów. Starsi przypomną sobie znanych aktorów, ulubione filmy sprzed lat; młodzi mają możliwość poznać galerię wybitnych aktorów polskich, którzy dawno już zeszli ze sceny.

Przedstawiciele MDKF-u - Marzena Sulowska i Marcin Terpiłowski - podziękowali reżyserowi, wręczając kwiaty oraz wydawnictwa promujące Krasnystaw i powiat krasnostawski. Podziękowania wraz z upominkiem złożone zostały także w imieniu dyrektora KDK Damiana Kozyrskiego przez Agnieszkę Wolanin - kierownika administracji. Na zakończenie spotkania zrobiono pamiątkowe zdjęcia z reżyserem, a Jacek Bławut zapewnił, że przyjedzie do Krasnegostawu z kolejnym filmem.

*Ewa Magdziarz
- opiekun MDKF „Iluzjon”*

Elżbieta Szadura-Urbańska

Mackiewicz po raz ósmy



Motto przyznawanej w Święto Niepodległości Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza „jedynie prawda jest ciekawa” wyjątkowo pasuje do tegorocznego laureata tej nagrody - Pawła Zyzaka. Jego książka „Lech Wałęsa. Idea i historia” wzbudziła bardzo wiele kontrowersji. Na jej temat wypowiadali się niemalże wszyscy: od premiera i minister nauki, poprzez rzesze recenzentów, po samą postać tytułową. To jedynie podsycało apetyty czytelników. Wielu z nich uważa, że sikanie do kropielnicy i nieślubne dziecko laureata nagrody Nobla nie są jednak najciekawszymi epizodami jego biografii. Dyskusja, jakie fakty należy ujawniać, a jakie zatajać, co wolno, a czego nie wolno pretendującemu do roli magistra studentowi (wszak „Lech Wałęsa. Idea i historia” to właśnie praca magisterska) rozgorzała na dobre.

Kapituła nagrody Mackiewicza nie miała takich rozterek. Uznała, że jest to najlepsza książka roku. Profesor Maciej Urbanowski w laudacji podkreślił, że: „Zyzak, niczym detektyw, gromadzi ogromny materiał dowodowy, wypytuje świadków, zbiera ocalałe dokumenty, fotografuje miejsca. Zestawia to wszystko ze sobą, wykrywa sprzeczności i przekłamania, luki w zeznaniach. Interesują go najmniejsze nawet szczegóły”. Dla wielu krytyków pracy Zyzaka to jednak, widać, za mało. Dla publiczności, jak zwykle licznie zgromadzonej w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu - wystarczająco, aby nagrodzić autora żywiołową owacją. Sam nagrodzony - skromny, rzeczowy i wyciszony, opiera się próbom zakwalifikowania go do „prawicowych oszołomów”. Dalsze losy Pawła Zyzaka należałoby śledzić, gdyż wydaje się on postacią nieprzeciętną. Można o tym wnosić chociażby z arcyciekawego wywiadu Krzysztofa Masłonia z Pawłem Zyzakiem opublikowanego w dodatku Rzeczypospolitej „Plus Minus” z 13 listopada br.

Kolejny nagrodzony, którego dalsze losy też wypada śledzić, to ciągle młody, ale jednak o dzieśnięć lat starszy od Zyzaka, Jacek Dukaj. Kapituła nagrody Mackiewicza wyróżniła go za „Wrońca”. To lektura dla dzieci stanu wojennego, wszystkich „bywateli” którzy pamiętają „potwarzyszy” „milipantów”, „bubeków”, i którym podobały się poprzednie książki Dukaja. Obdarzony wyjątkową wyobraźnią

pisarz, prowadzi nas po świecie jakby wyjętym z sennego widziadła. Miłośnicy prozy Dukaja, którzy nie zdążyli przeczytać „Wrońca”, niech się spieszą, bo na rynku pojawiła się już kolejna - zbiór opowiadań „Król bólu”.

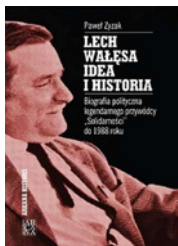
I jeszcze jeden nagrodzony w Święto Niepodległości autor - Maciej Parowski za książkę „Burza. Ucieczka z Warszawy '40”. To książka wpisująca się w - ostatnio modny - trend tworzenia alternatywnej historii. Narracja osadzona w realiach Polski sprzed wybuchu II wojny światowej bierze rozbrat z prawdą historyczną, kiedy to autor sprowadza nad głowy wojsk niemieckich zajmujących tereny RP tytułową burzę.

Wśród nominowanych do nagrody Mackiewicza był też Antoni Libera. Jego zbiór tekstów na temat twórczości Samuela Becketta „Godot i jego cień”, należy w kręgach miłośników literatury do lektury obowiązkowej. Podobnie jak wśród znawców teatru - monografia Józefa Szajny pióra Pawła Fąfary. Na liście nominowanych do nagrody Mackiewicza znalazł się jeszcze Leszek Moczulski z „Wojną Polską” i Wojciech Pestka z „Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa”. Tym razem nie zabrakło również kryminału, ten gatunek reprezentował Paweł Lisicki z „Przerwą w pracy”. Literaturę współczesną reprezentował „Dżus & Dżin” Magdy Skubisz.

Tegoroczne nominacje do Literackiej Nagrody im. Mackiewicza były nieco odmienne od tych z poprzednich lat. Zarzucano, że dotychczas wśród nominowanych i nagrodzonych książek przeważała mocno prawicowa publicystyka. Zarzut ten dotyczył również gremium przyznającego nagrody. Trudno przyjąć te zarzuty, zważywszy że sam patron nagrody jest postacią o wyraźnych poglądach, które przysporzyły mu chyba tyleż samo wrogów, co wielbicieli.

Mimo tych kontrowersji, wydaje się, że jednak główna idea przyjęcia prawdy jako wartości nadrzędnej zostaje zachowana. Świadczy o tym chociażby decyzja kapituły o przyznaniu nagrody Pawłowi Zyzakowi.

Elżbieta Szadura-Urbańska



Paweł Zyzak,
Lech Wałęsa. Idea i historia,
Wydawnictwo Arkana,
Kraków 2009, ss. 626

Leszek Janeczek

Miałem sen



Snił mi się rok 201..., no trudno czasem w snach o dokładność. Znalazłem się w Niemczech. Mieszkalem w małym miasteczku Allendorf, gdzie na mojej ulicy polski Bank Spółdzielczy otworzył swoje podwoje w budynku po Deutsche Banku. Codziennie przychodzili tu miejscowi ba-u-erzy, wielu brało jakieś kredyty. Poszedłem na naszą stację kolejową. Właśnie zdejmowano wielką tablicę z napisem Deutsche Bahn (Koleje Niemieckie) i wieszano znany jakiś, taki swojski, z trzema pochylonymi lekko literami PKP. Nie mogłem uwierzyć. Zaczęła rozpierać mnie duma. Oczekujący patrzyli z niedowierzaniem i jakimś żalem. Przyzwyczaili się przez te ponad sto lat do logo swoich kolei. Każdy z pasażerów trzymał gazetę. Kupiłem i ja w kiosku na peronie, niemiecką oczywiście. Na pierwszej stronie widniał ogromny tytuł „Deutschland kaputt!”. Co się stało, pomyślałem, wojna? Szybko przeczytałem tekst pod tytułem. Okazało się, o co chodzi. To polski LOT, czyli linie lotnicze, wykupił wczoraj Lufthansę. Do polskiego przewoźnika przeszło też lotnisko we Frankfurcie nad Menem. Komentarze w Europie stawiały pytanie: co się stało z Niemcami? Czy nie wystarczyło im pracowitości, dokładności, porządku, który musi zawsze być, czy już nie są *über Alles*, czyli ponad wszystkimi, jak kiedyś śpiewali? Ale jeszcze większa niewiadoma, co się nagle stało Polakom? Czy opatrność zamieniła te narody swoimi przymiotami?

Błogość tego snu i ilość wypitego wczoraj wina sprawiły, że nie mogłem się wprost obudzić. Kiedy to już nastąpiło, nie wiedziałem nadal, gdzie jestem. W Polsce czy Niemczech? Tyle spraw mam dzisiaj do załatwienia i to ważnych, a właściwie trochę przykrych. Zbierałem resztki oddalającego się snu, sycąc nimi poalkoholowy ból głowy. Mroźne, rześkie powietrze poranka całkowicie przeniósł mnie do realnego świata. Na szczęście byłem u siebie, w Polsce, w Krasnymstawie. Szybko realizuję napięty plan dzisiejszego dnia. Najpierw spłata ostatniej raty kredytu w Raiffeisen Bank na ulicy Piłsudskiego. Potem idę do Deutsche Banku, tego na Kościuszki. Wczoraj przysłali mi korzystną ofertę na nową pożyczkę. Jutro lecę do Niemiec samolotem z Warszawy. Mam dużo bagażu, pojadę pociągiem na lotnisko. Dworzec kolejowy, od kiedy PKP zostało przejęte przez Deutsche Bahn,

został u nas z powrotem otwarty. A PKP to się nie opłacało i jakiś czas po wybudowaniu całkiem nowego, zamknięto go. Zresztą całe PKP ciągle było nierentowne. O brudnych toaletach, braku w nich papieru i wody nie wspominając. Polski rząd miał z nim taki sam kłopot, jak z kopalniami i szpitalami. I sprzedał, pozbył się problemu. Wziął, kto chciał. Że się nie bał? Teraz jest woda, papier i przyjemny zapach. Sam się dziwię, że tylko tyle mi było potrzeba. Do Niemiec polecę jutro z Warszawy, mogę przecież ze Świdnika. Lotnisko niedawno otwarte, jak się patrzy, i blisko. Dawny polski LOT przejęła Lufthansa, i Okęcie też. Kto leci Lufthansą, ma bilet kolejowy w całej Polsce za darmo. Ot, taka umowa między Deutsche Bahnem a Lufthansą. A mnie się to opłaca. Może i szkoda, że ludzie omijają przez to nasz Świdnik. Jeszcze muszę zrobić zakup w Biedronce, na ulicy Polskiego Czerwonego Krzyża, mówią, że ona też podobno niemiecka, tylko celowo brzmi swojsko. Wczoraj wychodziły tłumy z wielkimi siatami, wiadomo - promocja. Drugi już Aldik w mieście omijam od czasu, kiedy moja znajoma poskarżyła mi się, że pracownicy byli zmuszani do kupowania serków, jogurtów i Bóg wie czego jeszcze, w każdym bądź razie wszystkiego, co do jutra miało termin przydatności do spożycia. Cała jej rodzina miała od tego chore żołądki. Rzuciła to wszystko, wyjechała do Szwecji. Choć emigrantka, mówi, że lepiej czuje się tam, niż u siebie. Nie wróci. Wczoraj odwiedził mnie Staszek, przyjaciel z podstawówki. Pracuje na Górach w farmie turbin wiatrowych. Przedtem był w Łopienniku i Fajstławicach, też robił na tych kręciolkach. Przywieźli ich tu bardzo dużo z Niemiec. Tam je rozebrano z jakichś powodów i postawiono tutaj. Dla Niemców były felerne. Najlepiej było, jak na Górach stawała je niemiecka firma, niedaleko gospodarstwa głupiego Wiesia. On jeden się temu bardzo sprzeciwiał, no miał do tego prawo jako sąsiad. Ludzie zawsze uważali go trochę za pomyłonego, więcej może za dziwaka. Ale nie wszyscy. Byli tacy na Górach, szczególnie starsi chłopci, co mówili, że swój rozum to on ma. Kiedyś, za Gierka, gdy powiedział, że KC bierze ile chce, miał kłopoty z milicją, a może nawet z SB. Niby głupi, a było wtedy poważne śledztwo. Teraz, gdy rozeszło się, że misigny Wiesio złożył pismo przeciw budowie farmy, ludzie byli ciekawi, co on teraz wymyślił. A gdy wykrzyczał na zebraniu, że nie będą Niemcy łapać polskiego wiatru na jego górze i robić z niego prądu, a on będzie musiał jeszcze im za to płacić, wtedy niektórzy co bardziej skorzy do pustego śmiechu, parsknęli jakby z cicha. Ale stała się rzecz dziwna. Gdy sala

nie podchwyciła reakcji tych pierwszych, ci zaraz zakryli usta dłońmi, za którą to zasłoną, ich oblicza szybko spoważniały. Prowadzący zebranie próbował ratować jeszcze sytuację uwagami o dobrodziejstwie płynącym z pozyskania obcego kapitału, kupował ludzi nowymi miejscami pracy, chwalił się unijnymi dotacjami na inwestycję. Uwaga Wiesia niby zasługująca na wyśmianie, zaciążyła nad całą atmosferą zebrania, ludzie jakoś niepewnie szurali nogami po podłodze i smarkali nosy w chusteczki. Koniec końców wiatraki postawiono, krótko po tym jak głupi Wiesio umarł.

Staszek przyniósł wczoraj swoją umowę o pracę, chciał mi ją pokazać. Większość paragrafów to kary. Spóźni się pięć minut do pracy - 50 złotych kara. Wyjdzie wcześniej 10 minut - to samo. I tak dalej, i tak dalej. Czasem przez te spóźnienia pracuje cały dzień za darmo. To mnie w Niemczech lepiej traktują, no tak jak Turków, z którymi pracuję. Wypiliśmy trochę, oblewając jego nowe auto. Audi ze szrotu na Lwowskiej.

Na wyjazd jestem już spakowany. Muszę na drogę kupić nowe ubranie. Przedwczoraj do znajomego ciuchlandu przywieźli świeży towar - używaną odzież z Niemiec. Ponoć pierwsza klasa. Pierwsza klasa z drugiej ręki. Coś na prezenty dla szefa wybiorę w China Market przy dawnej poczcie konnej, otwarto go w 2010 roku. Szkoda mi wyjeżdżać z Polski, przecież nie ma jak u siebie. Ale gdzieś trzeba pracować. Nawet się nie zastanawiam dlaczego tam, a nie tu. Tam wszystko jest i jeszcze trzeba pracować. Nam daleko do nich, a pracuje mało kto. Zresztą przecież nie ja jeden wyjeżdżam, są nas już miliony. Tu ojczyzna, tam zarobek. Najlepiej dużo o tym nie myśleć, to i żal mniejszy. Ale właściwie różnica jest coraz mniejsza, że tu u nas jest jeszcze ciągle mało niemieckich szyldów, a tam są wszystkie. Ale jak widzę te ostatnie 20 lat niepodległości, to tylko kwestia czasu... Aha, dziadek mi mówił, że w 1943 wszystkie szyldy w Krasnymstawie były u góry po niemiecku, a niżej po polsku. No to co, chcesz pewnie przyłożyć jakimś *Drang nach Osten*? Że niby dawne parcie na wschód? Wcale nie. To tylko Unia Europejska. A co, nie widziałeś ulicy jednokierunkowej, Europejczyku? Miała być druga Japonia, póki co jest Deutschland second hand.

Aha, jeszcze książka do poczytania na drogę. Właściwie do słuchania - audiobook. Postanowiłem odrobić zaległość w lekturze szkolnej. Wtedy nie przeczytałem, za to teraz posłucham *Placówkę* Bolesława Prusa.

Leszek Janeczek

Henryk Radej

Obrazki niby-świąteczne



Trochę przykro o tym pisać, a jednak spróbuję. Opiszę, co pamiętam sprzed roku. Jeszcze mam w pamięci kilka obrazków, którymi się tu podzielę jak opłatkiem. W Wigilię wziąłem w pracy urlop i szybko po śniadaniu wyruszyłem w drogę, by poświtować z bliskimi. Nagle telefon, że w domu prawie wszystko gotowe, ale zapomnieliśmy o cukierkach na choinkę i koniecznie muszę kupić. Wiadomo, choinka bez cukierków nie jest taka... słodka. W Żółkiewce skręcam pod duży „groszek” i biegnę po te cukierki. Ludzi, jak w dzień targowy. A cukierki są, ale tylko na stoisku z ...alkoholem - a tam kolejka na dobry kwadrans! Biorę głęboki oddech na cierpliwość, bo człowiek odwykł już na dobre od kolejek. Bliżej lady widzę, że jakiś pijacki amok ogarnął kupujących. Biorą po kilka (albo kilkanaście) butelek różnych wódek - sporadycznie jakieś wino, upychają po kieszeniach kurtek, do reklamówek i odchodzą zadowoleni. Po co ludziom tyle alkoholu na Święta? Sklepowa wyraźnie zaskoczona, że proszę tylko o 20 deko cukierków choinkowych i nie chcę żadnego alkoholu, choć uparcie pyta: - Co jeszcze? - Nic więcej, tylko to i dziękuję. Spieszę się na Święta!

Po wieczery odbywam mały spacer po wsi. Nie spotykam żywego ducha, tylko mijam kilka rozpędzonych aut. Przed większością domów świecą i migają chińskie lampki przyczipione do dachu, balkonu lub żywego drzewka; w oknach błyszczą telewizory. Radość ludzi wyrażają za nich te kolorowe świecidełka oraz magia panoramycznego ekranu z haj definiszyn. O północy prawie wszystkie publiczne stacje telewizyjne (i TV Trwam też) transmitują pasterki - z Watykanu, Częstochowy i jeszcze jakąś lokalną - tak jak by nie wystarczyła jedna. Podobnie jest w radiu. Czy te transmisje są po to, aby ludziska nie oblegali w tę noc kościołów?

W drugi dzień Świąt wracam do miasta. Słyszę jakieś zamieszanie u sąsiada - głośnie krzyki, nawoływania... Wybiegam, a na schodkach leży młody w lekkim ubraniu i białoli. Na zewnątrz temperatura w granicach zera stopni, a on bez buta i w porozpinanej koszuli. No tak, widać co innego go grzeje. Tylko czemu on płacze, a inni wytrząsają się nad nim i klną jak szewcy? Gdy pochylona kobieta wykrzykuje mu w twarz: „Czego

ty, k..., chcesz?” - on chwyta ją mocno za szyję, i ciągnąc ku sobie, rozpaczliwie wyznaje: „Kochaj mnie!”. Istny kabaret, tyle że mocno smutny w wymowie. Jedni chcą go ubrać, on się rozbiera i nie daje sobie nałożyć buta. Najbardziej przytomny w tym całym zamieszaniu sąsiad orzeka, że widać nogą złamana, a już na pewno skręcona w kostce, „bo cholernie puchnie” i potrzebne będzie pogotowie. Kobiety znów reagują histerycznie, gotowe pobić nieszczęśnika na dobre, i siłą stawiają go na nogi. Piętro wyżej płaczą jakieś pozostawione bez opieki dzieci. No to - myślę - rodzinika w komplecie. Tatuś przeholował za stołem, potem popłatały mu się nogi na schodach, a dzieci niczemu winne - też płaczą. Nieszczęście gotowe. A takie piękne miały być te Święta... Zostawiam to całe towarzystwo klójące się o numer telefonu do pogotowia, „bo jak się pomyli z policyjnym, to dopiero będzie zadyma!”.

Myślałem, że to już koniec atrakcji, ale gdzie tam! Na drodze do kościoła usiłuje staranować mnie grupka pijanej młodzieży, która świata nie widzi na oczy. Bełkotem ze sobą rozmawiają i prą ostro do przodu. Nieco dalej, w samym centrum miasta, z daleka mijam rodzinę mocno zmęczoną, zapewne świątecznym obiadem. Żona i córka pomagają iść tacie, który usilnie stara się odpoczywać przy każdym słupie lub znaku drogowym. Jednym słowem - wstyd! Wstydę się za nich wszystkich, za takie świętowanie akurat tych Świąt.

Rzeczywistość - ostatnimi czasy - nie rozpieszcza nikogo. Trzeba jakoś od tego uciec. Jedni uciekają za granicę, inni chwytają się butelki. Służby policyjne w każde Święta zatrzymują kilkuset pijanych kierowców. Poczekajmy, co przyniosą tegoroczne raporty poświteczne: ilu przybyło zamarzniętych, ilu samobójców, ile ofiar na drogach? Jakikolwiek i czyjkolwiek wstyd już tu nie wystarczy. Tu potrzebne są zmiany systemowe, które dadzą ludziom poczucie sensu życia i bezpieczeństwa socjalnego. Pijana rozpacz każdego z tych świątecznie zaczadzanych uderza zarówno w państwo jak i w Kościół. To w ich imieniu, na wszystkich szczeblach władzy, rządzą ludzie wykształceni i światli - przynajmniej tacy być powinni. Zapewne mają całościowy obraz tego stanu rzeczy. Dlaczego nie reagują, nie podejmują skutecznych działań? Na co jeszcze czekają? Co się stało z naszą narodową i chrześcijańską solidarnością? Niby każdy z nas ma rozum i wolną wolę i powinien za siebie odpowiadać. Ale co zrobić, gdy rozum nie myśli, a człowiek nie wykazuje żadnej woli - oprócz jednej?

Tradycyjnie podczas Bożego Narodzenia odwiedzam kilka okolicznych świątyń i chwałę Boga Jedyne go z okazji narodzin Syna. Niby wiem, że historycznie to umowny czas, że pora przesilenia astronomicznego, że pogańskie święto światła, że jakiś bóg Mitra... Jednak tradycja - rzecz święta! Ale jak widać, każdy lubi obchodzić ją na swój sposób.

Zazwyczaj na Godnie Święta (kto jeszcze pamięta taką nazwę?) zaczyna padać śnieg. Magia Świąt jak łaska Boża sypie się na ten świat prosto z nieba. Niebawem będziemy wspominać, jak uroczyste Święta były tego roku - gdyby nie te obrazki, które zostały w upartej pamięci.

Henryk Radej

Doktorat dla Agnieszki

Miło nam poinformować o tym, że stała i wierna współpracowniczka „Nestora”, Agnieszka Szykuła-Żygawska, od 3 listopada 2010 r. jest już Panią Doktor w zakresie historii sztuki. Jej rozprawa doktorska, dotycząca dziejów rzeźby sakralnej w kręgu wpływów ordynacji zamojskiej od końca XVI do początku XIX wieku została wręcz po mistrzowsku przedstawiona i obroniona w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II.



Naszej świeżo upieczonej „doktorce” życzymy wszystkiego najlepszego na polu dalszych peregrynacji badawczych!

mk

30 lat „Czarnego Salcesonu”

Któżby nie słyszał o „Czarnym Salcesonie”? Chyba wszyscy, przynajmniej na Lubelszczyźnie. Raz to kabaret, raz kapela - laureat m.in. I nagrody Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Orkiestr Podwórkowych w Przemysłu (1983) oraz głównej nagrody Ogólnopolskich Spotkań Kabaretów Wiejskich w Zawoi (1984). Znany z niezliczonej ilości występów i udziału w kilku programach, szczególnie TV Kraków i TV Warszawa. W trzydziestoletniej kronice Gminnego Ośrodka Kultury w Siennicy Różanej czytamy, że zespół powstał 10 grudnia 1980 roku, a jego założycielem i kierownikiem był Andrzej D. Misiura. Stroną muzyczną zajmował się głównie Witold Kardyka, natomiast autorem większości tekstów był Saturnin Naliwajko. Po kilku latach patronat nad „Czarnym Salcesonem” objęła gmina Krasnystaw, a miejscem prób stał się bliźniaczy GOK w Siennicy Nadolnej. Grupa zasilona została przez Andrzeja Woźniaka, a później Tadeusza Kicińskiego. Kto wie czy nie największym sukcesem zespołu jest to, że przez 30 lat istnienia przewinęło się przez niego ponad pięćdziesięciu wykonawców. „Czarny Salceson” istnieje do dzisiaj, a więcej na jego temat pisaliśmy w nr 1(1)2007 i 2(4)2008.



adm

Krasnostawscy literaci

Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich obecnie liczy ponad pięćdziesięciu członków. W 2010 roku zasilili go aż trzy osoby z Krasnegostawu. Kobiety: Katarzyna Iwańczyk, Irena Iwańczyk i Stanisława Wiśniewska. Dołączyły do grona trzech poetów: Mirosława Iwańczyka, Jana H. Cichosza i Franciszka E. Cimka. Tak więc Krasnystaw ma bogatą reprezentację w ZLP - 6 osób. Ciekawostką jest, że połowa z nich to bliska rodzina państwa Iwańczyków. Gratulujemy sukcesu.

Dla porównania konkurencyjne Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Lublinie liczebnie jest o połowę mniejsze i skupia zaledwie 26 osób. Dotychczas nie ma w nim jeszcze reprezentanta Krasnegostawu.

adm

20. rocznica powstania „Gazety Krasnostawskiej”

„Gazeta Krasnostawska” była pierwszym w Polsce lokalnym czasopismem w mieście mniejszym niż wojewódzkie. Zarejestrowali ją Grażyna i Roman Fornalscy, Jolanta i Tadeusz Kicińscy, Andrzej D. Misiura i Henryk Sierko (redaktor naczelny). W zespole redakcyjnym, oprócz wymienionych, znaleźli się: Dariusz Atras, Andrzej Babik, Jan H. Cichosz, Edward F. Cimek, Lucjan Cimek, Barbara Hawrylecka, Stanisław Lubaś, Grażyna Majchrowicz, Czesław Miszczak, Saturnin Naliwajko, Henryk Wróbel i Leszek Zdżyłowski. 25 lutego 1990 roku ukazał się pierwszy numer, a jego redaktorem odpowiedzialnym został A. D. Misiura, który opracował też specjalną technologię produkcji gazety, ze względu na niedostateczne wyposażenie miejscowej drukarni. Winięte zaprojektował Tadeusz Kiciński, nawiązując do rozwią-



zań graficznych znanych zachodnich dzienników. W tym składzie redakcyjnym i formie ukazało się 27 wydań na przestrzeni jednego roku. Każde z nich osiągało przynajmniej 4000 egzemplarzy nakładu! Zwrotów odnotowywano zaledwie 200-300 egz. Odegrała znaczącą rolę w życiu kulturalnym i społeczno-politycznym Krasnostawu. Po roku odsprzedana została spółce kupców i przedsiębiorców krasnostawskich. Znacznie zmniejszyła nakład, a później wielokrotnie zmieniła właścicieli i podtytuł. Z czasem przestała być dobrą wizytówką miasta.

adm

Krasnostawskich zadziwień ciąg dalszy - Galeria Retro

Chyba każdy z nas marzył kiedyś o prowadzeniu artystycznej albo literackiej kawiarni. I to wcale nie dlatego, że kultura powinna być elitarna. Zapewne nikt takiej zależności nie brał pod uwagę, a jedynie przyjemność, jakiej chciałby doznawać podczas obcowania ze sztuką. Przydałby się do tego jakiś wygodny fotel, ulubiony napój, może słodczyce, wymiana zdań z przyjaciółmi, a już na pewno możliwość nawiązania kontaktu z autorami. A może wystarczyłoby tylko bywać w towarzystwie podobnie myślących ludzi o dowolnie wybranej godzinie... Dlaczego nikt w takim razie takiego lokalu nie otworzył? Wydaje się, że na to najlepiej mogłyby odpowiedzieć... księgowy. Aż tu nagle kilka miesięcy temu ktoś zaadaptował piwnicę przy ul. Okrzei 25 (pod dawną restauracją Chmielna), nazwał „Galerią Retro” i zaprasza na ciekawe imprezy! Tą przedsiębiorczą osobą okazała się sympatyczna Marta Zorska. Skupiła wokół siebie grupkę zapaleńców i społeczników. Znalazł się wśród nich i Mariusz Kargul, człowiek wręcz stworzony do takich działań. W „Galerii Retro” odbyło się już kilkanaście kameralnych spotkań i imprez.

Wśród autorów znalazły się także osoby związane z „Nestorem”: dr Agnieszka Szykuła-Żygawska jako autorka ikon, dr Leszek Janeczek jako historyk, regionalista i dr Wiesław Krajewski - pasjonat nauk astronomicznych. Gościła redaktor Radia Lublin Maria Brzezińska, laureat literackiej nagrody Nike Andrzej Stasiuk oraz autor horrorów Stefan Darda, poeta i dziennikarz Krzysztof Konopa, satyryk Saturnin Naliwajko, krytyk literacki i muzyczny Bronisław Malinowski, poeta Stanisław Jachymek i inni. Interesujące szczegóły spotkań i działalności kawiarni warto są szerszego opisanie. Tymczasem zaczniemy odwiedzać „Galerię Retro”!

adm



Grand Prix dla Teresy Stasiak, chluba dla Krasnegostawu

Warszawska galeria Zadra postawiła sobie za cel stworzenie kolekcji współczesnej sztuki polskiej. Tego roku, 7 grudnia, rozstrzygnęła już kolejny, III Konkurs Malarski ZADRA 2010. Obecnie, do 30 grudnia trwa wystawa 246 prac plastycznych 133 autorów z Polski i Ukrainy. Spośród nich, jury pod przewodnictwem znanego historyka sztuki Kazimierza Stachurskiego przyznało m.in. II wyróżnienie Sławomirowi Tkaczykowi za obraz „Jesienne róże”, a Grand Prix (10 tys. zł) przypadło Teresie Stasiak za obraz „Martwa natura z makami”. Oboje nagrodzeni reprezentują krasnostawską Grupę Plastyczną PALETA. Gratulujemy artystom. Twórczość Teresy Stasiak prezentowaliśmy w 4(6)2008 wydaniu „Nestora”.

adm



Teresa Stasiak - „Martwa natura z makami” - 2010
50 x 60 cm, akryl na płótnie, Krasnystaw



Sławomir Tkaczyk - „Jesienne Róże” - 2009
60 x 50 cm akryl na płótnie, Krasnystaw

Próba Czechowa

Siennicki Teatr Pokoleń rozpoczął już czwarty sezon artystycznej działalności. Po premierze imponującego widowiska „Chata za wsią”, „Żelży po trzykroć” oraz widowiska bożonarodzeniowego przyszła pora na kolejną sztukę. Od kilku tygodni trwa intensywna praca nad inscenizacją prozy Antoniego Czechowa. Literackiej adaptacji poddanych zostało siedem satyrycznych opowiadań tego wybitnego pisarza. Czechow, jako doświadczony obserwator utrwalił wiele zabawnych historii z życia dziewiętnastowiecznej Rosji. Ośmiesza przywary i słabości różnych grup społecznych. Wszystkie puenty, jak to zazwyczaj z satyrą bywa, można dopasować także do współczesnej rzeczywistości. Przekonamy się o tym już na początku lutego 2011 roku, podczas premiery, na którą w imieniu Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej i Teatru Pokoleń serdecznie zapraszamy.

adm

USŁUGOWO-HANDLOWY ZAKŁAD MECHANIZACYJNY

Łukasz Lewandowski



Zakęcie 1J
22-300 Krasnystaw
tel. 606 897 743

Oferuje:

- Opony nowe, używane i regenerowane
- Serwis ogumienia
- Napełnianie i serwis klimatyzacji
- Akumulatory
- Oleje silnikowe
- Klocki i tarcze hamulcowe
- Części samochodowe oraz ich wymianę



ORZEŁ AGROBIZNESU 2007 - 2011

Nagroda Orzeł Agrobiznesu przyznawana jest od 5 lat za sukces rynkowy firmy z branży rolno-spożywczej i jej otoczenia. Premiowana jest przede wszystkim jakość wyrobów, ale też skuteczność wchodzenia na rynek z nowymi produktami, umiejętność prowadzenia negocjacji handlowych, sposób promocji oraz tworzenie przyjaznego dla konsumentów wizerunku firmy.



LAUREAT
KONKURSU
AGROLIGA 2009

LISTA NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCYCH SIĘ WYROBÓW WĘDLINIARSKICH RSP ZAGRODA:

- łopatka wieprzowa bez kości pieczona z czosnkiem
- kielbasa zwyczajna
- kielbasa czosnkowa
- szynki wędzone
- kaszanka
- ryby: karpie, szczupak, amury, japońce.

RSP Zagroda znalazła się wśród krajowych laureatów dobrej żywności. Otrzymane logo „Polski Producent Żywności” oraz „Agro Polska” jest swoistym atestem. Tytuł taki otrzymują bowiem wyłącznie najlepsze produkty.



ADRESY SKLEPÓW RSP ZAGRODA

- „Świąteczny”, ul. Okrzei 25, Krasnystaw
- „Zagroda”, ul. Czysta, Krasnystaw
- „Świerki”, ul. Piłsudskiego, Krasnystaw
- „Nr 10”, Siennica Różana
- „Nr 7”, ul. Wojsławicka, Chełm
- „Farmer” Zagroda - sklep firmowy (ceny niższe o 5%).



Maria Majka Zuzanska





Maria Majka Zuzńska

Urodzona w 1958 r. w Biłgoraju, absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie. Od 1986 r. związana z Łęczną, gdzie pracuje jako instruktor artystyczny w Centrum Kultury. Od 1988 r. uczestniczy w działalności Grupy Inicjatyw Plastycznych i Fotograficznych PLAMA, biorąc aktywny udział w plenerach i wystawach. Od 2004 r. jest prezesem tego stowarzyszenia. Jej dorobek artystyczny to udział w licznych plenerach międzynarodowych m.in.: na Węgrzech, Słowacji, Ukrainie, we Francji, w Rumunii oraz w Polsce. Udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Jest wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej oraz członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie.

GALERIA JEDNEGO OBRAZU

